Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 15,80 zł w tym 8% VAT • NR 24–25 (1812–1813) • 13–26 czerwca 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Podwójny numer!

GRILLOWANIE KOALICJI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 24

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 97f5af6175

Podwójny numer – na grilla i na procesję. A w nim:

3 Dwie prawice – prof. Werblan zaskakująco o Konfederacji.
I znowu o mniejszym złu – nieśmiała polemika Wołka z Werblanem.

4–5 Powrót demona neoliberalizmu – jak rząd skręca w prawo i czym to grozi.
Bez skazy i snusa – Jasiński o tym, co wolno nam wiedzieć o wojsku, a czego nie.
Lex Morda w Kubeł – Dubicka wyjaśnia, gdzie władza ma organizacje pozarządowe.

6 Architekt cieni – Jaruga mrocznie o Kaczyńskim.

7 Język portfela – Gadzinowski o przyszłości kohabitacji.
Układ z dziurą – Baker wzywa PiS do konsekwencji.

8–9 Pogranicze w klinczu – Dubicka tłumaczy, na czym naprawdę polega problem z imigrantami.
Kamraci w kazamatach – sukces władzy, która zamknęła dwóch świrów.
Niedopchnięte postulaty – obiecali, nie dali: rencistom, gejom, wyzyskiwanym.

10 W stronę nieznanej przyszłości – Grodzka baja o Smurfach.
Pędem donikąd – Szolc o różach i żałobie.

11 Porno i rześko – prof. Harman o chuci, miłości i Nawrockim.
Kulawa kaczka – dlaczego wolimy Zandberga od Giertycha?

12 Tusku, podziękujesz? – co rząd jest winien prawosławnym?
E-szlaban – Unia ochroni dzieci przed seksualizacją. A to się Ordo Iuris ucieszy!

13 Nie krzywdź innych – Grodzka o jeżach i rewolucji.
W szponach głupoty – Ikonowicz o Polakach, ponuro.
Żyd udomowiony – do czego służy starozakonny przy grillu.

14–15 Orły, sokoły, bażanty – „sędziny mordują Polaków", czyli ojcowska krzywda.
Kobiety wojny – Jaruga prowokacyjnie o Ukrainkach w Polsce.
Incel zmienia poglądy – Baker prowokacyjnie o facetach Ukrainek.

16–17 Z dziejów polskiego parlamentaryzmu – Gadzinowski opowiada, jak Rada Europy schlała się w ruskim pociągu.
O wyższości świni nad człowiekiem – Jaruga w obronie trzody chlewnej.

18 Mała księżniczka – biedna, biedna prezydentówna elektówna.

19 Wielka smuta na tęczowo – Baker bez dumy o Miesiącu Dumy.

20 Licencja na dojenie – Jasiński bez entuzjazmu o lichwie.

21 Polskie jądra, czyli jaja – Koenig wzywa, żeby zamiast budować elektrownię atomową umyć słonia.
Nieudacznicy i przekręciarze z Ameryki – kto nam nie postawi atomu?

22 Zabójczy zew natury – lepiej zostańcie w domu.
Kraków – miasto zamknięte – czyste powietrze hula po podwawelskim grodzie.

23 Pij, pij, pij, bracie, pij... – Gawlik o tym, jak alkoholicy wspomagają Najjaśniejszą.

24 Za sutanną panny bandą – kto płaci na dzieci księży?

25 Pląsy i dąsy w Rybniku – Piotrowicz wspomina, jak Urban nie kupił kościoła.
Matka Boska Bezrobotna – zwycięstwo Maryi nad Lidlem.

26 Jakie życie, taki rap – Steffen z Peją o artystach w obronie Palestyny.
Pogranicznicy kontra Kurdej-Szatan – a to z kolei o aktorce w obronie uchodźców.

27 Nie było cię tam, nie zrozumiesz – Wiśniowski rozmawia z rosyjską korespondentką wojenną.

28–29 Hasta la victoria siempre – Wołk-Łaniewska rozczula się nad Kubą.
Bogaci na nas szczają – Ulmer martwi się Ekwadorem.

30 Żelazna porcja bezpieczeństwa – jedzcie koty, jak zaleca prezydent Trump.

str. 31 Wybory, wybory i po wyborach – Mittelstaedt o nowym szefie Polski i innych związków.

A poza tym, jak zwykle: **Blog wszystkich świętych**, **Prasa śniadaniowa**, **Życie w dobrobycie**, **Móżdżek tygodnia**, **Z czarnej dupy się wyrwało**, **Wieści z kruchty**, **Wieści gminne**, **Kazaczok z czołgami**, **Słówka półgłówka**, **Dialogi dam**, **komiks Dąbrowskiego** (aż dwa razy).

Następny, pojedynczy numer „NIE" ukaże się 27 czerwca.

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

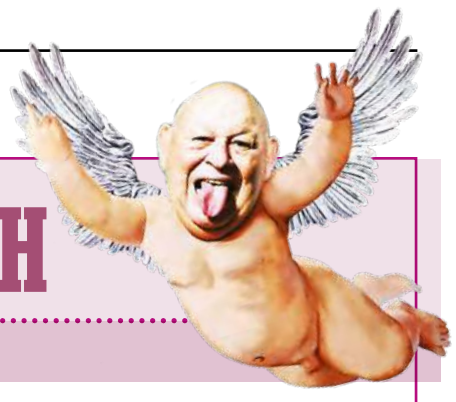

Czerwiec 2013 r.

Świętej Wizytacji

Nikt nie wybija szyb w Ministerstwie Sprawiedliwości. Gówno kogo obchodzi, że rząd robi zmianę w procedurze sądowej na wzór amerykański. Sędzia ma być tylko arbitrem w walce prokurator–adwokat. Otóż ta nowość zwiększy nierówność wobec prawa. Bogaty wynajmie najlepszych adwokatów, ich pomocników oraz kontrpolicję, czyli detektywów. Biedny pójdzie siedzieć ekspresowo.

Robienie z procesu meczu zwiększy i tak już nadmierną zajadłość prokuratorów. Biedni dają się subtelnie dymać, bo nie mają prawa tego zauważyć.

Świętego Justyna

W minione święto przenajświętszego ciała katolickie ajatollahy przebrane za złocone żółwie domagały się zgodnie oddania państwa we władanie klerowi i religii. Zakaz in vitro, zakaz skrobanek, zakaz związków partnerskich, zakaz handlu w niedzielę. Rodzina powinna pieniądze zostawiać w kościele, a nie w Tesco. Po mszy do domu! Tata kładzie się na mamie i odmawia różaniec, mama śpiewa godzinki, wytrysk w pochwę i kolejne dziecko.

Wygląda to tak, jak gdyby Kościół postanowił wzmocnić Ruch Palikota. I to mu się uda.

Świętego Justyna

Przed sklepem „Na rogu" mówią:

– A mnie się podoba ta Gronkiewicz-Waltz. Nie jest głupia. Płacić dwa piwa za samo wejście do parku?

– Wszystkie płacom, a una chciała na kociom łape!

– Bo to jej park.

– Okazało się, że nie jej. Ale ona ma tyle parków, że doliczyć się nie umie. Jej pies każdy może obsrywać.

– Ma psa?

– A co, sama będzie srała?

Naprawdę trudno przewidzieć, czy nasi ludzie chcą głosować za odwołaniem prezydentki Warszawy, czy przeciw. Co wszystko jedno, bo Konstancin nie głosuje, gdyż to nie Warszawa. Ale jego ludność o tym nie wie.

Świętego Boga

Minister Władysław Bartoszewski wydrukował w „Gazecie Wyborczej" list przeczący mojemu twierdzeniu w książce „Jerzy Urban" (pióra Marty Stremeckiej), że był członkiem Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa PRL. Rzeczywiście pomyliłem dwóch ministrów spraw zagranicznych III RP. Zamiast Bartoszewski powinno być Skubiszewski. Bardzo przepraszam.

Świętego Kevina

„Gazeta Polska Codziennie". Etiuda publicystyczna Dawida Wildsteina. Cytat: „A ja, w kontekście ostatnich informacji o pobłażliwości sądu wobec różnych Kiszczaków i Jaruzelskich, chciałbym zakrzyknąć: bierzmy przykład z determinacji Żydów. Może i minęło 20 lat od Okrągłego Stołu, ale namiastka Norymbergi by się przydała".

„Gazecie Polskiej" czasem dorównuje ignorancją i głupotą TVN 24. W programie o Edwardzie Gierku porównano bohatera do skazanego w Norymberdze Alberta Speera. W odróżnieniu od Gierka Speer genialnie rozwijał przemysł, tyle że wojenny. Był utalentowanym pisarzem i miernym architektem. Skazano go zaś za nieludzkie wykorzystywanie wielomilionowej niewolniczej siły roboczej. Żadnym bokiem nie przystaje to do Gierka.

Jestem za wolnością żądania norymberskich szubienic dla mnie i dla moich byłych przełożonych. Pod warunkiem że wcześniej takie Wildsteiny przymusowo poczytają coś o Norymberdze, kogo tam i za co wieszali lub sadzali.

Nadal świętego Kevina

Każdy głupi umie myć nogi, nawet papież. Dlatego wolę, jak mi śmierdzą.

Świętej Klotyldy

W ogrodzie otaczającym mój dom wypadło z gniazda dziecko gawronów. Nasze koty miały na nie smak, ale rodzice gawroniątka, pikując na koty, obroniły swojego bachora. Wtedy moja ochrona postanowiła usunąć ptasie dziecko poza zasięg kotów. Ochroniarze uzbroili się w kije. Stare dwa gawrony zaatakowały ich tak zaciekle, że ludzie mający stawiać czoło bandytom czy faszystom rozpierzchli się, pouciekali przed dwoma ptakami.

Pisklę zeżarł w końcu nasz kot Zenek, a rodzice – gawrony – jeszcze długo latały i darły mordy.

Jakże ja nienawidzę przyrody.

Świętego Igora

Daniszewska kupiła sobie mnóstwo pięknych, drogich strojów, lecz nie ma gdzie ich nosić. Liczyła na to, że włoży je na pogrzeb, ale nikt nie umarł.

Świętego Norbena

Starość, przynajmniej u mnie, polega na tym, że gdy nie śpię, to chce mi się spać. Z tej przyczyny tzw. sen wieczny wydaje się spełnieniem. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Marta Nawrocka** zapowiada walkę z hejtem na jej córkę. Dbanie o wszystkie Polki i Polaków właśnie się skończyło.
- Na **stadionie Legii** odbyły się rekolekcje. Trzeba przyznać, że kler i kibole łączy zamiłowanie do efektownych opraw swoich wydarzeń.
- **Ryszard Kalisz** powiedział, że ponieważ małżonki prezydenta nie obejmuje immunitet, można ją rozliczyć za kawalerkę. W następnej kolejności rozliczy się ją za jej kawalera.
- **Piotr Semka** powiedział, że tylko bolesny cios w podbrzusze skłania Rosjan do umiarkowania. Redaktor Semka powinien unikać cielesnych skojarzeń.
- Portal **fronda.pl** zachęca Polaków do grillowania. Tradycyjnie zachęcamy do grillowania PiS-u i Konfederacji.
- **Donald Trump** powiedział, że Elon Musk okazał brak szacunku dla urzędu prezydenta. To chyba łączy obu panów.

MARTA M

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Rozdzieranie szat

Bawi mnie lament nad wykwitem naszego swojskiego nacjonalizmu, ksenofobii, klerykalizmu i innych izmów, jakich moc objawiły wyniki wyborów prezydenckich. Spytam cynicznie – a czym zajmował się PiS przez osiem lat, gdy sprawował władzę? Oto jego podstawowym hobby było załatwianie posad dla krewnych i znajomych królika! Stąd dziwne przejęcia, fuzje i dyfuzje różnych państwowych i nie tylko, bo także uzależnionych od państwa firm, co umożliwiało rotowanie i otwieranie różnych posad dla swojaków. I nie chodzi tylko o posady za wiele milionów, (…) ale też o zatrudnienie sprzątaczki w biurze gminy.

Takich zatrudnionych w ciągu ośmiu lat zebrało się pewnie wiele milionów i te wszystkie osoby po zwycięstwie koalicji demokratycznej drżą o swoje posady, a towarzyszy im w tych obawach rodzina bliższa, dalsza, a nawet ciotka z Ameryki. Skoro „my" dostaliśmy posady po znajomości, z „partyjnego nadania", to teraz nasze miejsca zajmą znajomi innych rozgrywających!

Nie jest to jednak żadna wyjątkowa sytuacja – to prawidłowość systemu, w którym „władza" może zniszczyć każdego – Putin pogonił oligarchów, Orbán zagarnął pewne państwo w środku Europy, Obajtek rozpędził cały Lotos, a Trump zdołował Muska.

FILIP RATKOWSKI

Wizojnerskie „NIE"

Zemściło się założenie tuskowych, że nic gorszego niż Duda i jego prezydentura nie może się temu krajowi przytrafić. Błąd. Należało go zasypać ustawami, które podobno są i były, tłumacząc Polakom, dlaczego i przez kogo nie mogą ich realizować. Trzeba to było komunikować głośno i wyraźnie. Potęgowałoby to wkurw na narciarza i nie zniechęcało do popierania swojej koalicji. A swoją drogą, gdyby Tusk czytał Wasz tygodnik, uniknąłby dzisiejszych problemów. (…) Jesteście wizjonerami, a ja Waszym stałym czytelnikiem od lat. Szacun.

MAREK OSTROWSKI

Przecz z obowiązkowymi poglądami!

W odpowiedzi na list Wiesława F. „Już nie czytam „NIE" („NIE", nr 23/2025): Wiesławie F., bezpodstawnie obwiniasz redakcję „NIE" za porażkę R. Trzaskowskiego. Sam Rafał zapracował sobie na ten wynik. A jego ogłaszanie zwycięstwa i wiwatowanie żony jako pierwszej damy po ogłoszeniu sondażowych wyników potwierdza, że nie dorósł do tego, aby zostać prezydentem. Dobrze, że w „NIE" są przedstawiane różne poglądy (…). To jest zaleta tej gazety, a nie wada. Precz z obowiązkiem zbiorowych poglądów. Politycznych oraz innych.

Pozdrowienia dla Redakcji
KRYCHA

eprasa.pl 97f5af6175

Dwie prawice?

Nowe – acz podyktowane historią – spojrzenie na Konfederację

Podczas wyborów prezydenckich zadomowiła się w Polsce ważna zmiana w strukturach politycznych. Pojawiła się, urosła w siłę i chyba utrwaliła się nowa partia prawicowa: Konfederacja Wolność i Niepodległość. Inna od znanych z przeszłości efemeryd tworzonych przez Kukiza czy Palikota, a nawet Leppera.

Wolność, Niepodległość i Osobność

Tamte wpisywały się w dominujący po 1989 r. model partii posolidarnościowych, odwoływały się do podobnych wartości i usiłowały zagospodarować część elektoratu nieusatysfakcjonowanego przez główne formacje tego typu. Ich byt był krótkotrwały, wcześniej czy później zostały przez formacje głównego nurtu wchłonięte.

Konfederacja ma charakter inny. Kwestionuje dominację dwu partii posolidarnościowych w strukturze politycznej kraju, głosi potrzebę złamania ich pozycji, przezwyciężenia „duopolu" – i czyni to odwołując się do innych wartości: tradycyjnych dla Polski i głębiej zakorzenionych niż te posolidarnościowe.

W wyborach prezydenckich Konfederacja rywalizowała z Prawem i Sprawiedliwością, w pewnych momentach bardzo skutecznie. Osiągała w sondażach 20 proc. poparcia, co zapowiadało sensację: wyeliminowanie PiS z drugiej tury. Ostatecznie kandydat Konfederacji zdobył trzecie miejsce i 15 proc. głosów, a jego wyborcy w drugiej turze w większości poparli kandydata PiS, zapewniając mu nikłe – bo niespełna dwuprocentowe – zwycięstwo. Konfederacja zachowała swoją wyrazistość i pozycję.

W powszechnym przekonaniu uchodzi za partię skrajnie prawicową i podobnie jak PiS populistyczną. Jest to opinia powierzchowna i błędna. Konfederacja nawiązuje do tradycji ruchu, który dominował na polskiej scenie politycznej przez pół wieku, od schyłku epoki rozbiorowej do końca II wojny światowej. Wgląd w naturę tej partii, wciąż nie do końca jasną, wymaga więc cofnięcia się w przeszłość.

Chadecy kontra faszyści

Europejski region cywilizacyjny w XX w. znał zasadniczo dwa typy partii prawicowych. Pierwszy – klasyczny, bazujący na warstwach średnich i odwołujący się do ich interesów i tradycji, ale respektujący liberalno-demokratyczne zasady ustrojowe. Typowe przykłady to brytyjscy konserwatyści czy rozliczne na kontynencie formacje chrześcijańskich demokratów.

Drugi typ prawicy powstał w Europie po I wojnie światowej pod wpływem jej społecznych konsekwencji. Były to formacje mieniące się prawicowymi, lecz spełniające zupełnie inne kryteria. Opierały się na znacznie szerszej bazie społecznej. Ta nowa prawica – podobnie jak tradycyjna – zwalczała lewicę socjalistyczną, ale sięgała w tej walce do metod sprzecznych z liberalną demokracją, o wiele bardziej radykalnych i brutalnych. Partie te z reguły głęboko ingerowały w ustrój swoich krajów i wprowadzały rządy dyktatorskie.

Można wątpić, czy były one w istocie prawicowe. Niedługo po wojnie taką partię utworzył we Włoszech działacz socjalistyczny Benito Mussolini – i nazwał ją faszystowską. Owszem, respektowała konserwatywne wartości i zwalczała lewicę, ale bazowała na licznych szeregach wojennych kombatantów, wytrąconych z normalnego życia, i na marginesie społecznym. Przy ich pomocy i niejako w ich imieniu i interesie zdobyła władzę siłą (marsz na Rzym) i później rządziła metodami dyktatorskimi.

Podobna partia powstała kilka lat później w Niemczech. Bazowała na kombatantach, ale też na ofiarach kryzysu ekonomicznego, bezrobotnych, szerzej sięgając również do licznych wówczas wykolejeńców, do lumpenproletariatu. Jej idol Horst Wessel był posądzany o sutenerstwo. Głosiła ostro nacjonalistyczny program rewizji niekorzystnych dla Niemiec traktatów po przegranej wojnie. Doszła do władzy metodami demokratycznymi, ale ustrój demokratyczno-liberalny natychmiast zlikwidowała. Jej przywódca, wojenny podoficer, z zawodu malarz pokojowy Adolf Hitler nie uważał swej formacji za prawicę. Nazwał ją narodowosocjalistyczną partią robotniczą.

Władysław Gomułka wspomina, że w 1935 r. przez pewien czas siedział w Katowicach w jednej celi więziennej z kilku młodymi Ślązakami, adeptami tej hitlerowskiej partii. Zadręczali go przekonywaniem, że Hitler to najlepszy komunista, dał robotnikom pracę, mieszkania, opiekę medyczną i – w odróżnieniu od tych moskiewskich – nie wysługuje się Żydom.

Podobne partie pod różnymi nazwami powstały w wielu krajach; w kilku doszły do władzy. Łączyły skrajny konserwatyzm i nacjonalizm z programem socjalnym w znacznym stopniu przejętym od lewicy. Wszystkie były dyktatorskie i antyliberalne. W krajach dotkniętych wojenną klęską oraz gospodarczym kryzysem zyskiwały masowe poparcie i zagarniały władzę – ale czy były prawicowe, można wątpić. Zwano je, w ślad za włoską, faszystowskimi. W rządzeniu sięgały do brutalnej przemocy i chętnie angażowały się w wojenne awantury; Hitler planowo i rozmyślnie wywołał II wojnę światową. Wspólną i wyróżniającą cechą tych partii był wodzowski charakter (*Führerprinzip*).

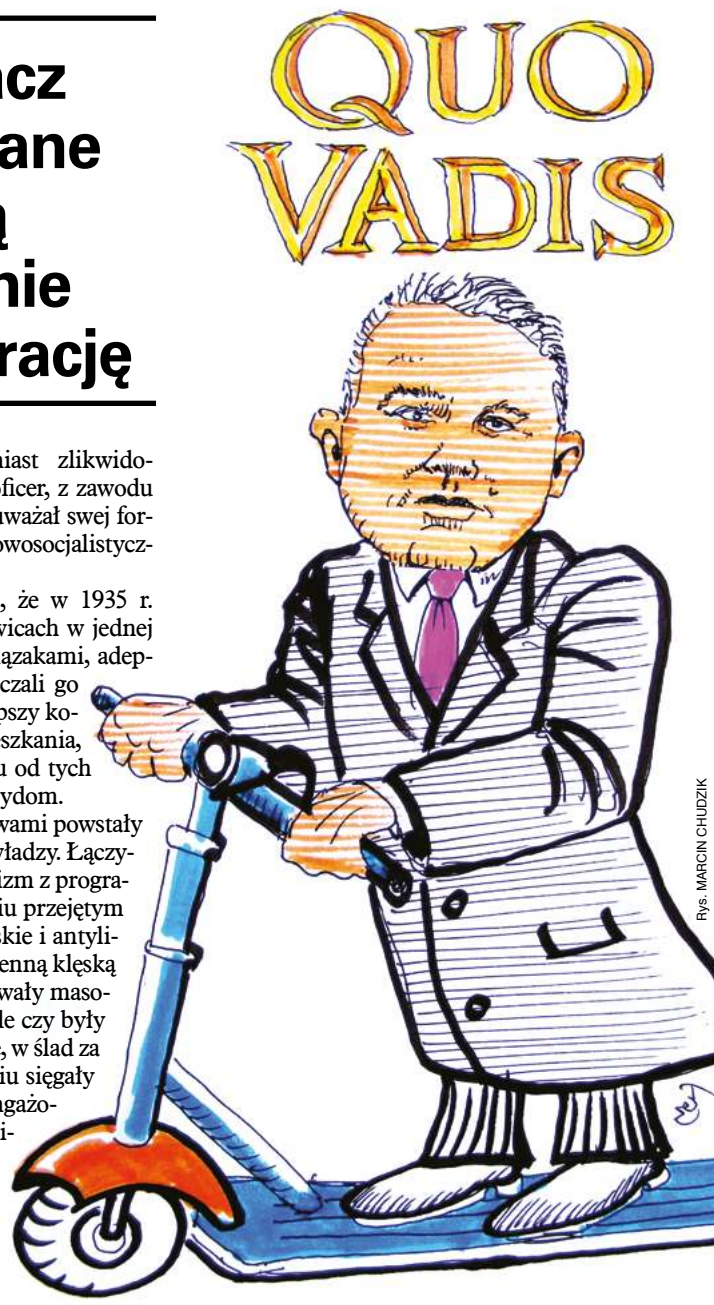

Rys. MARCIN CHUDZIK

Endecy: intelektualiści i chuligani

W Polsce międzywojennej na prawicy dominowała założona jeszcze w XIX w. Narodowa Demokracja Romana Dmowskiego, potocznie zwana endecją. Poważna formacja, wzorowana na zachodnioeuropejskiej klasyce; przez dziesięciolecia najsilniejsza polska partia polityczna, o stabilnym zapleczu społecznym. Reprezentowała interesy klas posiadających i była wyraziście nacjonalistyczna.

Endecja miała wielkie zasługi w odbudowie polskiej państwowości – ale też ciężkie obrzydliwości. Jej dziennikarska i uliczna chuliganeria podżegała do mordu na prezydencie Narutowiczu i zarządzała pogromy antyżydowskie. Ale jej tuzy profesorskie współredagowały i uchwalały konstytucję marcową 1921 r. – najdoskonalszą, najbardziej demokratyczną w konstytucyjnym dorobku epoki. W 1925 r. wybitny endek, dwukrotny premier Władysław Grabski wyprowadził Polskę z niszczącej inflacji i na dziesięciolecia ustabilizował jej walutę.

Endecja dysponowała znacznym potencjałem koalicyjnym, uczestniczyła w wielu rządach wspólnie z ludowcami, a nawet socjalistami. Bywało, że kierowała takimi rządami. Wojskowy zamach stanu Piłsudskiego (maj 1926) zamknął endecji drogę do władzy, ale nie wyeliminował jej wpływu na życie polityczne ani na polityczną myśl.

Nawiasem mówiąc: członkiem ND i senatorem z jej mandatu był też najwybitniejszy historyk tych czasów, profesor UJ Władysław Konopczyński („Dzieje Polski nowożytnej", „Konfederacja barska", „Liberum veto" i kilkanaście innych kapitalnych studiów), twórca „Polskiego Słownika Biograficznego" (PSB). Konopczyński dożył Polski Ludowej. U jej początków prowadził na UJ wykład z dziejów Polski międzywojennej. Zawarł w nim dosadną, ale zasadną naukowo krytykę polityki sanacyjnej, wnikliwszą niż jakikolwiek inny autor. W tym sensie był naukowym sojusznikiem nowej władzy. Ale wdzięczności nie doczekał, potraktowano go wyjątkowo haniebnie. W okresie stalinowskim ówczesne – w większości wywodzące się z KPP – władze wykpiły się sianem z nacisków Stalina i Żdanowa domagających się surowej czystki profesury na uczelniach. Zamiast, wzorem Czechów, odesłać dziesiątki profesorów do pracy w szatniach, w Polsce ograniczono się do pozbawienia kilkunastu z nich zajęć ze studentami. Pozostawiono im katedry, pensje i grono asystentów, czyli przyzwoite warunki pracy naukowej. Z jednym niestety haniebnym wyjątkiem: Konopczyńskiego właśnie. Jemu odebrano katedrę i redakcję PSB, a nawet środki do życia. Odesłano na głodową emeryturę. Rządzący kapepowcy małostkowo mścili się na nim za getta ławkowe.

Koślawa prawica III RP

Zdumiewające, że po upadku Polski Ludowej zagarniająca scenę polityczną postsolidarność nie wznowiła endecji, największej tradycyjnej partii polskiego kapitalizmu. Zbudowała swoje koślawe namiastki prawicy, antydemokratyczne, lumpenproletariackie, cwaniackie i złodziejskie; formacje intelektualnie jałowe, w rodzaju PiS i niewiele lepszej Platformy Obywatelskiej. Wzniesiono Dmowskiemu pomniki, ale całkowicie ignorowano jego wkład do myśli politycznej.

Autor deklaracji, że wezwanie „Powstań, Polsko, skrusz kajdany, dziś twój triumf albo zgon!" zawsze budziło jego najgłębszy sprzeciw moralny, a tego, kto myślałby tak, jak śpiewa, uważa za przestępcę – chyba przewracał się w grobie, gdy kwiaty pod jego pomnikiem składali bez żenady wielbiciele powstania warszawskiego i żołnierzy wyklętych.

Lub gdy hołdy takie składają bezkrytyczni entuzjaści walczącej z Rosją Ukrainy – zupełnie nie krępując się tym, że postać na postumencie przed 100 laty proroczo przewidziała wojnę Rosji z Ukrainą i o Ukrainę, ale odnosiła się ze zrozumieniem do racji obu stron. Składający hołdy chyba nawet tej sprzeczności nie dostrzegają, bowiem ich ignorancja historyczna dorównuje ich zapałowi manipulacyjnemu.

W tej sytuacji pojawienie się pełnowartościowej partii, przygotowanej i skłonnej do sięgania w razie potrzeby do tradycji Narodowej Demokracji i do dorobku Romana Dmowskiego jest ważne i ożywcze. O tym, że Konfederacja jest taką partią, świadczy zarówno ośmiopunktowa deklaracja Sławomira Mentzena – jak też stanowisko w sprawie Ukrainy.

Polska potrzebuje prawicy. Jest bowiem krajem kapitalistycznym, ma dla prawicy duże zaplecze społeczne. Ale musi to być prawica mądra i dojrzała, na europejskim poziomie. Bez tego nie uda się zmarginalizować na scenie politycznej dziwacznego i szkodliwego dewianta, jakim jest PiS.

Konfederacja w wyborach prezydenckich wykazała gotowość i chęć rywalizacji z PiS-em. Nawet w ewentualnej koalicji z nim nie da się sprowadzić do roli przystawki ani nie pozwoli się pochłonąć. Pamięta doświadczenie Leppera i Giertycha. Konfederacja, też zrywając ze skrajnie antysemicką grupą Grzegorza Brauna, zasygnalizowała swój dystans wobec najgorszych stron tradycji endeckiej. W tej samodzielnej roli powinny ją szanować i wspierać inne partie demokratyczne.

Radosław Sikorski miał dobre wyczucie racji narodowych, gdy zaproponował po spotkaniu Mentzena z Trzaskowskim przyjacielski wypad do pubu. Nie bez znaczenia jest też przychylna na ten gest reakcja współprzewodniczącego Konfederacji. Warto bowiem mieć na uwadze, że – w odróżnieniu od typowych dla obecnej polskiej sceny politycznej wodzowskich partii politycznych – Konfederacją kieruje kolektywna Rada Liderów, czyli szefów podmiotów, jakie ją zawiązały. Co samo przez się też jest polityczną, demokratyczną deklaracją i dobrze o nowej partii świadczy.

ANDRZEJ WERBLAN

I znowu o mniejszym złu

Nieśmiało polemizuję z prof. Werblanem

Prof. Andrzej Werblan jest człowiekiem, o którym z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że jest dla mnie autorytetem. Co więcej: jedynym. Nie nam skłonności do posiadania autorytetów – na skali F, badającej osobowość autorytarną, uzyskuję wynik rzędu 15 na 100. I to głównie dlatego, że wysoko punktuję w obszarze „destruktywność – cynizm", o co obwiniam 25 lat pracy w „NIE".

Jednak dla ludzi lewicy posiadanie autorytetu oznacza to, że go słuchamy – a nie to, że jesteśmy mu posłuszni.

Spojrzenie prof. Werblana na Konfederację z całą pewnością wywoła zaskoczenie – jeśli nie oburzenie – wielu Czytelników.

Wśród ludzi lewicowych i progresywnych formacja ta ma najgorszy z możliwych wizerunków, pogłębiany konsekwentnie przez mainstreamowe media przypominające „piątkę Mentzena" czy straszliwe idiotyzmy, które wygaduje jego doradca Jacek Hoga wzywający do tego, żeby trzymać kobiety w domu i nie pozwalać im zarabiać, bo wtedy „pokornieją". Andrzej Werblan sugeruje spojrzenie poza te idiosynkrazje i merytoryczne rozważenie programu Konfederacji, który – w wielu punktach – jest rzeczywiście godny uwagi. Jak na przykład nietypowy dystans, który formacja Mentzena i Bosaka trzyma wobec szeroko pojętej kwestii ukraińskiej. Co naturalnie powoduje przyprawienie jej gęby ruskiej onucy, a co – tu w pełni zgadzam się z prof. Werblanem – jest tak naprawdę racjonalnym i pozbawionym egzaltacji spojrzeniem na geopolityczne położenie Polski.

To, co mnie w Konfie martwi, to nawet nie jest jej ekstremistyczny konserwatyzm obyczajowy, podszyty, jak wszystkie takie postawy, prymitywną mizoginią – co najlepiej ilustruje postulat, żeby zakazać także przerywania ciąży pochodzącej z gwałtu. Tutaj akurat nie mam specjalnych obaw – za zaostrzenie ustawy antyaborcyjnej PiS zapłacił utratą władzy i Mentzen wraz ze swoją formacją są za cwani, żeby powtórzyć ten błąd.

Bardziej niepokoi mnie głoszony przez Konfederację darwinizm społeczny. Ostatnio głoszony półgębkiem – nie ma już na przykład mowy o „weterynaryzacji służby zdrowia", tylko o „konkurujących funduszach ubezpieczeń zdrowotnych". Ale to jest przecież postulat, aby służba zdrowia kierowała się logiką zysku – a wtedy zawsze ludzie umierają. Również zapisany w deklaracji Mentzena absolutny postulat niepodnoszenia żadnych podatków budzi mój głęboki sprzeciw; podatki nie są złem, które trzeba zwalczać, są narzędziem redystrybucji dochodu i najbogatsi płacą ich w Polsce zdecydowanie za mało.

„Działalność kapitału ograniczona jest ustawodawstwem pracy, którego charakter w znacznej części jest taki, że dezorganizuje ono i hamuje wytwórczość; wreszcie kapitał prywatny obarczony jest takimi ciężarami, które go niszczą" – lamentował Roman Dmowski w „Zagadnieniu rządu" z 1927 r. „Pracodawca i pracownik to są dorośli ludzie. Państwo nie powinno się wtrącać w to, co robią między sobą. Jestem zwolennikiem, żeby każdy pracował na takiej umowie, na jakiej chce" – mówił Mentzen w debacie z Petru dwa lata temu. A w zeszłym roku dał ogłoszenie, w którym szukał pracowników do jednej ze swoich firm. Oferował zarobki poniżej płacy minimalnej i dodawał: „Szukamy osób, które chcą pracować ponad normę (...). Jeżeli najważniejszy jest dla Ciebie work-life balance, to raczej się nie dogadamy". Pod tym względem Konfederacja i jej kandydat bezsprzecznie są dziedzicami Dmowskiego i endecji.

Z tego punktu widzenia PiS – który, przynajmniej w czasach swoich rządów, był znacznie bardziej propracowniczy niż prokapitalistyczny – wydaje mi się jednak mniejszym złem.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 97f5af6175

Powrót demona neoliberalizmu

Natura ciągnie Tuska do lasu

Z rozbawieniem czytałam, jak jakiś ekspert od mowy ciała dla serwisu Plotek przeanalizował mowę ciała premiera w trakcie powyborczego orędzia. Orzekł, że Tusk miał „wilcze, groźne spojrzenie". A zatem faktycznie Prezes miał rację, kiedy mówił w 2008 r.: „Nie jest prawdą, że tylko ja dostrzegam wilcze oczy Donalda Tuska, bo wielu ludzi to dostrzega". Jak mówi mądrość ludowa, natura ciągnie wilka do lasu, a ową naturą premiera – jeszcze od lat 80. – jest liberalizm, a raczej neoliberalizm i neokonserwatyzm.

Pożegnanie z demokracją

Wszystko wskazuje, że Tusk – po tym, jak rzekomy i wyłącznie deklaratywny skręt PO w lewo wyniósł go ponownie na premierowski stołek – właśnie dokonuje faktycznego skrętu w stronę wręcz przeciwną.

Trzaskowski łasił się do Konfy, zgrywał twardego faceta i przejebał z kretesem. Wyciągnięto z tego następujący wniosek:

piwo z Mentzenem to za mało, Polacy to konserwatyści, trzeba mocniej w prawo. Innymi słowy: porzuciliśmy to, co nam dało sukces, i brniemy dalej w to, co nam przyniosło klęskę. Logika zaiste nieubłagana. Pozostaje czekać na wódkę z Braunem.

Darmowa porada dla strategów z PO: nie stawiajcie na stół koszernej, ukraińskiej ani kolorowej!

Coraz dziwniej w uszach teoretyczki polityki brzmi nazywanie obecnie rządzących mianem „demokratów" czy „obozu demokratycznego". W naukach o polityce od lat już się utarło, że połączenie neoliberalizmu i neokonserwatyzmu niszczy nawet ustabilizowaną demokrację – co widzieliśmy choćby w USA i UK. Coraz więcej słów i działań obecnej władzy RP świadczy o skręcie w tę właśnie antydemokratyczną stronę.

„Winą za systemowe porażki obarcza się jednostki. Nasiąkamy tą filozofią, aż w końcu stajemy się własnymi oprawcami" – piszą w wydanej właśnie w Polsce książce „Niewidzialna doktryna. Tajna historia neoliberalizmu (i tego, jak przejął kontrolę nad Twoim życiem)" George Monbiot i Peter Hutchinson.

Podkreślmy, że doktryna neoliberalizmu – wolne rynki, wolny handel, silne prawa własności prywatnej – od początku była dość daleka od jego praktyki. Neoliberalizm – czytamy u marksistowskiego geografa Davida Harveya – miał dwa cele: ożywienie kapitalistycznej gospodarki i przywrócenie władzy klasowej. Pierwszy udał się raczej średnio, drugi – wręcz wspaniale. Nierówności wróciły do czasu lat 20. XX w. (co wtedy skończyło się wielkim kryzysem i dojściem Hitlera do władzy), coraz więcej dochodów można czerpać nie z pracy, lecz z własności. Nie wierzycie? Spytajcie tych wszystkich naszych parlamentarzystów (włącznie z tzw. lewicą), którzy regularnie przytulają grube tysiące z wynajmu swoich nieruchomości biznesowi i osobom prywatnym.

Złotą regułą małżeństwa neoliberalizmu i neokonserwatyzmu jest hierarchia. Wolny rynek, stawiający na konsumenta kosztem obywatela, kończy się pustką moralną i emocjonalną, bo hasło „bogać się albo giń" po prostu kawałkuje społeczeństwo, czyniąc z niego stado aspołecznych egoistów. Odpowiedzią są neokonserwatywne „wartości tradycyjne", „wartości rodzinne", w polskiej wersji – wartości chrześcijańskie (czytaj: katolickie). Nierówność uznaje się za fakt naturalny i niezmienny, co więcej, sztywną hierarchię trzeba wspierać: dzieci mają słuchać rodziców, kobiety – mężczyzn, pracownicy – szefów, każdy – policjanta, generała i klechy. Co gorsza, owa nierówność nie podlega dyskusji, a wszelkie pomysły, aby jej zaradzić, tłumi się w zarodku.

Amerykańska badaczka Wendy Brown podkreśla jadowitość połączenia neoliberalizmu i neokonserwatyzmu: nasycając państwo, politykę i społeczeństwo racjonalnością ekonomiczną, eliminuje się zaangażowanie obywateli w kulturę polityczną. Nieuchronnym kosztem takiego społeczeństwa jest trwała podklasa, a nawet i klasa przestępcza.

Polityka w lesie

Tusk i jego akolici przez lata przekonywali, że im mniej własności państwa w gospodarce, tym lepiej. Państwo winno leżeć palnikiem do góry jak Ferdek Kiepski, a wszystko zrobi niewidzialna ręka rynku. Argumentem za prywatyzacją była m.in. niekompetencja partyjnych nominatów w spółkach Skarbu Państwa, ich zarządach i radach nadzorczych. Ten argument nie stracił na aktualności i dzisiaj, ale PO i uśmiechnięta koalicja lubią się paść na publicznym, więc będzie „repolonizacja gospodarki" (Kaczyński jest wkurwiony, że mu pomysł Tusk zwinął sprzed nosa), czyli więcej synekur dla swojaków.

Oczywiście z krytyki pozaekonomicznych decyzji państwowych firm z czasów PiS nic nie zostało. Teraz te podmioty będą finansować to, czego chce obecny rząd, a do czego prywatny biznes – który musi liczyć się ze swoim groszem – jakoś szczególnie się nie garnie… Chętnych do wyłożenia niepublicznych pieniędzy na np. CPK jakoś nie widać zbyt wielu – w odróżnieniu od przebierających nóżkami, aby zarobić na państwowych kontraktach. Bo realny kapitalista, w odróżnieniu od tego z bajek Miltona Friedmana, kocha interesy z państwem. Wystarczy zobaczyć, jak na publicznym pieniądzu wykarmił się Elon Musk – tak za administracji republikańskich, jak i za demokratycznych.

Trzeba podkreślić, że idea Tuska, aby kierował jednym z najmniejszych – i najtańszych – rządów w Europie, jest tak durna i mydląca oczy, iż trudno nawet poważnie ją skomentować. Jest to część neoliberalnej agendy, ucieleśnionej w sławetnym bon mocie Ronalda Reagana: że dziewięć najbardziej przerażających słów to „I'm from the government and I'm here to help" – czyli „jestem z rządu i jestem tu, by pomóc".

Niska jakość administracji publicznej, marna służba zdrowia, dogorywająca publiczna edukacja i nauka – to bariera rozwoju kraju. Moja znajoma jest sekretarką medyczną w uniwersyteckim szpitalu – zarabia ciut powyżej pensji minimalnej, nie dostaje trzynastki, bo – teoretycznie – nie należy do budżetówki. Jako profesorka uczelniana zarabiam (z długą wysługą lat) nieco ponad 7 tys. zł na rękę. Lada dzień nauczyciel przed pięćdziesiątką będzie jak yeti: wielu będzie o nim mówić, nikt go nie będzie widział w szkolnych klasach.

Czy te oczy mogą kłamać?

W mediach nadal pokutują seksistowskie fantazje o pani w okienku ZUS, US czy innym urzędzie, która pije kawkę, pierdzi w stołek i plotkuje z koleżankami. Tymczasem wiele instytucji publicznych to obozy pracy, gdzie wciąż się szuka pracowników, bo nikt za te grosze nie będzie tyrał. Ostatnio kolega mojego męża przeszedł z administracji samorządowej do branży transportowej i żona go widzi raz w miesiącu przez parę dni, ale ma chociaż na rachunki…

Nie tak dawno Grabaż z Pidżamy Porno śpiewał w „Hokejowym zamku" o tłumie ludzi z napiętymi mięśniami i kaprawymi twarzami, którzy noszą „oba buty prawe". Oba – neoliberalne i neokonserwatywne – wilcze oczy Tuska są prawe.

Neoliberalne ślepię podniosło VAT na żywność, co uderzyło w najbiedniejszych – także budżetówkę, która w tym roku dostała ledwo inflacyjne podwyżki. Neokonserwatywne zaś – wtóruje antyukraińskiej propagandzie prawicy, szczuje na uchodźców.

Premier uśmiechniętej koalicji może nie za bardzo ma naturę demokraty, ale nie jest przecież idiotą. Jeśli idzie o zbrojenia – jest gotów wydać szokująco wielkie pieniądze, których skąpi na walkę z epidemią bezdomności czy śmiertelnych chorób spowodowanych przez smog. To pokazuje jego priorytety: co jest dla niego istotne, a co bez większego znaczenia. Biedakom posłanka PO Kinga Gajewska przyniesie worek kartofli do DPS-u i też będzie w porządku.

Wrył mi się w pamięć dowcip rysunkowy z lat 90.: jeden chłop mówi do drugiego, komentując sąsiadów biegnących przez pole z widłami i kosami na sztorc: „Dzieciaki gdzieś w lesie liberałów widziały". Przez dekadę z górką naród nie mówił inaczej niż „liberały-aferały".

Moim zdaniem po obecnych rządach Tuska ludzie, nie tylko na wsiach, ale i w miastach, też poszukają wideł i kos. Ja już się rozglądam za jakąś ostrzałką i sprawdzam adresy sklepów ze sprzętem rolnym w okolicy, bo potem może być w nich tłoczno…

ZUZ

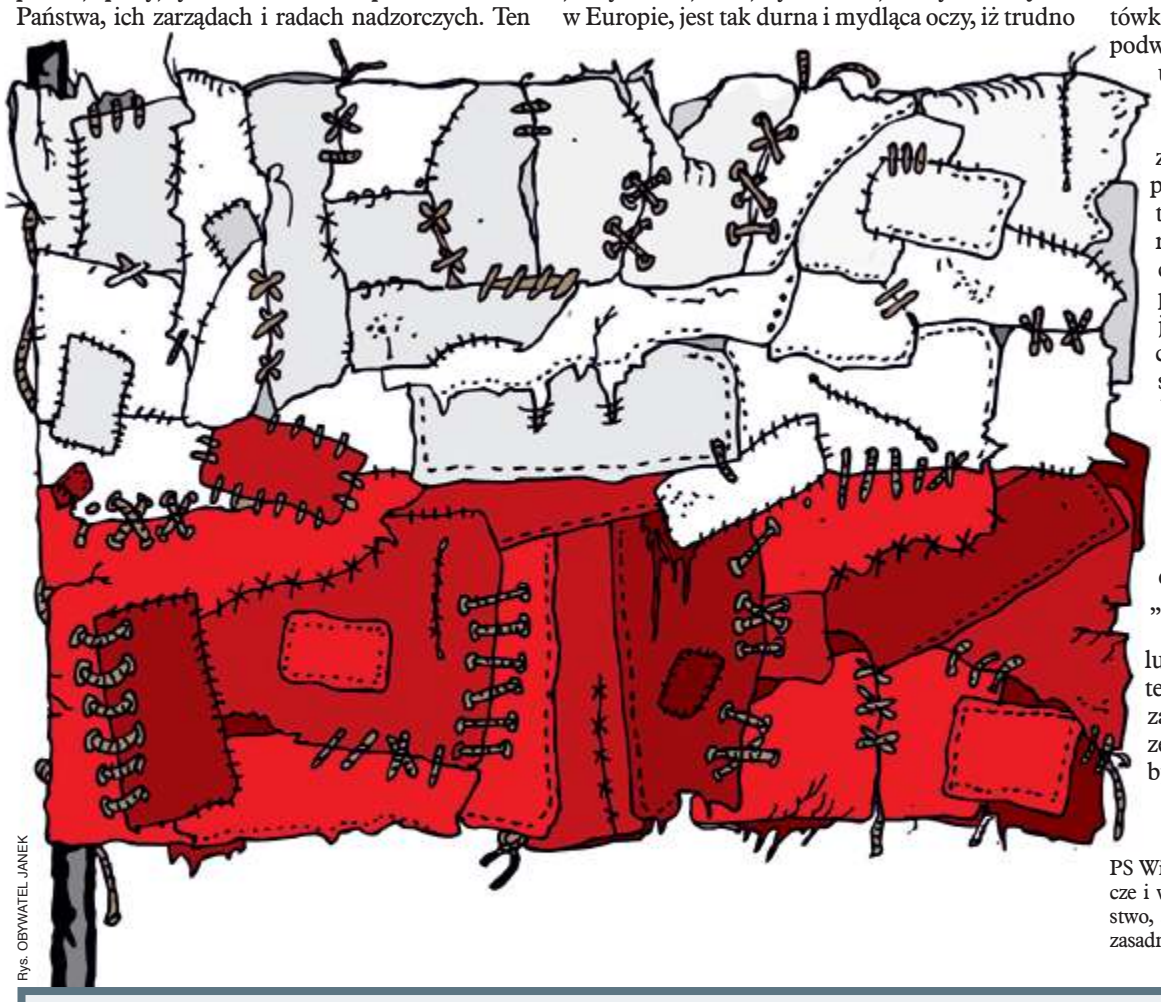

Rys. OBYWATEL JANEK

PS Wilki to wspaniałe zwierzęta. Ich spojrzenie jest tajemnicze i wręcz hipnotyzujące. Polowanie na nie to skurwysyństwo, a przypisywanie im najgorszych ludzkich cech budzi zasadny sprzeciw każdego rozumnego człowieka!

Bez skazy i snusa

Tajemnica wojskowa to coś, czego poznanie przez wroga mogłoby zaszkodzić polskiemu bezpieczeństwu.

Minister Kosiniak-Kamysz podczas jednej z wizyt w Libanie powiedział: „Dzisiaj stoimy dumni, bezpieczni, razem z najlepszymi żołnierzami, najlepszą armią w Europie, najodważniejszymi żołnierzami. Jesteśmy z was dumni". Takiego obrazu polskiego żołnierza nic przyćmić więc nie może.

Pod dywan

Na przełomie XX i XXI w. żandarmeria wojskowa uwielbiała mówić. Wysyłała komunikaty, organizowała konferencje, epatowała detalami. Im bardziej spektakularne zatrzymanie, tym bardziej widowiskowe opowieści. Choćby o tym, ilu funkcjonariuszy przypadało na jednego dilera. Jakie dragi znaleziono. Ilu żołnierzy i ilu cywili złapano. Im więcej amfetaminy, tym dłuższy był briefing. Im bardziej wymyślne miejsca przechowywania marihuany, tym bardziej rozbuchane relacje. Nawet jak złapano szeregowca z jointem, to cała żandarmeria stawała na głowie, żeby dodać, że gościa prześwietlono, a testy włosów potwierdziły wszystko. Oczywiście ku przestrodze.

Dziś wojskowi antynarkotykowi funkcjonariusze mają się czym pochwalić znacznie bardziej. Tyle że tego nie robią. I to nie dlatego, że nie mają weny do pisania komunikatów. Po prostu ktoś z góry dał sygnał: o brudzie w armii nie mówimy.

W 2015 r. zatrzymano żołnierzy z garnizonów w Czerwieńsku, Sulechowie i Międzyrzeczu. Handlowali trawką, amfą, haszyszem. Potem jeszcze wpadło 40 osób z Dęblina, Warszawy i z cywilnej strony. Szeroko opisywano sprawę. Media miały co cytować. Podobnie było w 2017 r., kiedy na Warmii i Mazurach rozbito wojskowy gang z Giżycka. Żandarmeria sama rozdawała informacje. Ujawniono nawet, że zabezpieczono plantację konopi. Mówiono o tym w głównych wydaniach wiadomości, dziennikarze mogli zapytać o szczegóły. Sprawa była głośna, nagłaśniana i naświetlana od każdej strony.

Wszystko zmieniło się po 2018 r. To wtedy MON przejął Mariusz Błaszczak. I nagle doniesień o narkotykach w wojsku ubyło. Nie dlatego, że dragów ubyło. Po prostu ktoś uznał, że PR armii jest ważniejszy niż prawda.

Bo przecież nie może być tak, że mundur się kojarzy z amfą. I tak zostało, choć z drobnymi wyjątkami.

A jednak się bierze

W 2025 r. w ciągu zaledwie kilku tygodni poinformowano o zatrzymaniu kilkunastu żołnierzy. W styczniu trzech z Warmii i Mazur –

eprasa.pl 97f5af6175

Organizacje pozarządowe? Państwu już dziękujemy.

Lex Morda w Kubeł

Kiedy w czerwcu 2023 r. przez pierwsze czytanie w sejmie przeszła nowelizacja ustawy o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, antypisowska opozycja w ramach protestu opuściła salę obrad. Ustawa, potocznie zwana „Lex Knebel", spotkała się bowiem z wielkim protestem organizacji pozarządowych, o które partie obecnej koalicji bardzo zabiegały. W końcu rząd 15 października szedł do wyborów z postulatem podniesienia roli społeczeństwa obywatelskiego.

Niespełna dwa lata później wydymał to społeczeństwo na kaczą modłę.

Nie rzucim ziemi

16 maja br. do Komitetu Stałego Rady Ministrów trafił projekt deregulacyjny, który wprowadza szereg zmian m.in. w ustawie prawie o postępowaniu przed sądami administracyjnymi.

UDER 32 – bo tak nazywa się ów twór – został opracowany w Ministerstwie Sprawiedliwości pod bacznym okiem Arkadiusza Myrchy z Platformy Obywatelskiej. Uzasadnienie projektu wskazuje, że celem zmiany jest – jak ładnie to nazwano – „wyeliminowanie możliwości wpływania organizacji społecznej na sytuację prawną adresata decyzji", co też w przyszłości ma przyspieszyć postępowania administracyjne. Pod tym prawniczym woalem kryje się mało praworządna niespodzianka.

W art. 173 p.p.s.a (prawo o postępowaniu przed sądami administracyjnymi) zaproponowano dodanie nowego paragrafu: „§ 3 Skarga kasacyjna nie przysługuje organizacji społecznej biorącej udział w postępowaniu sądowym w charakterze uczestnika na prawach strony".

Pod pretekstem deregulacji i uproszczenia przepisów rząd chce odebrać organizacjom społecznym możliwość zaskarżenia wyroków wojewódzkich sądów administracyjnych do NSA. Projekt skierowano do KSRM bez przeprowadzenia konsultacji społecznych i uzgodnień międzyresortowych.

Jednoznacznie negatywnie zaopiniowała go Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Myrcha i resort argumentowali, że ograniczenie to ma na celu usprawnienie procesów inwestycyjnych, szczególnie w kontekście dużych projektów infrastrukturalnych, takich jak Centralny Port Komunikacyjny.

Co ciekawe, równocześnie w sejmie procedowany jest „rządowy projekt ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji strategicznych oraz kluczowych inwestycji w zakresie potrzeb obronności państwa i bezpieczeństwa publicznego oraz ustanawiania stref ochronnych dla niektórych terenów zamkniętych". Projekt ten zakłada, że wyżej wymienione inwestycje nie będą podlegały obowiązkowi uzyskania decyzji o uwarunkowaniach środowiskowych, zgód wodnoprawnych czy zezwoleń na wycinkę drzew.

Wszystkie działania planowane w tym zakresie będą opiniowane (opinia nie jest wiążąca!) m.in. przez Wody Polskie, Lasy Państwowe, RDOŚ-e (Regionalne Dyrekcje Ochrony Środowiska) i dyrektorów parków narodowych. Co istotne, opiniowanie to nie ocena oddziaływania na środowisko lub obszar Natura 2000, zatem odbędzie się bez udziału strony społecznej. Niech zgadnę: wszyscy pomyśleli teraz o wschodniej granicy i strefie buforowej? Błąd. Ten projekt dotyczy inwestycji w całym kraju – produkcji materiałów wybuchowych, fabryk uzbrojenia i całej potrzebnej do tego infrastruktury.

Interesująca zbieżność przypadków.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Rzucim ziemią

Deregulacyjny gniot wzięli na warsztat eksperci prawni i same organizacje społeczne. Pracownia na rzecz Wszystkich Istot, ClientEarth czy Fundacja Frank Bold ostro skrytykowały projekt, nazywając go „zamachem na trzeci sektor" i wskazując na niezgodność z art. 45 i 176 konstytucji RP, gwarantującymi dwuinstancyjność postępowania; a także prawem unijnym – konwencją z Aarhus i Kartą Praw Podstawowych UE. Wiewiórki donoszą, że 13 maja 2025 r. do Ministra Sprawiedliwości Adama Bodnara wpłynęło pismo podpisane przez sekretarza stanu Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Ignacego Niemczyckiego, zwracające uwagę na niezgodność zapisów projektu ustawy deregulacyjnej dotyczących organizacji pozarządowych z prawem unijnym właśnie. Niestety, póki co gówno z tego wynikło.

Po fali krytyki ze strony społecznej do sprawy odniosła się paprotka gabinetu Donalda Tuska, minister ds. społeczeństwa obywatelskiego Adriana Porowska. 4 czerwca na platformie X zapewniła, że traktuje zarzuty bardzo poważnie, i zapowiedziała uruchomienie „międzyresortowego przeglądu planowanych zmian legislacyjnych, które mogą mieć wpływ na działalność organizacji pozarządowych".

Głuchy na apele społeczników o interwencję pozostał sam premier Tusk. Możliwe, że w obliczu innych priorytetów, jak przegrana wyborów prezydenckich czy wotum zaufania, nie znalazł czasu na taką duperelę.

Demokratyczna władza polega na budowaniu społecznego poczucia wpływu na rzeczywistość i pamiętaniu, że społeczeństwo może realnie dobrać się władzy do dupy. Bezprecedensowy sukces frekwencyjny w wyborach parlamentarnych z 2023 r. był w dużej mierze zasługą organizacji pozarządowych i ruchów społecznych, które wedle różnych badań zmobilizowały aż 7 proc. wyborców. Obydwie strony – społeczna i polityczna, powinny o tym pamiętać przez najbliższe dwa lata.

IDALIA DUBICKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

5 czerwca w Ambasadzie Rzeczpospolitej Polskiej w Berlinie ministrowie spraw zagranicznych Polski i Niemiec zainaugurowali Forum Polsko-Niemieckie 2025. Podczas uroczystości za szczególne zasługi dla rozwoju stosunków obu krajów nagrodzono Ośrodek Edukacyjny Bredbeck oraz reżyserkę (artystkę, a nie „pomieszczenie w studiu radiowym lub telewizyjnym będące miejscem pracy reżysera") Elwirę Niewierę.

Pani Niewiera ma 49 lat i osiągnięcia nie tak spektakularne jak Quentin Tarantino, jest jednak doceniana za działalność artystyczną i społeczną w Polsce i w Niemczech; ostatnio za pomoc kobietom z Ukrainy.

Po odebraniu nagrody podzieliła się emocjami zgoła niefilmowymi: „To, co wydarzyło w niedzielę w naszym kraju, mam na myśli wybory, sprawiło, że czuję się bezsilna, bo mam wrażenie, że my nie mamy wystarczających narzędzi, aby bronić się przed rosyjską dezinformacją i jej wpływami. Pan Nawrocki nie wygrałby tych wyborów bez wsparcia ze strony rosyjskiej propagandy. Rosja nie jest już tylko problemem Ukrainy. To realne zagrożenie naszej demokracji i bardzo proszę, byśmy tego nie ignorowali"…

Tyle uderzenia w stół. A teraz pisowskie nożyce. Najpierw na X szczęknął Fogiel, a tuż po nim Jacek Sasin. Orzekł, że ambasada Polski „firmuje brednie o »rosyjskiej propagandzie«, bo Karol Nawrocki wygrał wybory". Stanął na palcach, żeby dosięgnąć wszystkich mikrofonów, i zapiszczał: „Obrzydliwe, bezczelne insynuacje. A Sikorski? Milczy. To nie Moskwa was pokonała. To dumni i zmobilizowani Polacy. Ten skandal to wasza hańba, oby jedna z ostatnich. Za dwa miesiące Karol Nawrocki zrobi z wami porządek".

Wiedzieliśmy już, że po wygranej Nawrockiego Czarnek zamknie Onet, a teraz dowiadujemy się, że Sasin, mistrz ciętej koperty, grozi ambasadzie. Co z nią zrobi Nawrocki? Też zamknie?

za handel kokainą, amfetaminą i marihuaną. W lutym – innego zawodowego żołnierza z Lubelszczyzny, u którego znaleziono 100 g suszu i psychotropów. W maju – dziewięciu kolejnych. Znowu Giżycko, znowu Orzysz. Tym razem wyszło, że gang działał od lat, przemyt na dużą skalę, brutalne przestępstwa, 700 tys. zł w gotówce, luksusowe fury, miotacze gazu i broń. Zatrzymano też trzech żołnierzy, w tym z Wojsk Obrony Terytorialnej.

W okolicach Dęblina i Mińska Mazowieckiego zatrzymano 17 osób, w tym ośmiu żołnierzy. Czterech szeregowych, czterech podoficerów – rozprowadzali narkotyki wśród lotników. Znaleziono kilogram amfetaminy i 18,5 kg marihuany. W Zachodniopomorskiem – 19 osób, w tym 10 żołnierzy. Zabezpieczono ponad 3 kg amfetaminy, 1,5 kg marihuany, MDMA, kokainę. Pięciu zatrzymanych trafiło do aresztu. Kolejna akcja: wojskowy z Mazowsza zatrzymany z dużą ilością mefedronu i substancji halucynogennych. Żołnierz WOT przyłapany z tabletkami ecstasy w jednostce w Lublinie. W Białymstoku zatrzymano dwóch podoficerów, którzy rozprowadzali narkotyki wspólnie z lokalnymi handlarzami. Areszt, przeszukania, zabezpieczone telefony, relacje świadków. I wyciszenie.

Bo zmiana nie nastąpiła wraz ze zmianą władzy. Kiedy Błaszczaka zastąpił Kosiniak-Kamysz, nie cofnął instrukcji. Żandarmeria nadal milczy. MON nadal nie komentuje. Nie ma oficjalnych danych. Nadal nie wiadomo, ile testów narkotykowych robi się rocznie w wojsku. Ilu żołnierzy wpada? Ilu ma dozór przełożonego? Ilu kończy w areszcie? Jest brak danych zamiast debaty.

A przecież dane z przeszłości są dostępne. Wiemy, że w latach 1996–1999 odsetek żołnierzy biorących narkotyki wzrósł z 5 do niemal 12 proc. W 1999 r. 4,4 proc. z nich ćpało w czasie służby. Później, w latach 2002–2005, 25 proc. poborowych przyznawało się do kontaktu z narkotykami. W trakcie służby ten odsetek spadał, ale 13 proc. mówiło wprost: dragi w jednostkach są. Dziś – zero takich danych. A skoro nie ma informacji, to nie ma problemu. Armia jest czysta. Przynajmniej na papierze.

Nadżołnierze

Milczy się o tym, skąd narkotyki w wojsku się wzięły. Tymczasem historia substancji psychoaktywnych w armii jest długa. W czasie II wojny światowej amfetaminę wydawano żołnierzom w Wehrmachcie i Luftwaffe pod nazwą Pervitin. Brytyjczycy i Amerykanie też to robili – instrukcja kazała pilotom łykać 5 mg co sześć godzin. Dzięki temu mogli lecieć długo, nie spać, nie jeść i strzelać, kiedy tylko kazano. Amfa miała też to do siebie, że wyciszała strach i budowała pewność siebie. Z pilota robiła maszynę. W 2006 r. w USA piloci sił powietrznych nadal mogli dostać dexedrynę – pochodną amfetaminy. Dopiero tragedia w Kandaharze, kiedy pilot na haju zabił kanadyjskich żołnierzy, zmieniła te praktyki. Ale nie zmieniła przekonania, że psychoaktywy mogą się wojsku przydać.

Podczas misji ISAF w Afganistanie regularnie pojawiały się doniesienia o nadużyciach substancji psychoaktywnych przez żołnierzy – zarówno polskich, jak i sojuszniczych. W jednym z raportów z 2013 r. pojawiła się informacja, że część żołnierzy wykorzystywała dostęp do leków przeciwbólowych i uspokajających, by mieszać je z alkoholem. W innym przypadku na jednej z baz stwierdzono obecność syntetycznych kannabinoidów. Oficjalnie – jednostkowe przypadki. W rzeczywistości temat szybko przykrywano. Jakby sama obecność problemu mogła zagrozić morale kontyngentu.

W armii amerykańskiej jeszcze w 2020 r. 11 proc. żołnierzy przyznało się do użycia nielegalnych substancji. W Wielkiej Brytanii – po serii skandali z kokainą i ecstasy w jednostkach RAF – wprowadzono obowiązkowe testy losowe. W Niemczech wykryto w 2019 r. kilkudziesięciu żołnierzy Bundeswehry, którzy organizowali imprezy z ketaminą i LSD. W Izraelu – regularne raporty o żołnierzach IDF przyłapanych na paleniu marihuany. To globalna sprawa. Wszędzie, gdzie jest armia, są też narkotyki. Różnica polega na tym, czy się o tym mówi, czy milczy. I czy milczenie to jest wyborem, czy strategią.

W polskim orzecznictwie wojskowym pojawiały się wyroki wobec żołnierzy złapanych na narkotykach. W latach 2020–2024 zapadło kilkanaście takich wyroków – od kilku miesięcy więzienia w zawieszeniu przez dozór kuratora aż po kilkuletnie odsiadki. Najcięższe kary orzekano wobec tych, którzy nie tylko brali, ale i handlowali. W 2022 r. w Gdańsku sąd skazał byłego żołnierza na cztery lata bezwzględnego więzienia za obrót MDMA i kokainą. W 2023 r. w Warszawie – 3,5 roku za rozprowadzanie amfetaminy wśród kolegów z jednostki. To jednak jednostkowe sprawy. Większość kończy się cichym przeniesieniem i dyscyplinarką. Czasem bez słowa, bo tak jest wygodniej dla dowództwa. I może właśnie dlatego w armii jest, jak jest. Skoro narkotyk może z człowieka zrobić lepszego żołnierza, to nie warto się nim za bardzo przejmować. Zwłaszcza jeśli nikt się o tym nie dowie.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 97f5af6175

Rządzić, nie będąc u władzy

Nie chcę o tym, dlaczego Trzaskowski przegrał, bo inni już to zrobili. W większości ich wywody były słuszne, choć zasadniczo mylne. Bo owszem, przegrał. Ale zdobył 10 mln głosów, a to wynik więcej niż przyzwoity. Różnica jednego procenta to nie nokaut, tylko rysa na wyniku. Nie jest wcale oczywiste, że gdyby wypadł lepiej w debacie albo gdyby jego kampanią nie zarządzała osoba o kwalifikacjach z „Dzień Dobry TVN", to rezultat byłby inny. To zbyt prosta interpretacja. Świat i polityka tak nie działają.

Przyjrzyjmy się fenomenowi rzeczywistego przeciwnika Trzaskowskiego. Pochylmy się nad tym unikatem na skalę światową – człowiekiem, który nie startuje, nie kandyduje, nie zabiega... a i tak rządzi wszystkim i wygrywa. Tym, który rozegrał Trzaskowskiego.

Fenomen trwania

Ów nie goni za pieniędzmi, nie celebruje luksusu, nie potrzebuje aprobaty mediów. Nie ma dzieci. Nie ma żony. Nie jeździ do Toskanii. Nie biega, nie pływa, nie gra w golfa. Jego potrawą nie są ośmiorniczki. Przeciwnik ten jest jak polityczna wieczność od Wałęsy do Nawrockiego – nieprzerwana obecność. Nie kandydował, nie wygrywał, nie miał teki – ale trwa. Rządy się zmieniają, on zostaje. Partie się dzielą, on scala.

Każdy inny lider zużywa się z biegiem lat. On zyskuje: jak czerwone wino, tylko bez uśmiechu. Im dłużej trwa, tym bardziej staje się oczywistością polityczną. Jak krzyż na ścianie szkoły – nikt nie wie, kto go powiesił, ale lepiej nie zdejmować. Nie ma Facebooka. Nie prowadzi kampanii jak inni. Nie udziela wywiadów, które coś wyjaśniają. Jego czystość intencji pozostaje zawsze nietknięta. Sprawiedliwym zatem jest, że osiąga polityczne wpływy i sukcesy (w swoim własnym rozumieniu, ale przecież nie tylko).

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Architekt cieni

Marzenia bywają różne, ale pragnienie zostania „emerytowanym zbawcą narodu" to już ekstraklasa. Wymaga psychiki ze stali, ego wielkości Śniardw, poczucia absolutnej wyjątkowości i nieposkromionej żądzy zapisania się w historii, i to jeszcze za życia.

On nie jest cynikiem w stylu Orbána czy Berlusconiego. On naprawdę może wierzyć, że robi dobrze. Nawet jeśli używa złych metod, to cel jest wyższy: naród – silny, katolicki, z godnością. On kocha Polskę, ale nienawidzi Polaków w ich faktycznej postaci – rozedrganych, liberalnych, pijących sojowe latte i głosujących na Hołownię. On wie, że demokracja to chaos, więc trzeba ją obudować strukturą moralną. Stąd już krok do faktycznego despotyzmu, który ów reprezentuje, i tu pojawia się problem: czy bardziej przeraża nas despota cyniczny, czy despota ideowy? Bo cynik da się przekupić. A ideowiec nie cofnie się przed niczym, jeśli uwierzy, że tak trzeba.

Hodowca prezydentów

Ten „szeregowy poseł" ma takie doświadczenie kadrowe, że mógłby prowadzić własną szkołę tresury elit. Przyjrzyjmy się jego osiągnięciom, bo lista nazwisk, które zawdzięczają mu wszystko, jest dłuższa niż kolejka po posady w spółkach skarbu państwa.

Lech Kaczyński – brat pomnikowy. Największy i najbardziej osobisty projekt kadrowy wypromowany z zaplecza opozycji do: ministra sprawiedliwości (2000), prezydenta Warszawy (2002) i prezydenta RP (2005). Po śmierci zrobił z niego figury sakralne: bohatera, ofiary, wzorca polskości.

Andrzej Duda – prezydent znikąd, wbrew logice partyjnej i zdrowemu rozsądkowi. Pozbawiony własnego zaplecza.

Beata Szydło – premier przejściowy. Wypromowana jako ludowa matka narodu. Słuchała, milczała, awansowała do Parlamentu Europejskiego.

Mateusz Morawiecki – bankier koronny. Mówi po angielsku, wygląda na Europejczyka. Świetny do zdjęć, średni w zarządzaniu.

Kolejni namiestnicy to: Zbyszek – mściwy pomazaniec, chciał zostać następcą. Wciąż w grze, ale bez klucza do szafki. Błaszczak – człowiek karton. Trwa, oddycha, nie mówi nic sam z siebie. Mebel rządowy. Julia – odkrycie towarzyskie. Z trybunału zrobiła kiosk z decyzjami na życzenie. Bez paragonu. Antoni – minister UFO. Obecnie senator senior. Zna prawdę o Smoleńsku, Putinie i masonerii. Czarnek – ksiądz cywilny. Obajtek – wójt koncernu. Joachim – sierżant dyscypliny. No i nie zapomnijmy powoli zapominanego, tego tam, Jacka z PC. Minister prawdy w TVP. Kiedy przestał być potrzebny – wysłany do Banku Światowego. W nagrodę? Sam nie wie. Dodajmy jeszcze Elżbietę Witek, Ryszarda Terleckiego, Marka Kuchcińskiego – figury porządku sejmowego. Pełnią funkcje zaufania i porządku, nie mając samodzielnej politycznej osobowości. A w końcu Prezes zrobił sobie Karola – Prezydenta 3.0.

Korona z plastiku, która trzyma Polskę w żelaznym chwycie

Od czasu, gdy Polska przestała być monarchią, nie było w tym kraju człowieka, którego nieformalna, a jednak absolutnie rzeczywista władza sięgałaby tak głęboko i szeroko jak władza Prezesa. Dla porównania: Władimir Putin musi zamykać przeciwników w łagrach, Viktor Orbán musi majstrować przy konstytucji i podporządkowywać sobie sądy, ale Prezes? On po prostu dzwoni. Telefon od Prezesa to nie jest komunikat. To wydarzenie ontologiczne. Świat się dzieli na to, co było przed telefonem, i to, co po nim.

Nie musi krzyczeć. Nie musi grozić. Nie musi nawet się przedstawiać. Samo „Prezes prosi o rozmowę" działa jak wyrok sądu ostatecznego, który nie podlega apelacji. To jest władza feudalna w systemie parlamentarnym, egzekucja nie przez instytucję, tylko przez gest, spojrzenie, telefoniczny *befehl*.

Dla porządku: nie, Prezes nie jest Hitlerem. Ale mechanizm działania jego władzy – ten bezpośredni, pozakonstytucyjny, oparty na lojalności i strachu – nosi wyraźne cechy rozkazu wodzowskiego. Prezes nie pisze ustaw. Ustawy piszą się same, bo ktoś przeczuwa, że może tak by chciał. Prezes nie ustala kadencji. One się dzieją, bo „był sygnał". Prezes nie zarządza budżetem, ale kto nie dostanie dotacji, ten wie dlaczego.

Tak wyglądał ustrój jednego człowieka, który nigdy nie musiał założyć korony, bo cały kraj nauczył się klękać, zanim jeszcze wszedł do pokoju. Skutki tej władzy przez telefon są opłakane.

Sukces jednostki, klęska państwa

Bo o ile personalne sukcesy Prezesa są niepodważalne (prezydentów, premierów, prezesów i figurantów ustawia z taką łatwością, z jaką przeciętny Polak przestawia krzesła na działce), o tyle efekty dla kraju – realne, mierzalne, długofalowe – pozostały katastrofalne.

Trzeba to przypomnieć: pseudoreformy Ziobry doprowadziły do paraliżu systemu sprawiedliwości. Polska została wykluczona z europejskiego systemu wzajemnego uznawania wyroków. Sędziowie ścigani dyscyplinarnie za niezależność – jak w Białorusi, tylko z kotylionem. Polska z pozycji lidera Europy Środkowo-Wschodniej spadła do roli chorego człowieka UE. Zamrożone miliardy z KPO przez brak praworządności. Retoryka oblężonej twierdzy: Bruksela jako nowa Moskwa, tylko bez czołgów.

Szkoły zamieniły się w ideologiczne szklarnie dla konserwatywnych pomidorów. Podsycanie nienawiści: przeciw LGBT, przeciw kobietom, przeciw „elitom". Język wojny kulturowej jako język narodowy. Paranoja smoleńska jako dogmat państwowy. 500 plus, 13. i 14. emerytura, dodatki, dopłaty, bony – bez reform, bez żadnego planu inwestycyjnego czy modernizacyjnego.

Zadłużenie państwa poza kontrolą: kreatywna księgowość, fundusze pozabudżetowe, równoległe budżety.

Upadek przedsiębiorczości: presja fiskalna, skomplikowany system podatkowy, nieprzewidywalność przepisów, upolitycznienie gospodarki. Centralne planowanie à la PRL 2.0: państwo jako największy pracodawca, największy właściciel, największy beneficjent – i największy bałaganiarz.

Kołowrót władzy

To nie nastąpi ponownie? Mówicie, że przyszło nowe, bo od dwóch lat rządzi Koalicja Obywatelska? Rzeczywiście? PiS właśnie wygrał kolejne wybory prezydenckie – i to nie przypadkiem. Przypomnijmy: w wyborach parlamentarnych w 2023 r. to PiS zdobył najwięcej głosów. I gdyby nie brak zdolności koalicyjnej, nadal by rządził. To nie wyborcy odsunęli PiS od władzy – zrobiła to arytmetyka sejmowa. A Morawiecki przecież złożył projekt rządu. Nie zapominajmy, kto tu czuje się właścicielem państwa.

Minęły dwa lata. I co pokazują wybory prezydenckie? Że rządząca koalicja nie ma większościowej legitymacji społecznej. Prezes nie ma władzy, ale ma większe poparcie niż ci, którzy tę władzę sprawują.

To właśnie dlatego znów mówi o rekonstrukcji rządu, nowych koalicjantach, a może nawet przedterminowych wyborach. On czuje krew. Czuje moment. Powrót PiS-u do władzy jest realny. I nie będzie inny – będzie dokładnie taki sam jak ten, który znamy z owych ośmiu lat.

Ba, może być nawet brutalniejszy. Tym razem z poczuciem triumfu: „Oddaliśmy władzę, opozycja nie sprostała. Teraz możemy pozwolić sobie na więcej". I pozwolą sobie.

Scenariusz fantastyczno-kaczyzmologiczny

PiS wraca do władzy, na czele nowy-stary premier – Morawiecki, może Brudziński, może Błaszczak, może kot w garniturze – wszystko jedno. Prezes znowu dzwoni, kraj znowu zastyga.

A potem się zaczyna. „Dziś o 4:37 polskiego czasu rosyjski dron naruszył naszą przestrzeń powietrzną nad Wawrem. Nie możemy tego tolerować"… Rząd ogłasza stan nadzwyczajny. Mobilizacja. Polska sama rusza na wschód. Macron dzwoni, Trump apeluje, NATO podnosi brwi.

„To nie my wychodzimy z Unii. To Unia wychodzi z Polski". Nowy premier ogłasza „tymczasowe zawieszenie traktatów unijnych na terytorium RP".

Delegalizacja nieprzychylnych nastrojów. „Nie możemy tolerować negatywnych emocji wobec państwa polskiego" – projekt nowelizacji kodeksu karnego.

Następnie zniesiemy trójpodział władzy. Jest „zbyt francuski". Nowy ustrój: seniorokracja narodowo-katolicka z elementami preromantyzmu. Marsze równości organizowane tylko w lesie i za zgodą biskupa.

Absurdystan: nowy porządek świata

To nie jest już parodia. To nie jest nawet pastisz. To, co widzimy, to realna, pełzająca przyszłość, która wcale nie nadchodzi, tylko już tu jest. Od 11 lat nonsens jest w natarciu, a głupota tryumfuje – na całego, bezwstydnie, z uśmiechem i fanfarami. I co najgorsze:

absurd ma większość. Nie dlatego, że większość jest zła. Tylko dlatego, że większość nauczyła się żyć w absurdzie jak w przeciągającym się śnie, gdzie wszystko jest trochę głupie, trochę straszne, ale jakoś działa.

Bo przecież działa, prawda? Węgiel jest? 800 plus jest? Emerytury są? No to o co wam chodzi?

I tak się właśnie buduje nowy porządek świata – na gruzach sensu, logiki i odpowiedzialności. Nie ma mechanizmów, żeby to zatrzymać. Jesteśmy bezradni. Każdy mechanizm już został wyśmiany, zlekceważony albo wymieniony na swój odpowiednik.

Tu już nie chodzi o politykę. Tu chodzi o klimat cywilizacyjny. To moment, w którym głupota nie jest wypadkiem, tylko systemem. W którym nonsens nie jest błędem, tylko strategią. W którym rozsądek nie przegrywa, bo się spóźnił – ale dlatego, że nie jest zabawny. Absurd nie musi się już tłumaczyć. On ma większość. I wygląda na to, że na razie nie zamierza jej oddać.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 97f5af6175

Język portfela

Rząd znosił jaja, ale nie gdakał

Rząd weźmie się teraz do pracy – obiecał premier Tusk. Podobnie do roboty ruszyć ma w parlamencie rządząca jeszcze Koalicja Październikowa. Do tej pory koalicja nie uchwalała wielu obiecanych wyborcom ustaw. Jej parlamentarzyści tłumaczyli, że szkoda na to czasu, skoro prezydent Duda i tak te ustawy na pewno by zawetował. A koalicja nie ma wymaganych 267 głosów, aby jego weto odrzucić. Zatem zamiast tracić czas na czasochłonny, z góry skazany na porażkę proces legislacyjny, lepiej poczekać na nowego, już „naszego" prezydenta. I wtedy wszystko gładko uchwalić.

Od 2 czerwca 2025 r. koalicjanci wiedzą już, że „naszego" prezydenta przez kolejne pięć lat nie będzie. Nie ma też pewności, że taki objawi się po 2030 r. Zatem koalicja musi uchwalać ustawy skazane na prezydenckie odrzucenie. Czynić to zaraz po zaprzysiężeniu Nawrockiego. Przy okazji okaże się, czy koalicja ma je już gotowe. Czy jej legislacyjne szuflady pełne są, czy puste.

Rząd weźmie się do pracy zgodnie z obietnicą premiera. Co nie znaczyć ma, że wcześniej leniuchował. Rząd ciężko i efektywnie pracował, tylko wyborców o tym nie informował. Kura gdacze, kiedy tylko zniesie jajo. Rząd Tuska wiele jaj zniósł, ale nie gdakał.

Takie przesłanie obowiązuje teraz wśród parlamentarzystów Koalicji Obywatelskiej. I wielu parlamentarnych koalicjantów też. Dlatego wszyscy zgodzili się, że w trybie pilnym musi być powołany rzecznik prasowy rządu. Gdakaniem ogłaszający każde zniesione przez władzę jajo. Pisankę każdą.

Jak zwykle przy takich okazjach ruszyła giełda nazwisk. Po tygodniach konsultacji koalicjanci zgodzili się, że gdakającym powinien zostać zawodowy dziennikarz. Najlepiej kobieta, ale nie redaktor Dorota Wysocka-Schnepf.

Na giełdę politycznych nazwisk wrócił też poseł mecenas Roman Giertych. Bo wstąpił w szeregi Koalicji Obywatelskiej, a ta nawet tak ekstremalnego przeszczepu politycznego nie odrzuciła. Dowodząc, że potrzeba etapu dziejowego jest silniejsza od ram ideowych.

Wedle parlamentarnych plot twardy Roman zastąpić ma zbyt miękkiego Adama Bodnara na stanowisku ministra sprawiedliwości. Potem Roman, skuteczny jak Conan Barbarzyńca, dokończy wielkiego dzieła rozprawy ze złodziejami z PiS-u. Skazanych później na ułaskawienie przez prezydenta Karola.

Chudną nastroje

Na razie premier Tusk zaproponował swej partii i koalicjantom głosowanie nad wotum zaufania dla siebie i rządu. A potem jego szybką rekonstrukcję, czyli odchudzenie składu rządu.

Taki plan uda mu się przynajmniej w połowie. Wszelkie znaki na niebie polskiej demokracji wskazują, że wotum zaufania premier dostanie. Gorzej będzie z odchudzeniem rządu, czyli pozbawieniem stanowisk ministerialnych mniejszych koalicjantów.

Gadatliwy ostatnio marszałek Hołownia rzekł, iż „słyszy pohukiwania" o tym, że jego partia ma tylko 5 proc. poparcia, podczas kiedy KO – 30 proc. – Spróbujcie rządzić bez tych pięciu procent. Weźcie sobie swoje 30 procent i spróbujcie rządzić. Ludzie tak rozdali dzisiaj karty, że każdy z nas ma pakiet kontrolny i każdy z nas musi każdego słuchać – dodał.

Niestety, nawet piękne gdakania i udane tasowania kart nie zapewnią obecnie rządzącym szybkiego wzrostu poparcia wyborców. Według ostatnich badań IBRiS ponad 57 proc. ankietowanych obywateli III RP uważa, że w ciągu ostatniego roku zbiednieli, a ich życie codzienne stało się droższe. Szczególnie pesymistycznie swą sytuację oceniają ludzie młodzi w wielu 18–29 lat i osoby w wieku 50–59 lat. Wśród najmłodszych aż 82 proc. deklaruje, że żyje im się gorzej. Nietrudno zauważyć, że większość z nich zagłosowała na Nawrockiego lub nie uczestniczyła w drugiej turze wyborczej.

Aż 67 proc. mieszkańców wsi deklaruje poczucie zubożenia i 55 proc. mieszkańców małych miast. Aż 93 proc. wyborców PiS z 2023 r. twierdzi, że żyje im się gorzej. Podobne zdanie ma tylko 19 proc. wyborców KO. Większość z nich, bo 57 proc., uważa, że ich sytuacja się nie zmieniła.

Badania IBRiS potwierdzają, że nastroje zadowolonej, elitarnej, wielkomiejskiej Polski rozchodzą się z resztą mieszkańców kraju. Nawet krajowy liberalny komentariat medialny przestrzega liderów KO, że narastanie tak negatywnych nastrojów może doprowadzić do spadku konsumpcji w drugiej połowie roku, mniejszych oszczędności na przyszłe emerytury i wzrostu presji na socjalne transfery budżetowych pieniędzy. Rząd ma niewiele czasu, aby ulżyć najbiedniejszym. Alternatywą jest kolejny bunt przy urnach wyborczych.

– To dla nas sygnał, że poprawa wskaźników makroekonomicznych nie przekłada się jeszcze na odczucia społeczne. Musimy mówić językiem portfela, a nie tylko statystyk – przyznał w Radiu ZET minister finansów Andrzej Domański. Wspiera go marszałek Hołownia. Zauważa, że dzisiaj nie ma konfliktu lewicy z prawicą. Jest konflikt elity–zwykli ludzie. I teraz koalicja powinna zacząć opowiadać się po stronie zwykłych ludzi, a nie elitarnej warszawki, elitarnych liberałów.

Proponuje, aby rząd pokazał, że jest po nieelitarnej stronie i wprowadził tzw. windall tax, czyli podatek od nadmiarowych zysków. Banki i tak zarabiają krocie na stopach procentowych i marżach, uzasadnił.

Odezwał się też Europejski Kongres Finansowy. Przedstawił prognozy makroekonomiczne dla Polski, czyli opinie ekonomistów pytanych, jak widzą przyszłość naszej gospodarki. W ankiecie wzięło udział 61 ekspertów rynków finansowych, środowiska naukowego i instytucji publicznych. Według ich prognoz polska gospodarka będzie się rozwijać w tym i przyszłym roku w tempie 3,5 proc. rocznie. Potem wzrost osłabnie, a największym zagrożeniem będzie narastający dług publiczny. Już w przyszłym roku przebije on 60 proc. PKB i będzie dalej rósł i rósł.

Rys. WIDGET

Walka na języki

Karol Nawrocki zapowiedział, że zaraz po zaprzysiężeniu złoży do sejmu swoje projekty ustaw. Wśród nich znalazły się projekty zwolnienia z podatku dochodowego do poziomu 140 tys. zł, dodatkowe ulgi podatkowe dla rodzin wielodzietnych, ulgi energetyczne, konstytucyjny zakaz podatku katastralnego.

Rozpocznie tym wojnę z koalicją rządzącą na języki portfeli. Celem prezydenta nie będzie rzeczywiste uchwalenie tych ustaw, tylko przekazanie wyborcom, że on dobrze chce, ale zły rząd blokuje mu te proludzkie, propolskie pomysły.

Rząd i koalicja też będą musiały przemówić do wyborców portfelowym językiem. Ponieważ prezydent nie może zawetować ustawy budżetowej, to stamtąd popłynie kasa na transfery socjalne.

Czeka nas trzyletni stan blokowania działalności parlamentu i rządu przez prezydenta i działalności prezydenta przez rząd i parlamentu. Masowe komunikowanie się politycznych elit z wyborcami przede wszystkim językiem portfeli. Licytowanie się na przekupywanie.

Wysyp obietnic zgodnie z maksymą klasyka, posła Przemysława Witka: „Cóż szkodzi obiecać?".

Czeka nas też obiecywanie finansowania rozbuchanych zbrojeń, budowy CPK, elektrowni atomowej, polonizacji kolejnych branż przemysłowych. Ale dług polskich finansów publicznych nie przekroczy bariery 100 proc., pocieszają eksperci, bo wcześniej dopadnie nas kryzys.

Czas Brutusów

Optymiści uważają, że chroniczna kampania wyborcza nie rozwali polskiej gospodarki, bo wcześniej rozwali się polska scena polityczna. Teraz rządzą nią weterani polityczni. Jarosław Kaczyński i Donald Tusk. Obaj byli solidarnościowymi antykomunistami. Sojusznikami, przeciwnikami i teraz wrogami. W roku 2027, roku wyborów parlamentarnych, Donald Tusk skończy 70 lat, a Jarosław Kaczyński – 77 lat. Dla trzydziesto- i czterdziestolatków ze Zjednoczonej Prawicy i KO obaj są seniorami, weteranami, dziadersami nawet.

Wielu z młodszych parlamentarzystów Zjednoczonej Prawicy szanuje zasługi Kaczyńskiego. Ale uważa go za przeszkodę w stworzeniu koalicji z konfederatami i prawicowcami z PSL. Nic dziwnego, że upatrują w prezydencie Nawrockim przyszłego lidera, patrona nowej prawicowej koalicji zdolnej uzyskać większość parlamentarną.

Donald Tusk postrzegany jest w KO jako wybitny lider, ale architekt klęski wyborczej Rafała Trzaskowskiego. Polityk kochany w metropoliach, ale znienawidzony na polskiej prowincji.

Nic dziwnego, że po tuskowej zapowiedzi poddania się pod wotum zaufania przypomniano historie dotychczasowych premierów uciekających się do takich praktyk. Przerobili je premier Leszek Miller w 2003 r. i Marek Belka w 2004 r. Choć obaj takie wotum uzyskali, to ich rządy nie przetrwały roku. Bo pomimo tego szybko traciły poparcie wyborców.

Dlatego wśród rządzących teraz koalicjantów pojawiły się pomysły konstruktywnego wotum nieufności. Głosowania poparcia dla nowego koalicyjnego rządu. Z nowym premierem.

Na razie to tylko młócka na języki.

PIOTR GADZINOWSKI

Układ z dziurą

Trzymamy prawicę za słowo

Domknięcie systemu przez wybór Rafała Trzaskowskiego na prezydenta było argumentem, którym prawica szermowała szczególnie ochoczo przed minionymi wyborami. Mało tego, słyszało się go nawet ze strony tych nieprzekonanych, niezdecydowanych. Być może zaważył on w jakimś stopniu na ich postawie w drugiej turze: albo nie poszli do wyborów, albo oddali głos na Karola Nawrockiego, żeby system pozostał dziurawy.

Trudno nie uznać takiej argumentacji za słuszną. Absolutnie tak by było, podobnie jak w 2020 r. wybór Dudy był domknięciem istniejącego wówczas systemu. Przynajmniej w 2020 r., bo załóżmy, że w 2015 r. mimo różnych prognoz i przewidywań sprawa nie była tak oczywista i teoretycznie od wiosny do jesieni różne rzeczy mogły się wydarzyć.

Posądzanie eksprezydenta Komorowskiego w 2015 r., że chce domykać jakikolwiek układ w momencie, gdy istniało duże prawdopodobieństwo, że jeżeli go domknie, to najwyżej na kwartał, byłoby bez sensu. Dla ostrożności jednak, by ten system się całkiem nie zamknął, strona prawacka mogła się nawet wtedy ograniczyć z wystawianiem tak szerokiej reprezentacji w wyborach do sejmu i senatu. Ale przypuśćmy, że jeszcze wtedy nie było takiej potrzeby, bo Donald Tusk i jego znajomi dopiero swój układ budowali i był on mniej zbudowany niż dziś.

Jednak wybór Dudy w 2020 r. nosił już wszelkie cechy domykania systemu. Wówczas jednak takiej argumentacji nie słyszeliśmy. A PiS i przystawki po mistrzowsku domykały układ wszędzie, gdzie się dało, wsadzając swoich ludzi na wszelkie możliwe stanowiska od najważniejszych decydentów zaczynając, a na sprzątaczkach kończąc.

Ale puśćmy to w niepamięć. Nie ma co się zajmować dawno przebrzmiałą przeszłością, trzeba z żywymi naprzód iść...

Uznając zatem słuszność wysuwanego przez prawicę argumentu o tym, że wybór prezydenta wywodzącego się z grupy trzymającej władzę byłby domknięciem istniejącego systemu, układu, widzę wynik kolejnych wyborów w jak najjaśniejszych barwach.

Jestem przekonana, że prawicowe siły, które tak ochoczo szermowały argumentem o domykaniu systemu dziś, będą go konsekwentnie używać także w przyszłości. Wobec czego do kolejnych wyborów w 2027 r. w zasadzie w ogóle nie powinny wystawiać żadnych własnych kandydatów.

Rys. WIDGET

Przecież jest dla nich oczywiste to, co wiemy wszyscy: prognozy na najbliższe wybory na razie dają siłom populistyczno-prawicowym największe szanse na przejęcie władzy. Ponieważ wszystko wskazuje na to, że w 2027 r. Karol Nawrocki będzie nadal lokatorem pałacu prezydenckiego, przeto sukces prawicy w postaci zyskania parlamentarnej większości będzie domknięciem systemu.

Prawica, rzecz jasna, nie może na to pozwolić, podobnie jak nie mogła pozwolić na to w wyborach prezydenckich 2025 r. Logiczne jest zatem, że nie powinna w ogóle do wyborów wystawiać własnych kandydatów, względnie – wystawić i przegrać. Wyborcy sił populistyczno-prawicowych będą, ma się rozumieć, pamiętać o tym, co teraz mówili ich polityczni idole i nie pójdą głosować lub oddadzą swe głosy na przeciwny obóz polityczny, żeby nie domykać systemu.

A więc w 2027 r. zwycięstwo sił wywodzących się z obecnej koalicji jest murowane. Co prawda nie wiadomo jeszcze w jakiej konfiguracji, ale mniejsza o to. Grunt, że da to możliwość przegłosowania w parlamencie wszystkiego. Bo trzeba mieć nadzieję, że obecnym koalicjantom wystarczy sił i wzajemnej lojalności, by przynajmniej w fundamentalnych sprawach mówić jednym głosem, żeby w 2030 r. nie zajrzało nam w oczy ponownie widmo domykania systemu.

EDYTA BAKER

eprasa.pl 97f5af6175

Sąd sądem, a prawa człowieka sobie

Pogranicze w klinczu

Rys. MARCIN CHUDZIK

Pamiętacie, jak Donald Tusk mówił w maju, że jest gotów zamknąć granicę z Niemcami, jeśli będą kontynuowały próby odsyłania imigrantów? Na szczęście nie będzie musiał. Sąd administracyjny w Berlinie uznał zawracanie na granicy osób, które chcą się ubiegać o azyl, za naruszenie prawa europejskiego.

Żartuję! To znaczy sąd faktycznie tak uznał, ale gówno z tego wynika, a to zaledwie wierzchołek na górze kursu polskiej polityki migracyjnej.

Ein

Od kiedy w partyjnych badaniach wyszło, że obywatele w kraju nad Wisłą poczują się bezpiecznie tylko wtedy, kiedy w społeczeństwo nie wmiesza się element „ciapacki", dwa czołowe obozy polskiej sceny politycznej zaczęły śpiewać jednym chórem.

W 2023 r. zaplecze strategiczne Donalda Tuska migusiem opuściło okop pod banderą humanitaryzmu i zaczęło wznosić okrzyki, że płot na granicy polsko-białoruskiej należy uszczelnić, a za fuszerkę w jego wykonaniu obwiniać prawicę. Dalej poszło z górki: na granicy wzmocniono zaporę fizyczną, zainstalowano zaporę elektroniczną, zorganizowano strefę buforową i skierowano na miejsce siły wojskowe i policyjne wyposażone w nowe wytyczne użycia broni. Zawieszono również prawo do azylu. Rozporządzenie weszło w życie 27 marca 2025 r. i miało obowiązywać przez okres 60 dni. W maju sejm przegłosował przedłużenie tego zawieszenia z poparciem 366 posłów przy 17 głosach przeciwnych.

Z racji zabezpieczenia granicy polsko-ziemniaczanej uwaga kampanii prezydenckiej skupiła się na granicy polsko-niemieckiej, gdzie Bundespolizei miała odstawiać obcy kulturowo Europie element, który cichaczem przedostał się przez Polskę. Prawicowe bojówki pod wodzą Roberta Bąkiewicza robiły objazd po Ziemiach Odzyskanych, żeby straszyć starsze panie Murzynami. Te, choć ciemnoskórych widywały tylko w telewizji, kiwając głowami w zasępieniu, mówiły do kamer, że boją się wychodzić z domu po zmierzchu. Politycy PiS-u, pocąc się w garniturach pod powstałymi za ich władzy centrami integracji cudzoziemców, opowiadali się za ich likwidacją i kategorycznie sprzeciwiali budowie kolejnych tego typu placówek.

22 maja w rozmowie z TVN24 premier Tusk stwierdził, że jego rząd skutecznie przeciwdziała nielegalnej migracji. Podkreślił, że doniesienia o rzekomym nakazie straży granicznej, by bez sprawdzania przyjmować migrantów od strony niemieckiej, są nieprawdziwe. Dodał również, że potwierdzone przypadki zawracania dotyczą głównie Ukraińców.

Nie do końca.

Rys. WIDGET

Zwei

Granice Niemiec były szczelnie zamknięte po rozszerzeniu kontroli granicznych od września ubiegłego roku. W niemieckiej ustawie zasadniczej od dawna figurował wyraźny zapis, że na prawo do azylu nie może powołać się osoba, która wjeżdża do Niemiec z jednego z państw członkowskich Wspólnoty Europejskiej lub z innego kraju trzeciego, w którym zapewnione jest stosowanie konwencji o sytuacji prawnej uchodźców i konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. Oznaczało to tyle, że o azyl nie mogły się starać osoby przybywające z Polski.

Tuż przed objęciem władzy przez rząd kanclerza Merza jedna czwarta obywateli Niemiec była zdania, że drugim – po rozkręceniu gospodarki – najważniejszym problemem w kraju jest sprawa lawinowego napływu cudzoziemców. Na hasłach przymusowej reemigracji przybyszy rosły słupki procentowe skrajnie prawicowej partii AfD.

Jedną z pierwszych decyzji ekipy Friedricha Merza było wprowadzenie haltowania i zawracania migrantów na granicy. Tak też się stało. Ogółem od 8 maja funkcjonariusze udaremnili 4128 przypadków nielegalnego wjazdu na teren kraju. 3278 osób zostało bezpośrednio na granicy lub w związku z nielegalnym jej przekroczeniem zawróconych lub odesłanych. W tym 160 osób ubiegających się o azyl, które wjechały z bezpiecznego państwa trzeciego.

O przypadkach zawracania migrantów bez możliwości złożenia wniosków azylowych na niemiecko-polskiej granicy raportowała niemiecka organizacja PRO ASYL, za przykład podając sytuacje z przejścia granicznego w Słubicach, gdzie niemieckie służby, mając w dupie tłumaczenia imigrantów, zakazywały im wjazdu do Niemiec. Podobna sytuacja spotkała 9 maja trójkę Somalijczyków (dwóch mężczyzn i kobietę), którzy zostali zatrzymani w pociągu z Polski we Frankfurcie nad Odrą. Cudzoziemcy poprosili o azyl, ale zostali zawróceni z granicy (w przypadku podróży koleją za przejście graniczne uważa się pierwszą stację za granicą). Nastąpił jednak pewien zgrzyt.

Drei

Somalijczycy tanio skóry nie sprzedali i złożyli skargę na decyzję policji federalnej. 2 czerwca sąd administracyjny w Berlinie orzekł w trybie pilnym, że zawrócenie nieszczęśników do Polski podczas kontroli granicznej we Frankfurcie nad Odrą było niezgodne z prawem.

Ponadto wedle sądu Niemcy są zobowiązane do formalnego sprawdzenia, które państwo unijne odpowiedzialne jest za rozpatrzenie tego wniosku. Do czasu określenia, o który kraj chodzi, nie można cudzoziemca zawrócić. Dowcip polega na tym, że rząd Merza ma to w dupie.

Thorsten Frei, szef urzędu kanclerskiego, oświadczył, że wnioski o azyl trojga Somalijczyków zostaną sprawdzone, ale berliński sąd administracyjny nie może decydować o sytuacji prawnej w całych Niemczech i jego postanowienie nie jest wymogiem dla działań rządu jako całości.

W podobnym tonie wypowiedział się niemiecki minister spraw wewnętrznych Alexander Dobrindt. Minister podkreślił, że rząd ma podstawy prawne do zawracania cudzoziemców na granicy i nie wycofa się z praktyki, mimo orzeczenia sądu. Dodał również, że sąd – orzekając, iż argumenty do zawracania cudzoziemców były niewystarczające – miał na myśli tylko to, że przedstawione mu wyjaśnienie było zbyt ogólne. I, jak zaznaczył, szczegółowe powody zostaną zatem niezwłocznie dostarczone.

Co z tego wynika dla Polski? Sporo. Niemiecki rząd wydaje się zdeterminowany, zatem nawet jeśli capnięci po drugiej strony Odry goście „zgubili" dokumenty i telefony, które pozwo-

Kamraci w kazamatach

Świat zza krat według Ludwiczka i Jaszczura

Rząd Tuska odniósł spektakularne zwycięstwo nad faszyzmem. Do aresztu na dwa miesiące trafili polityczni patostreamerzy, znani w sieci jako Jaszczur i Ludwiczek: Wojciech O. i Marcin O. (są to różne „O"). Trzeci z zatrzymanych, Mirosław R., po przesłuchaniu został zwolniony i zastosowano wobec niego dozór policyjny. Po sukcesie Brauna i Mentzena trzeba było dostarczyć opinii publicznej jakiś dowód skuteczności w walce z patoprawicą.

Jaszczur i Ludwiczek stanowią barwną internetową parę, choć homoseksualizmem brzydzą się jak mało kto. Ich transmisje w internecie przyciągały wielbicieli poglądów tak skrajnych, że aż groteskowych. Wojciech O., występujący w mundurze i furażerce zawodowy aktor (absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie), wykreował rolę Aleksandra Jabłonowskiego – wulgarnego, ociekającego testosteronem ultrapatrioty, nacjonalisty, antysemity, stronnika Rosji i wroga LGBT. Jego ekspresyjne monologi przyciągały garstkę rzeczywistych wyznawców jego poglądów – oraz liczniejszą zapewne grupę widzów, która włączała te wielogodzinne tyrady dla beki. Jego kompan Ludwiczek jest znacznie mniej charyzmatyczny i męski, co było powodem niewybrednych żartów widzów na temat charakteru ich relacji – co dodatkowo rozjusza zatrzymanych na początku czerwca patostreamerów. Kontrasty osobowościowe znamionujące ten duet były jakby żywcem wyjęte z podręcznikowych wzorców typu Flip i Flap. Stąd pewnie dość szeroka rozpoznawalność w necie.

Ponieważ transmisje panów miały charakter interaktywny, męscy odbiorcy często trollowali ich wrednymi telefonami: po patetycznym wstępie w tonie przemów Jabłonowskiego o upadku ojczyzny dzwoniący wtrącał mimochodem, że razem z chłopakiem wyjeżdżają z Polski… Co nieodmiennie stawało się zapalnikiem dla Wojciecha O., naczelnego homofoba RP. Potem te odpały w formie shotów (krótkich filmików) latały po sieci, ale, dalibóg, nikt tego nie ogląda jako instrukcji światopoglądowej. Nie jest to być może rozrywka wysokich lotów, ale nie każdy poświęca wolne chwile na Kabaret Starszych Panów. Jedni oglądają obrady sejmu, inni Jaszczura i Ludwiczka – poziom merytoryczny bywa podobny.

„Rodacy Kamraci" – tak nazywa się tworzony przez nich ruch, a do niedawna partia – to raczej internetowy i polityczny folklor niż realne zagrożenie. Większość środowisk nacjonalistycznych odcina się od Kamratów, uważając, że robią oni krecią robotę i ośmieszają ich poglądy. Co rzeczywiście czynią: ilustrują wszak nędzę skrajnie prawicowych przekonań, ukazując je w kabaretowej formie.

Rys. WIDGET

Kamraci są memem, a teraz zrobią z siebie męczenników wolności słowa.

Minister sprawiedliwości Adam Bondar zdecydowanie nie zrozumiał konwencji performansów Ludwiczka i Jaszczura, bowiem z pełną powagą ogłosił w mediach społecznościowych: „Zatrzymani patostreamerzy Wojciech O. oraz Marcin O., liderzy ruchu »Rodacy Kamraci«, usłyszeli zarzuty popełnienia odpowiednio 78 oraz 64 czynów przestępczych. Prokurator złożył do sądu wniosek o tymczasowe aresztowanie. Trzeci zatrzymany, Mirosław R., usłyszał łącznie 13 zarzutów. Zastosowano wobec niego dozór Policji. Śledztwo zostało wszczęte z zawiadomienia Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych oraz Żydowskiego Stowarzyszenia Czulent. Prokuratura połączyła kilkanaście postępowań dotyczących podejrzanych prowadzonych w całej Polsce. Badanych jest 1500 zdarzeń z lat 2015–2025, zabezpieczono 3000 godzin nagrań wideo. Do ich analizy używane są nowoczesne narzędzia oparte na sztucznej inteligencji. Na tle dyskusji o destrukcyjnym wpływie mowy nienawiści na relacje społeczne trzeba podkreślać, że ma ona charakter działalności przestępczej. Nie mieści się w granicach prawa czy konstytucyjnych wolności. Polskie państwo nie może dawać przyzwolenia na wykorzystywanie wolności słowa do szerzenia przemocy, nienawiści, dezinformacji i gloryfikacji zbrodni"…

Nie chodzi tu bynajmniej o normalizację czy gloryfikację poglądów Kamratów, bo są głupie, złe i szkodliwe. Jak przeskrobali, niech posiedzą – może zmądrzeją, choć pewnie tylko zhardzieją. Może jedynie będą przestrogą dla innych, że nie można bezkarnie obrażać i wygrażać w internecie – jeden plus.

eprasa.pl 97f5af6175

liłyby prześledzić ich drogę, prawdopodobnie i tak ustali, skąd przybyli. Migrant zawrócony z Niemiec do Polski formalnie może złożyć wniosek o azyl. I choć w obecnych realiach politycznych i prawnych szanse na jego rozpatrzenie są minimalne (zwłaszcza w kontekście zawieszenia prawa do azylu), to nie niemożliwe. Rozporządzenie o zawieszeniu prawa do azylu przewiduje wyjątki dla określonych grup, takich jak bachorzęta, kobiety w ciąży czy osoby zagrożone poważną szkodą w przypadku odesłania. Decyzje zależą od indywidualnej oceny straży granicznej i Urzędu Spraw Cudzoziemców. W przypadku odrzucenia wniosku migrant może zostać deportowany do kraju pochodzenia lub pozostawiony w mało komfortowej sytuacji prawnej na granicy. Choć tak naprawdę

prawdziwym problemem migracyjnym Polski jest sprowadzanie taniej siły roboczej na usługi koncernów – los dymanych na prawach pracowniczych obcokrajowców, którzy na legalu przybyli za chlebem, i tych, którym nie udało się dostać do niemieckiego raju, wydaje się podobny.

I to nie przez szeroko rozumiane różnice kulturowe.

Brak języka, stabilnego zatrudnienia i charakter wykonywanych prac sprawiają, że ciężko zawiązać więzi społeczne. Paradoksalnie to jednak jaśniejsza strona medalu. Zdaje się, że podsycana do wyrzygu przez polityczny establishment ksenofobia dopiero osiągnie swoje apogeum. Poprzez brak integracji i pompowanie brunatnej bańki rządzący od lat produkują kastę ludzi niewidzialnych i pozostawionych samym sobie. Tym samym podają ich na widelcu ludowi, który już trzyma widły.

IDALIA DUBICKA

Ale ogłaszanie ich zatrzymania z taką pompą, jakby co najmniej złapali Eichmanna, nie dodaje powagi ekipie rządzącej. Najwięksi zwolennicy Koalicji Obywatelskiej zawsze znajdą powody, żeby jej klaskać,

a niezorientowani w skali i formule działalności Wojciecha O. i Marcina O. mogą odnieść wrażenie, że oto wydarzyło się coś wiekopomnego i od tej pory Polska będzie wolna od faszyzmu. I czy naprawdę polski wymiar sprawiedliwości ma tyle wolnego czasu, żeby analizować 3000 (!) godzin bełkotu internetowych błaznów?

Głośne zatrzymanie Jaszczura i Ludwiczka wpisuje się także w szerszy nurt walki z patostreamami, czyli patologii transmitowanej na żywo w internecie. Gwiazdy tej branży zarabiają krocie, pokazując życie, które odstaje od przyjętych norm mieszczańskich i moralnych. Zwalczyć to zjawisko nie jest łatwo, bo są tam wielkie pieniądze i wielkie cwaniaki. Bodnar, ogłaszając areszt dla Kamratów, upiekł zatem dwie pieczenie na jednym ogniu. Rozgromił patrostreamy i patoprawicę. Rozliczanie pisowców idzie niezbyt gładko, a narodowcy rosną w siłę, więc władza ratuje się walką z jasełkowymi faszystami.

ELEONORA PRONOBIS

Niedopchnięte postulaty

Rząd jaki jest, każdy widzi

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Wszystkich, którzy w czasie ostatniej walki o demokrację zajęci byli sumiennym udostępnianiem rysunków Matyldy Damięckiej, uprzejmie informuję, że rząd Donalda Tuska tuż przed drugą turą wyborów poza kartoflami posłanki Kingi Gajewskiej rzucił ciekawsze perły przed wyborcze wieprze.

Mleko się rozlało, by nie rzec, że gówno wpadło w wentylator. Koalicja 15 października dostała srogie lańsko. Chwilę przed katastrofą rząd jakby zauważył, że nie samym jebaniem PiS-u obywatel żyje, i postanowił zrobić mu dobrze. Zanim jednak ktoś z rozpędu podetrze sobie dupę stówą – nie powiało dobrobytem.

Cierpiącym ulżyć

Wrażliwy na społeczne stęki organ państwowy postanowił zakończyć uwłaczający ludzkiej godności proceder cyklicznego ciągania osób z trwałą niepełnosprawnością i ich rodzin do stawiennictwa przed komisją orzekającą o uszczerbku na zdrowiu. Chodzi o przypadki rzadkich chorób genetycznych oraz zespołu Downa.

Dotychczas glejty zaświadczające o dożywotnich schorzeniach mogły być wydawane na czas określony lub bezterminowo (w zależności od stanu obywatela i ewentualnej możliwości poprawy jego zdrowia). W praktyce komisje orzecznicze często nad wyraz optymistycznie patrzyły w przyszłość i nawet w przypadkach nierokujących poprawy wystawiały papiery z okresem ważności na rok do lat trzech. To zaś w zestawieniu z dużą liczbą wniosków powodowało zatory w zespołach orzeczniczych i prowadziło do kilkumiesięcznych opóźnień w wydawaniu nowych decyzji, a finalnie – utraty świadczeń przez osoby z niepełnosprawnościami (OzN).

Na domiar złego, żeby chorym nie było mało upodlenia i wysiłku, audiencja przed komisją wymagała pielgrzymek po licznych specjalistach z zakresu medycyny celem skompletowania świeżej dokumentacji potwierdzającej starą niepełnosprawność.

W marcu 2025 r. wiceminister i pełnomocnik rządu ds. osób niepełnosprawnych Łukasz Krasoń przedstawił wytyczne umożliwiające wydawanie bezterminowych orzeczeń dla osób z zespołem Downa i fikołkami genetycznymi, które nie rokują poprawy. 27 maja Agnieszka Dziemianowicz-Bąk za pośrednictwem platformy X poinformowała, że rząd wprowadził nowelizację rozporządzenia. Problem w tym, że jej zapisy wyglądają, jakby nawet nie leżały obok postulatów środowisk OzN. Wedle nowych wytycznych obywatele ze wspomnianej grupy schorzeń, owszem, zyskają możliwość otrzymania orzeczenia na cały okres od urodzenia do 16. roku życia, ale niestety, po zdmuchnięciu świeczek z tortu znowu będą zobligowani stawiać się na komisjach (sic!) co siedem lat. Milusińscy z pozostałymi rodzajami przetrąceń medycznych dostali zielone światło, żeby pokazywać wachlarz cielesnych deformacji raz na trzy lata. Dobry pan bije mniej. Argumenty strony społecznej poszły psu w dupę. Na noweli nie pozostawiono suchej nitki.

Wiewiórki donoszą, że wprowadzenie orzeczeń bezterminowych wymagałoby szerszych zmian legislacyjnych, prawdopodobnie na poziomie ustawy, a nie tylko rozporządzenia. Czy można zatem założyć, że pod presją wyborczą pośpiesznie wylano dziecko z kąpielą? Nie wiem, choć się domyślam.

Miłość ci wszystko wybaczy

29 maja ze strony przedstawicielek Departamentu ds. Równego Traktowania KPRM, wicedyrektorki Mileny Adamczewskiej-Stachury i rzeczniczki Magdaleny Dropek, padło jednoznaczne zapewnienie, że już na początku czerwca na Komitet Stały Rady Ministrów trafi (w chuj) długo wyczekiwany projekt ustawy o związkach partnerskich. Naturalnie projekt istniał już wcześniej, tylko wymagał dopieszczenia. Szczęście w nieszczęściu, zwiastowanie przypadło akurat na dwa wdechy przed drugą turą wyborów.

Aj, czego tam nie było: możliwość zawarcia związku w dowolnym miejscu – nawet poza urzędem, możliwość wspólnego nazwiska; tzw. mała piecza nad dziećmi; możliwość zakończenia związku polubownie w urzędzie lub w razie sporu – przed sądem. Doprecyzowano nawet kwestie postępowań egzekucyjnych z majątku wspólnego. Rychło w czas, akurat żeby zatrzeć posmak wymiocin po słowach Trzaskowskiego o braku poparcia dla adopcji przez pary jednopłciowe (co oznajmił z szerokim uśmiechem w wywiadzie u Krzysztofa Stanowskiego).

Cóż, gabinet Donalda Tuska walczy (dosłownie i w przenośni) z tematem związków jednopłciowych już od 14 lat. Kiedy w 2011 r. Sojusz Lewicy Demokratycznej przedstawił projekt ustawy o umowie związku partnerskiego, Tusk zasłonił się zbliżającym się końcem kadencji i obiecał wziąć temat na tapet w kolejnej. Tak też się stało, ale niestety, wtedy już dwa projekty zostały odrzucone w pierwszym czytaniu, m.in. dzięki części posłów PO. Tym razem sprawę udało się uwalić w innym, nieco bardziej złożonym stylu.

Mam przekonanie graniczące z pewnością, co stanie się z nowym projektem pod ręką prezydenta Nawrockiego. Niepocieszonym podpowiem jednak, że w kwietniu bieżącego roku po 10-letniej batalii w Sądzie Okręgowym w Zielonej Górze zapadł przełomowy wyrok: członkiem najbliższej rodziny może być osoba partnerska niezależnie od płci – nawet jeśli jest to związek nieformalny.

Sprawa dotyczyła dramatycznej sytuacji dwóch kobiet Marty i Katarzyny z 2015 r. Katarzyna zginęła tragicznie w wypadku samochodowym spowodowanym przez złamany konar drzewa. Jej partnerka Marta wszczęła walkę o odszkodowanie za wypadek z gminą odpowiedzialną za utrzymanie drzewa w należytym stanie. Polski system prawny, w którym związki jednopłciowe nie są warte funta kłaków, i gmina próbowały zrobić z Marty wiatrak. Finalnie

sąd uznał, że 11-letni związek kobiet był równie ważny jak małżeństwo heteroseksualne. Tym samym jako dla najbliższej osoby strata partnerki miała znaczenie. Zasądzono odszkodowanie. Wyrok dotyczy prawnej ochrony najbliższych członków rodziny i jest prawomocny.

Drobiazg, ale w mrocznych czasach może się przydać bardziej niż czcze gadki platformianej świty.

Folium ficum

22 maja Stały Komitet Rady Ministrów zatwierdził przygotowany przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej projekt nowelizacji kodeksu pracy. Zakłada ona istotne zmiany w zasadach naliczania stażu pracy. Dotychczas do doświadczenia zawodowego wliczano okresy zatrudnienia na podstawie umowy o pracę, stosunków służbowych (np. mianowanie czy powołanie) oraz niektóre okresy nauki. Zapierdol na starej dobrej umowie-zleceniu i jednoosobowe działalności gospodarcze uznano za niegodne majestatu dostąpienia tego przywileju. Dzięki zmianie przepisów osoby latami pracujące na umowach cywilnoprawnych lub jako samozatrudnieni zyskają m.in. dostęp do dłuższych urlopów, dodatków stażowych, nagród jubileuszowych czy możliwość ubiegania się o stanowiska wymagające określonego doświadczenia zawodowego.

Można by uznać, że to dobra zmiana, gdyby nie fakt, że chwilę wcześniej, mimo wymogów KPO, rząd Tuska rakiem wycofał się z planów likwidacji śmieciówek, co wielu doprowadziło do wkurwu. Po nowelizacji kodeksu pracy ze strony społecznej prędko padł zarzut, że to listek figowy dla rządu i dalsze normalizowanie umów cywilnoprawnych.

Na deser, kilka dni po wyborach prezydenckich, okazało się też, że minister finansów Andrzej Domański jest głuchy na propozycję minister Agnieszki Dziemianowicz-Bąk i związków zawodowych, zgodnie z którą pensja minimalna miałaby wzrosnąć do 5020 zł. Co prawda zdementował doniesienia, jakoby minimalna jałmużna miała oscylować w granicach 4670,70 zł (czyli de facto 4,70 zł więcej niż aktualnie), ale zapowiedź Domańskiego o podwyżce do kwoty 4806 zł dupy nie urywa.

21 maja posłowie przyjęli zmiany w regulaminie sejmu, zaostrzające sankcje za nieusprawiedliwione nieobecności na obradach. W przypadku wagarów trwających powyżej trzech dni w miesiącu marszałek sejmu będzie mógł obniżyć dietę i uposażenie posła o jedną piątą za każdy kolejny dzień absencji. Gdy liczba kolejnych nieusprawiedliwionych nieobecności sięgnie 18 dni, poseł może stracić dietę całkowicie, a jego uposażenie zostanie zredukowane do 10 proc. wysokości. W praktyce oznacza to, że zamiast pełnego miesięcznego uposażenia w wysokości 17,7 tys. zł parlamentarzysta, któremu ręce przyrosły do dupy, może otrzymać zaledwie 1,3 tys. zł. Do roboty zatem, bo póki co wam kury szczać prowadzać, a nie rządzić.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 97f5af6175

W stronę nieznanej przyszłości

Obłęd bezideowej władzy dla władzy

Bajki dla myślących

Kiedy Smerfy już dorosły, to jak to bywa w autorytaryzmie, rozpoczęły protest przeciwko wiodącej linii partii prowadzonej przez Papę Smerfa. Wyłaziła bowiem im już nosem propagandowa ściema oraz oferowany przez papową władzę siermiężny poziom życia. Zastrajkowały zatem solidarnie w całym Smerfolandzie i powołały Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Zażądały nie tylko wolnych związków zawodowych, ale także udziału we władzy. Papa Smerf, rad nierad, przystał na rozmowy ze smerfową społecznością i wspólnie ustalili, że w Smerfolandzie będzie panować wielopartyjna demokracja. Do zadania podeszli poważnie.

Na początek przeczytali traktat z 1690 r. angielskiego filozofa Johna Locke'a stanowiący fundamentalną w historii doktryn politycznych zasadę, mówiącą o tym, że podstawą funkcjonowania państwa powinny być podzielone, działające niezależnie od siebie, ale współpracujące ze sobą trzy obszary władzy: władza ustawodawcza, władza wykonawcza i władza sądownicza. Ustalili też, że od tej pory nie będzie w ich państwie wyzysku i lekceważenia praw Smerfa, a bronić ich przed tym będą niezależne związki zawodowe, rady pracownicze i niezależne sądy. Smerfy rozumiały, że ich społeczeństwo w naturalny sposób składa się z różnych osób. Że tworzą różniące się między sobą warstwy i grupy społeczne, podzielone poglądami na wiele spraw. Uznali, że sprawdzi się system wielopartyjny, w którym poszczególne partie będą mogły reprezentować poglądy i interesy poszczególnych grup obywateli. Dlatego powołali parlament, w którym dyskutowali i ważyli swoje racje.

Parlament przyjmował ustawy – tworzył prawo – a Papa Smerf co najwyżej czasem wetował. Osobną instytucją był smerfi rząd powoływany przez parlament jako organ realizujący stanowione przez parlament prawa. W sytuacji sporów do akcji wkraczał niezależny, kompetentny w uchwalonym prawie sąd składający się z najbardziej uczciwych i etycznych Smerfów. Związki zawodowe i rady pracownicze dbały o właściwy balans relacji między kierownictwem przedsiębiorstw a załogą i wspólny sukces ekonomiczny.

Jak postanowili, tak zrobili i wierzysz lub nie, w państwie Smerfów wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

Na tym koniec bajki nie tylko dlatego, że taka idylla to przecież straszna nuda, ale przede wszystkim dlatego, że się obudziłam. I co widzę...

Widzę rząd (mający być wykonawcą woli parlamentu), który wysyła do parlamentu ustawy z poleceniem ich zatwierdzenia przez parlamentarną większość, która go powołała. Widzę premiera (teoretycznie wykonawcę woli parlamentu), który ma władzę nad posłami jako szef ich partii i wprowadza dyscyplinę głosowania nad rządowym projektem celem jego uchwalenia.

Widzę partie polityczne, które zamiast zachować lojalność wobec elektoratu, którego wolę i interes teoretycznie powinny reprezentować, wchodzą w ustawkę z innymi partiami (tworzą koalicję) o odmiennym (czasem wzajemnie sprzecznym) programie. Budowana od góry partyjna koalicja nie ma szansy nawet aspirować do reprezentowania różnych w poszczególnych partiach interesów i poglądów wyborców. A zagubieni politycy koalicji przestają wiedzieć, jak mają się zachowywać wobec ludzi, którzy ich do parlamentu powołali.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Zresztą i tak nie mają szansy działać ani w zgodzie z własnym sumieniem, ani w zgodzie ze znanymi im postulatami wyborców, bo zmuszeni są do głosowania za podsuwanymi im projektami ustaw rządowych. Czy to demokracja?!

Cały koalicyjny układ traci zaufanie i atrakcyjność w oczach wyborców. Rozumieją to także poszczególni politycy rozdarci między wolą utrzymania się u władzy koalicji a narastającym brakiem akceptacji ze strony swojego partyjnego elektoratu, więc często zrywają się ze smyczy premiera, atakując wewnątrzkoalicyjną konkurencję. Uzgodnienie wspólnie akceptowanego programu staje się trudnym wyzwaniem. Władza staje się krucha i bezideowa. Polityka powinna być spójnym programem z perspektywą. Niestety w opisanych wyżej warunkach taka polityka nie ma szansy powstać.

Widzę dwa coraz bardziej nienawidzące się bloki polityczne, z których żaden nie realizuje polityki, jaką mogłaby zaakceptować większość społeczeństwa. Widzę większość wyborców głosujących na jeden z nich nie dla poparcia ich programu, a z lęku, aby drugi nie objął patologicznie sformatowanej władzy.

Widzę ludzi, którzy coraz bardziej nie ufają politykom. Coraz bardziej nie ufają elitom. Żądają zmiany – nawet w stronę nieznanej przyszłości, byle przerwać ten obłęd.

Widzę polską politykę, która w wyniku tych patologicznych procesów formatuje się w stronę, która zamiast wzmacniać osłabia państwo. Bo jeśli państwo ogranicza podatki od podmiotów gospodarczych, a jednocześnie likwiduje – przez zagładzanie – usługi publiczne, to działa przeciw obiektywnemu interesowi większości społeczeństwa i tworzy niebezpieczeństwo dla obywateli. A przecież tak się dzieje. Dziś są zagładzane: opieka zdrowotna, edukacja szkolna, nauki podstawowe i wdrożenia, publiczny system wiarygodnej informacji (media publiczne), komunalne i społeczne budownictwo mieszkaniowe – czyli wszystkie najważniejsze dla ludzi obszary życia.

Widzę, że polityka unicestwiania państwa trwa, ale widząc to, mamy szansę ją powstrzymać.

Wierząc w tę szansę, pisuję bajki.

ANNA GRODZKA

PLURALIS MAIESTATIS

Pędem donikąd

Ogrodowa emigracja wewnętrzna

Polska leży na plecach. I pali postkoitalnego papierosa – została brutalnie wydymana. O odbyciu rzeczonego stosunku przekonani są i wyborcy Trzaskowskiego, i jego przeciwnicy, którzy zorientowali się, iż są dymani – już wcześniej. Stąd czerwona kartka dla rządu. Przegrana Trzaskowskiego jest niczym innym jak pokazaniem koalicjantom, że przegięli. Nie było kwiatów, nie było czekoladek – był za to worek ziemniaków.

Klasyk powiada: Mężczyznę poznaje się po tym nie jak zaczyna, a jak kończy. Zaczęło się serduszkami lepionymi do białych koszul, kończy się próbami przylutowania do koryta. Ja oczywiście rozumiem, że z okazji nowych fuch w parlamencie i w rządzie wzięto nowe kredyty, zaplanowano egzotyczne wakacje, odświeżono garderobę, no i pralnia chemiczna kosztuje przecież krocie, ale… Wypierdalać!

Obserwuję, że część moich znajomych z braku możliwości bądź ochoty na trwałe opuszczenie granic RP udała się na tzw. emigrację wewnętrzną. Posiadanie ogrodu bardzo w tym pomaga. Nie kpię – patrzenie na piękne róże niewątpliwie uspokaja. Wszakże Marie-Josèphe Rose Tascher de la Pagerie, znana szerzej jako

Rys. OBYWATEL JANEK

Józefina, po tym, jak rozwiódł się z nią Napoleon I, wyprowadziła się do Malmaison, gdzie wyhodowała unikatowe herbaciane róże. Inna sprawa, że w owym ogrodzie fatalnie się przeziębiła, a następnie zmarła.

Należy zawsze mieć pod ręką sweterek.

Tak czy siak i ku pokrzepieniu serc, Francuzi twierdzą, że najpiękniejsze róże wyrastają na gównie. Czyli jakaś szansa na to, aby było lepiej, istnieje. Gówna wszakże mamy pod dostatkiem. I nie należy od tej świadomości uciekać, bo będzie to bieg donikąd. Tymczasem od leżenia na plecach wcześniej czy później robią się odleżyny. A te potrafią capić znacznie bardziej niż jakakolwiek kupa. Byle tylko gówno nie uderzało ludziom do głowy, co zdarzało się niegdyś świniom na chińskiej wsi. Prosiakom przed dniem targowym zaszywano odbyty, aby nie mogąc się wypróżnić, złudnie przybierały na wadze, czyli na dutkach. Nie muszę chyba dodawać, że takie prosię nie miało przed sobą dobrej przyszłości. I to nawet w najkrótszej perspektywie, bo w dłuższej – świnie, ludzie, świnioludzie – i tak wszyscy idziemy do piachu.

Strasznie niesmaczne wydaje mi się analizowanie kaca powyborczego w kontekście tzw. pięć faz żałoby, zidentyfikowanych niegdyś przez doktor psychiatrii Elizabeth Kubler-Ross. A i z czymś takim się spotkałam. Zaprzeczenie? Złość? Negocjowanie? Depresja?Akceptacja? E, tam! Zwyczajny strach u dupy. Pocieszę co poniektórych – dupa jednak niezaszyta. Można zwyczajem wielu albo się w niej meblować, albo jej nadstawić. Tyle że przy tym stosunku doradzam jednak zainwestować w lubrykant. A i nie polecieć na tandetne serduszko białych kołnierzyków czy worek ziemniaków. Przyzwoity sweterek to minimum. I fajki sobie kupcie.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 97f5af6175

Kulawa kaczka

Czy możemy już wszyscy przestać słuchać Dudy i Giertycha?

Andrzej Duda jest prezydentem o bardzo małym rozumku. Wiemy to tak mniej więcej od dekady. Ale tekst o tym, że „postkomuniści do spółki z liberalno-lewicowymi chcą przekręcić wybory” był zaskakujący nawet jak na niego.

Knajacki język może być interpretowany jako ukłon pod adresem następcy – choć akurat Karol Nawrocki starannie oczyścił swój kod komunikacyjny z kibolskich wpływów; do tego stopnia, że powtarzanie przez niego tytułów grzecznościowych stało się cokolwiek groteskowe („Dziękuję, panie redaktorze, za pytanie, które pan redaktor mi zadał, jak wiadomo panu redaktorowi, chętnie odpowiadam na pytania pana redaktora”)…

To, co dziś mówi Duda – prezydent na odchodnym, po amerykańsku nazywany „Lame Duck” – nie ma żadnego znaczenia. A mimo to jego wybryk wywołał odzew nożyc. Z premierem włącznie. Na wtorkowym posiedzeniu rządu Tusk wygłosił monolog o tym, że wprawdzie „nie zauważył, aby ktokolwiek z liderów naszej koalicji próbował wzniecić niepokój albo podważać wynik wyborów”, tym niemniej „nikt nie ma prawa lekceważyć nawet jednego zmarnowanego głosu”, gdyż może to być głos „człowieka, który jechał 300 km do najbliższego lokalu wyborczego za granicą” albo „Polki, która wyszła specjalnie ze szpitala, żeby zagłosować”. Ckliwa egzaltacja tej opowieści może sugerować, że niby nie podważamy, ale coś jednak jest na rzeczy… To bardzo zły przekaz. Choćby dlatego, że – żeby znowu zacytować premiera Tuska – „zakładanie z góry, że wybory zostały sfałszowane, nie służy polskiemu państwu”.

Dodatkowo, szermierzem narracji o fałszerstwie jest – nie zgadniecie – Roman Giertych, który odkrył, że wybory sfałszował nie tylko PiS, ale także Chiny (bo algorytm TikToka częściej pokazuje treści prawicowe niż centrowe).

Coś Wam powiem, drodzy stratedzy PO: przeciętny człowiek lewicy chętniej złapie trypra, niż posłucha Giertycha.

Pamiętamy jego zasługi jako wicepremiera i ministra edukacji w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, a także fakt, że stał się żarliwym antykaczystą dopiero wtedy, kiedy Kaczyński wykopał go ze stołka. Wtedy przystał do liberalnych Europejczyków z tą samą inkwizycyjną żarliwością, z którą przez pierwsze 20 lat III RP budował państwo konfesyjne. W oczach ludzi lewicy Giertych jest kreaturą – żeby zacytować klasyka – najgorszego sortu.

W tym kontekście mam apel do „Silnych Razem” i podobnych wykwitów platformerskiej sekty: nie próbujcie nas zastraszać. Efekt jest wprost przeciwny do oczekiwanego.

Spróbuję wytłumaczyć. Jak czterolatkom.

Dla większości ludzi lewicy, których znam, Rafał Trzaskowski był trudny do łyknięcia. Bo nie ma poglądów lewicowych – w najlepszym razie progresywne, w sensie kulturowym. Bo nawet z tych pozycji dokonał w kampanii absurdalnego zwrotu w prawo, okazując nam wszystkim lekceważenie. Bo jest człowiekiem Donalda Tuska, którego neoliberalny rząd prowadzi politykę dla lewicy nieakceptowalną.

Niektórzy z tych wyborców – jak ja – zacisnęli zęby i zagłosowali na Trzaskowskiego, bojąc się tego, co może stać się za dwa lata, jeśli władzę obejmą PiS z Konfederacją. Inni – dając czerwoną kartkę rządowi – zagłosowali na Nawrockiego. Jeszcze inni odmówili wyboru między dżumą i kiłą, i zostali w domu.

A teraz słyszę od entuzjastów PO, że klęska Trzaskowskiego to wina „tego chuja Zandberga”, bo nie „przekazał głosów” i prawie 20 proc. jego wyborców poparło Nawrockiego.

Serio? Naprawdę winą za fatalną kampanię Trzaskowskiego i fatalną politykę Tuska chcecie obarczyć niewielką formację lewicy, która po prostu dochowuje wierności swojemu programowi?

Powiedzcie, proszę, że se jaja robicie.

AWŁ

Porno i rześko

Miejmy złudzenia!

Wielu z nas cierpi po wyborach prezydenckich. Ja też. Jestem zły na Trzaskowskiego, jestem zły na Tuska. Przegrali, bo byli tacy jak zawsze. Leniwi, zachowawczy, a do tego zbyt pewni siebie. Błąd na błędzie, zaniechanie za zaniechaniem – ta kampania była kolejną wtopą leniwych kotów, którym wydaje się, że z samego faktu, że ich konkurencja budzi moralne obrzydzenie, po raz kolejny dostaną od narodu władzę, bo to im się „po prostu należy”. A tymczasem znalazło się trochę takich, którzy nie poczuwali się do „obowiązku” zagłosowania przeciwko PiS i w kluczowym dniu wyborów, 1 czerwca, zostali w domu.

No i wydarzyła się katastrofa.

Bardzo niepiękna katastrofa. Mieliśmy wybrać pierwszego obywatela RP, a wybraliśmy sobie pierwszego kibola RP. Rasowego narodowca z „dobrą przeszłością”, ksenofoba i bezwzględnego karierowicza. Wygrały złość, rozczarowanie i coś, co można nazwać polityczną perwersją albo rozmiłowaniem w zepsuciu i obscenach. I sam fakt, że tylu ludzi dało się uwieść czemuś na wskroś perwersyjnemu, należy do kategorii point obscenicznych. Jak głosi wierszyk Wacława Mejbauma, starego komucha i mojego dawnego nauczyciela marksizmu: „Czym jest pointa, jak nie grubasem, co na pogrzebie macha kutasem?”. No, zupełnie, jak gdyby w środku epoki Gierka Wacek przewidział historię wyborów prezydenckich anno 2025 i postanowił je skomentować.

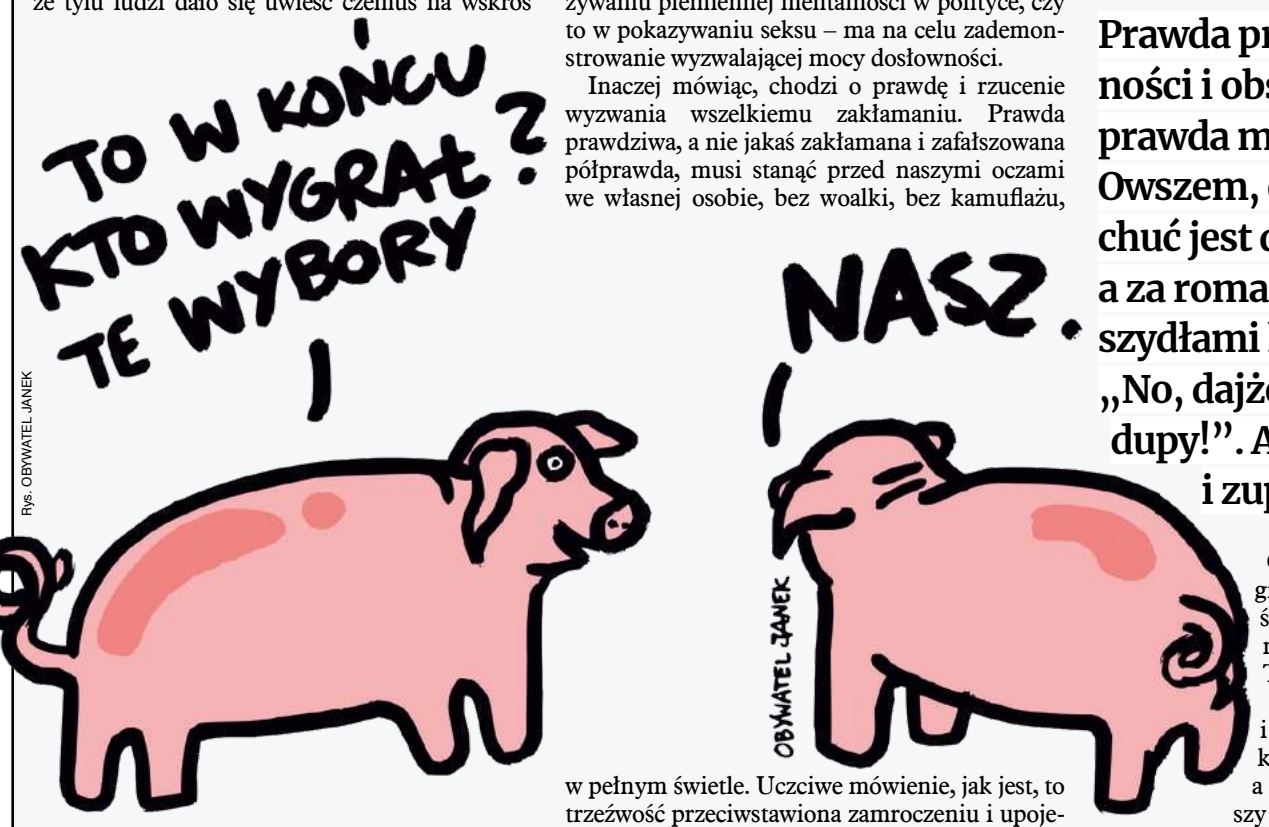

Rys. OBYWATEL JANEK

Tak, jest coś obscenicznego w tym, że brutalność i agresja spotykają się ze społeczną akceptacją. Idziesz się nawalać na pięści i pałki, jak bydło z bydłem, a ludziom to wisi. A nawet im się podoba. Rozprowadzasz panienki po pokojach hotelowych dla obleśnych dziadów – też fajnie. Zaradny z ciebie chłopak! Robisz w bambuko starego pijaka i przejmujesz mieszkanie komunalne – jesteś gość! Ważne, że jesteś swojak, do kościoła chodzisz, księdza słuchasz, a Żyda i „banderowca” pogonisz, jak będzie trzeba. Liczy się to, że jesteś silny i obronisz naszych przed każdym obcym. Bo takiemu, co zna francuski (ach, te wszystkie parle-france!), ufać nijak nie można.

Nie bez powodu porównuje się populistyczną politykę do pornografii. W jednym i drugim przypadku mamy do czynienia z ekscytacją, jaką wywołuje wyzbycie się wszelkiego wstydu, wszelkiej delikatności uczuć i wszelkich moralnych skrupułów. Paradoksalnie, jest w tym pewna idea. Obsceniczność i ostentacja – czy to w pokazywaniu plemiennej mentalności w polityce, czy to w pokazywaniu seksu – ma na celu zademonstrowanie wyzwalającej mocy dosłowności.

Inaczej mówiąc, chodzi o prawdę i rzucenie wyzwania wszelkiemu zakłamaniu. Prawda prawdziwa, a nie jakaś zakłamana i zafałszowana półprawda, musi stanąć przed naszymi oczami we własnej osobie, bez woalki, bez kamuflażu, w pełnym świetle. Uczciwe mówienie, jak jest, to trzeźwość przeciwstawiona zamroczeniu i upojeniu jakimiś mrzonkami i innymi „ideałami”. To otwartość i szczerość, przeciwstawiona hipokryzji i zakłamaniu.

I jest w tym jakaś słuszność. Ostentacyjny populizm i polityczny brutalizm są jakąś odpowiedzią na obłudną grę pozorów i fałszywe uśmiechy oportunistów i karierowiczów. Pornografia jest odpowiedzią na zakłamane i pruderyjne sceny miłosne z hollywoodzkich filmiszczy, zatwierdzanych przez surowych protestanckich cenzorów. Natomiast w przypadku polityki lud broni się rubasznością, a nawet chamstwem przed „pańskim” wydelikaceniem, osładzającym ukrytą brutalność władzy tych, którzy mają pieniądze i robią z biednymi, co tylko chcą i co tylko im się opłaca.

Pornografia woła: prawda jest inna! Zobaczcie, jak to wygląda naprawdę!

Tylko czy naprawdę tak to wygląda? Pierwsza myśl pornograficznych moralistów i buntowników jest może słuszna. Zakłamaniu trzeba powiedzieć „nie”. Brakuje tu jednakże drugiej myśli. Tej mianowicie, że nie wszystko jest zakłamane w tym samym stopniu i nie wszystko, co delikatne, wstydliwe i na pierwszy rzut oka słabowite, jest godne pogardy.

Zło, jakim jest pornografia – polityczna i seksualna – na tym właśnie polega, że z kąpielą obłudy wylewa piękne dziecko kultury i delikatności uczuć.

Prawda prostactwa, rubaszności i obsceniczności to prawda mała i cząstkowa. Owszem, czasami ludzka chuć jest dzika i szpetna, a za romantycznymi wierszydłami kryje się zwykłe „No, dajże już w końcu tej dupy!”. Ale bywa przecież i zupełnie inaczej.

Gdy zakochany dotyka swej boginki pełen wstydu i niepewności, czy aby jego ręce nie profanują czegoś świętego i czystego. Tak samo jest też w polityce.

Bywa, że piękne słowa i maniery są ledwie marną przykrywką dla brutalnego egoizmu, a złotousty polityk w głębi duszy jest pozbawionym wszelkich moralnych hamulców cynikiem. Ale zdarza się i tak, że polityk jest naprawdę człowiekiem dobrej woli, życzliwym ludziom, kompetentnym i porządnym, a jego idealizm jest szczery. Niestety, zbyt wielu spośród nas wciąż nie miało okazji napotkać na swojej drodze życia ludzi naprawdę godnych zaufania i szacunku. Myślą więc, że cały świat jest brutalny i brudny. No i wtedy czują się mądrzejsi i bardziej autentyczni, gdy głosują na takich, którzy swoim wizerunkiem dobrze wpisują się w ich ponury obraz świata. Dla nich wszyscy są „siebie warci” i dlatego lepszy jest ten, kto przynajmniej nie udaje. Pójdą więc zagłosować na Nawrockiego, a wieczorkiem puszczą sobie pornosa. I wszystko wówczas w ich świecie gra. Jest spójnie i dziarsko. Porno i rześko.

JAN HARTMAN

DĄBROWSKI RYSUJE

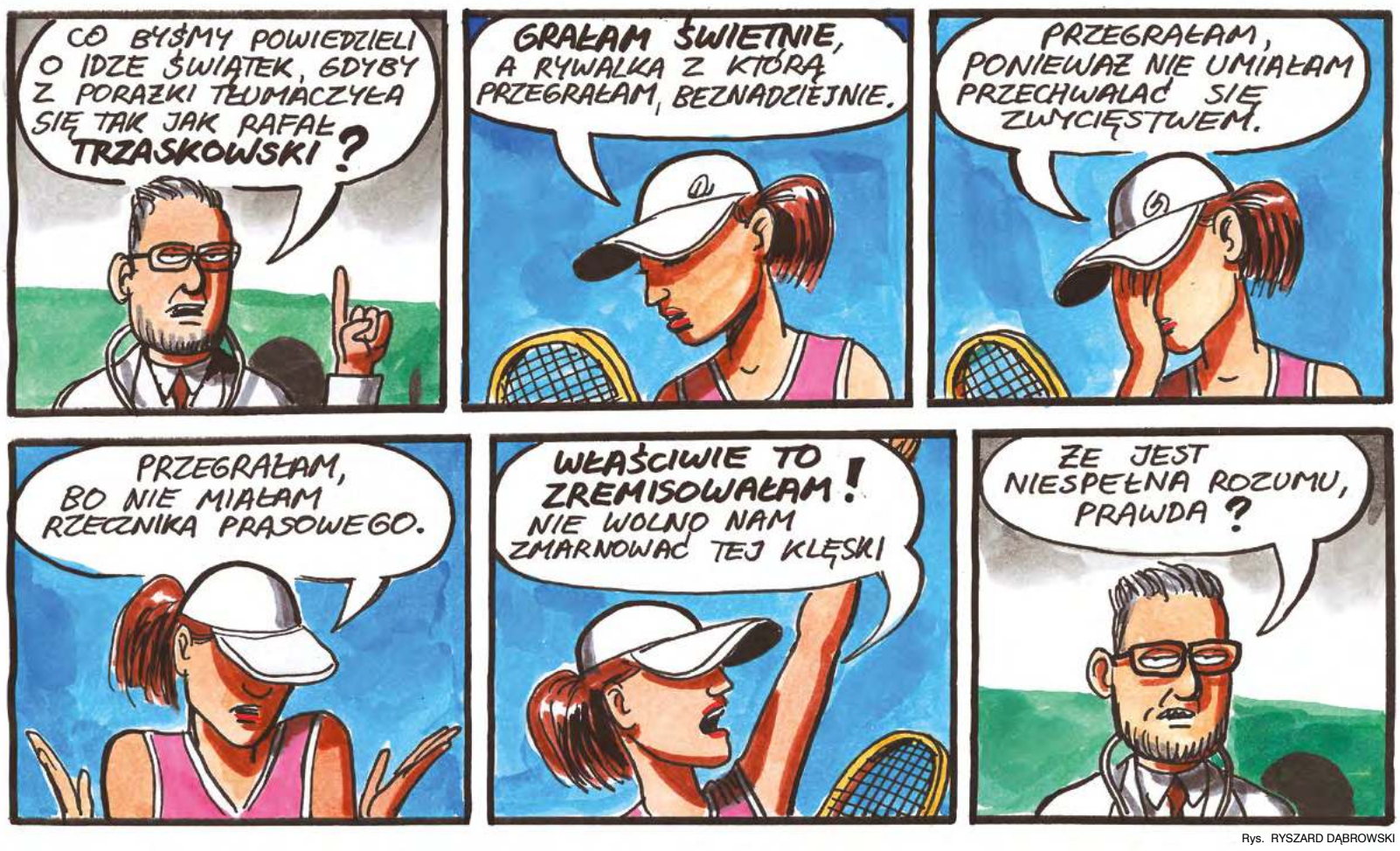

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 97f5af6175

Tusku, podziękujesz?

Czas odwdzięczyć się prawosławnym

Na Białostocczyźnie i Podkarpaciu prawosławne wysepki w morzu katolickiej Polski pokazały wała czcicielowi „leśnych” Karolowi Nawrockiemu. Te kilkadziesiąt tysięcy głosów nie przechyliło szali na korzyść Rafała Trzaskowskiego – ale ich dysponenci zasługują od Koalicji 15 października przynajmniej na gest sympatii. Zwłaszcza że i w batalii prezydenckiej w 2020 r. elektorat od przekreślonego krzyżyka dał Trzaskowskiemu fory – bo jest raczej stały w politycznych uczuciach, a PiS-u nie cierpi w zasadzie en masse.

Jak to zrobić? Bardzo prosto. Przyspieszając prace nad złożonym w marcu przez lewicę projektem nowelizacji ustawy o „zadośćuczynieniu ofiarom i rodzinom ofiar przestępstw popełnionych na tle narodowościowym, religijnym i rasowym w latach 1945–1946”. Kosztowałoby to jednorazowo budżet państwa circa 5 mln zł – więc tyle, co nic.

Jak słusznie zauważają w uzasadnieniu projektu jego autorzy, „Rzeczpospolita Polska licznymi aktami prawnymi uznaje zasługi i przyjmuje na siebie odpowiedzialność za działalność podziemnych formacji wojskowych i organizacji niepodległościowych w okresie po wkroczeniu do Polski armii ZSRR”. Z czego wynika, iż „Państwo polskie, realizując zasadę sprawiedliwości społecznej, powinno także naprawić szkody wyrządzone cywilnym osobom postronnym, które ucierpiały w wyniku niesłusznych działań niektórych oddziałów i ich dowódców”.

Póki co – przypominają autorzy projektu –

finansowe zadośćuczynienie otrzymały wyłącznie rodziny zbrodniarzy wojennych i powojennych. Wystarczy wspomnieć wyrok Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego sprzed trzech dekad, który ubogacił rodzinę o nazwisku Rajs.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Romuald Rajs, ps. »Bury«, w 1946 roku był dowódcą oddziału Pogotowia Akcji Specjalnej – Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (PAS NZW)” – przypomina projekt ustawy. „Oddział ten w 1946 roku na terenie byłego powiatu Bielsk Podlaski (teraz to powiat hajnowski – dop. JMP) dokonał szeregu zbrodni na ludności przynależącej do białoruskiej grupy narodowościowej o wyznaniu prawosławnym. IPN w ustaleniach śledztwa z 2005 roku stwierdził, że działania oddziału Romualda Rajsa »Burego« spełniają znamiona ludobójstwa”. Eufemizmy w rodzaju „znamion ludobójstwa” są właściwe dla języka legislatury – ale warto przypomnieć, że w tym konkretnym przypadku chodzi o gwałty, podpalanie domów, w których wcześniej zamknięto cywili, zabijanie ludzi z broni maszynowej i tej krótkiej, która doskonale sprawdza się w przypadku strzału w tył głowy.

Wstępny szacunek mówi o setce beneficjentów, którzy otrzymaliby jednorazowe, nieopodatkowane świadczenie w wysokości 50 tys. zł. Rozpatrywaniem podań i wypłatą świadczeń zająłby się szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Projekt ustawy nie wymaga konsultacji w UE. Tym samym jej uchwalenie mogłoby pójść na tyle sprawnie, żeby trafiła do podpisu jeszcze na biurko Andrzeja Dudy, który za swojej kadencji oddał hołd ofiarom zbrodni „Burego” w Zaleszanach, wizytując tę miejscowość podczas swojego tournée pod Białostocczyźnie.

O taką ustawę przez dekady walczył Eugeniusz Czykwin: wieloletni poseł lewicy (zaczynał jeszcze w sejmie PRL), a potem Koalicji Obywatelskiej, dożywotni szef „Przeglądu Prawosławnego” (obchodzącego w tym roku 40-lecie istnienia). Między latami 2007 i 2015 Czykwin złożył do laski marszałkowskiej dwa podobne projekty. Oba, po pierwszych czytaniach w komisjach, trafiły do sejmowej zamrażarki. Próbował także w kadencji 2015–2019, kiedy pełnię władzy miało Prawo i Sprawiedliwość z przyległościami. Marszałkini Elżbieta Witek jego projektowi nie nadała nawet numeru druku.

„Mam zapewnienie kierownictwa mojego klubu, Koalicji Obywatelskiej, o konieczności rozwiązania tego problemu” – powiedział Czykwin na łamach swojej gazety tuż przed wyborami w 2023 r. Do sejmu tym razem nie wszedł, ale przecież i tak może powiedzieć premierowi Tuskowi: „Sprawdzam!”.

JMP

E-szlaban

Weryfikuj się lub bądź offline

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Tęsknicie za czasami, kiedy pytano Was o dowód osobisty w monopolowym? Już niedługo wszyscy poczujemy się jak podrostki. Unia Europejska wchodzi w kolejny etap wojny z technologicznymi gigantami. W przestrzeni medialnej pojawił się wysyp artykułów sugerujących, że z dniem 1 lipca obywatel, który nie potwierdzi wieku, zostanie pozbawiony m.in. dostępu do Fejsbuczka i serwisów z seksualnymi zapasami. Wyjątkowo nie jest to clickbait. Bruksela faktycznie wprowadza nowe narzędzie weryfikacji metrykalnej. A wszystko dla bezpieczeństwa bachorów.

Unijne przyzwolenie

Nowy wymóg obejmie nie tylko strony ze śliskimi filmikami i hazardem, ale także platformy społecznościowe takie jak wspomniany Facebook, Instagram, X, TikTok czy YouTube.

Mieszkańcy Unii Europejskiej, chcąc skorzystać z wybranych witryn, będą zobowiązani do pobrania i zainstalowania specjalnej aplikacji. Jej celem jest potwierdzenie, czy użytkownik osiągnął wiek wymagany w regulaminie strony lub serwisu, co istotne – bez pytania o dane wrażliwe jak imię, nazwisko, data urodzenia czy numer dowodu osobistego. Skąd zatem aplikacja będzie wiedziała, ile wiosen liczy Kowalski? Weryfikacja nastąpi przez tzw. zaufaną trzecią stronę. Co to takiego? Dokładny mechanizm działania aplikacji nie został jeszcze w pełni ujawniony, ale przypuszcza się, że

obywatel jednorazowo potwierdzi swój wiek za pomocą istniejących cyfrowych dowodów tożsamości, takich jak aplikacja mObywatel czy bankowość elektroniczna. Rozwiązanie to wydaje się być kontrowersyjne, bo może wykluczać niektórych użytkowników i rodzić potencjalne obawy o centralizację danych.

Innym sposobem może być współpraca aplikacji z operatorami sieci komórkowych, którzy potwierdzą wiek na podstawie posiadanych danych, co z kolei trąci naruszeniem prywatności. Załóżmy jednak, że internauta pomyślnie przeszedł ten nieprzyjemny etap grzebania w prywatności, co dalej?

Aplikacja stworzy token szyfrujący, który da zielone światło na surfowanie po wybranych serwisach. Przy wejściu na stronę z – dajmy na to – pornosami, na chwilę trzeba będzie wstrzymać żądze, bo witryna poprosi o potwierdzenie pełnoletności. Użytkownik zatwierdzi prośbę za pośrednictwem aplikacji – za pomocą kodu QR albo komunikatu na urządzeniu. Witryna otrzyma wówczas informację „tak” lub „nie” bez szczegółowych danych. I już będzie można ściągać spodnie.

Ku pokrzepieniu serc, nie trzeba będzie za każdym razem ponownie przechodzić procedury. Niemniej użytkownik będzie zobowiązany zatwierdzić żądanie każdej witryny z osobna. To zamierzone działanie, które ma zapobiegać śledzeniu między różnymi stronami.

Gdzie diabeł może

Czy nam się to podoba, czy nie, zanim podniosą się głosy o zabieraniu wolności przez Eurokołchoz i porównania do Orwella (USA już zaczęły warczeć o narzucaniu amerykańskim firmom standardów, które zagrażają wolności słowa w Europie i Stanach Zjednoczonych), warto zwrócić uwagę, że podobne rozwiązania wprowadziła Australia, gdzie Komisja ds. e-bezpieczeństwa nie pieściła się w tańcu i wymusiła na platformach uwierzytelnianie wieku ich użytkowników.

Ponadto ruch UE to kolejny etap egzekwowanej od lutego 2024 r. ustawy o usługach cyfrowych (DSA). Jej głównym celem jest zapobieganie nielegalnym i szkodliwym działaniom online w oparciu o fundamenty ustanowione przez ogólne i dobrze znane rozporządzenie o ochronie danych (RODO).

Pomijając portale z golizną, za platformami typu Facebook (obecnie Meta, obejmująca także Instagram) ciągnie się solidny smród szkodliwych działań wobec dzieci i młodzieży, które wynikają z modelu biznesowego big techów.

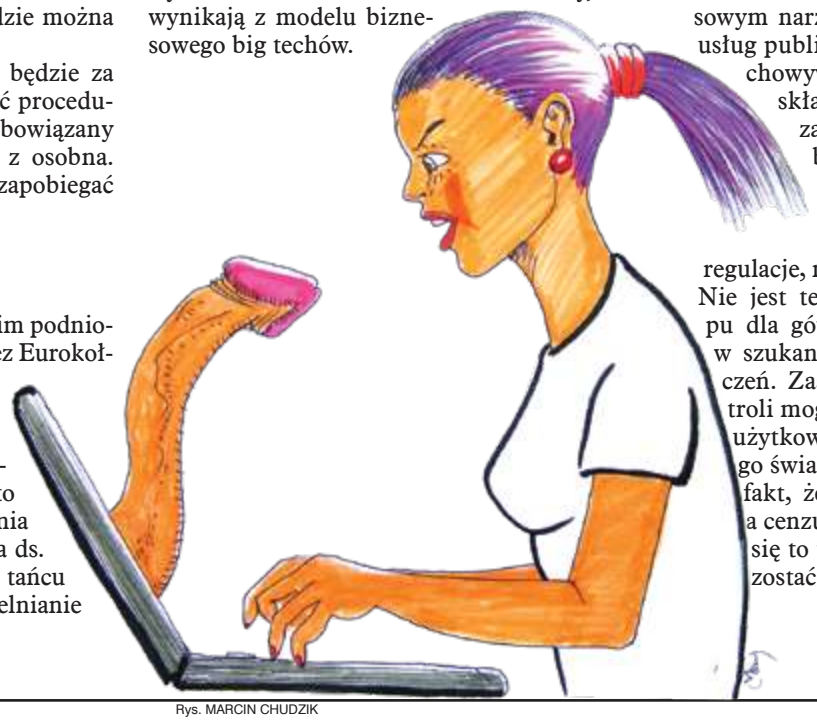

Rys. MARCIN CHUDZIK

Meta celowo projektuje algorytmy, które maksymalizują zaangażowanie użytkowników, w tym milusińskich, poprzez dostarczanie treści wywołujących silne emocje. Tzw. *engagement-based algorithms* mają prowadzić do kompulsywnego korzystania z platform, porównywanego do uzależnienia od nikotyny. Instagram oskarżany jest o promowanie treści, które zwiększają ryzyko depresji, zaburzeń odżywiania i myśli samobójczych. W 2021 r. była pracownica Facebooka Frances Haugen ujawniła wewnętrzne dokumenty, które pokazały, że Meta zdawała sobie sprawę ze szkodliwego wpływu Instagrama na psychikę nastolatków (jedna na trzy nastoletnie dziewczyny zgłaszała pogorszenie obrazu własnego ciała). Firma miała to jednak w dupie, ponieważ stawiała zyski ponad bezpieczeństwo najmłodszych. Unia Europejska postanowiła urwać hydrze łeb.

Kablem po łapkach

Założenia DSA są ambitne. Poza wymogami dotyczącymi przejrzystości algorytmów i reklam wprowadziła szereg obowiązków dla wielkich platform, m.in. raportowanie działań, przeprowadzanie ocen ryzyka i podejmowanie rzeczywistych kroków w celu zapobiegania szkodom. Przepisy mają służyć nie tylko ochronie internautów, ale i kręcić bat na bardzo duże platformy (VLOP) przez pociąganie ich do odpowiedzialności finansowej za nieuczciwe praktyki. Ustawa przewiduje kary do 6 proc. globalnego rocznego obrotu za naruszenia m.in. wymogu usuwania nielegalnych treści oraz do 1 proc. obrotu za mniejsze naruszenia, jak np. dostarczanie niekompletnych informacji. Dla przykładu: w maju Komisja Europejska wszczęła formalne dochodzenia w sprawie kilku platform pornograficznych: Xvideos, Pornhub i XNXX za brak wdrożenia skutecznych narzędzi weryfikacji wieku. W skrajnych przypadkach UE może zawiesić świadczenie usług przez platformy na swoim terytorium.

Aplikacja, z którą przyjdzie nam się zmierzyć, to początek zmian i rozwiązanie czasowe. Od przyszłego roku ma ją zastąpić tzw. portfel tożsamości cyfrowej, który stanie się kompleksowym narzędziem umożliwiającym dostęp do usług publicznych i prywatnych – w tym przechowywanie dokumentów cyfrowych oraz składanie wiążących podpisów. Według zapowiedzi wszyscy obywatele UE będą mogli z niego skorzystać najpóźniej do końca 2026 r.

Pojawiają się głosy, że bez względu na to, jak ambitne technicznie są regulacje, nigdy nie będą odporne na oszustwa. Nie jest też żadną tajemnicą, że zakaz wstępu dla gówniaków pobudzi ich kreatywność w szukaniu sposobu na ominięcie zabezpieczeń. Zaawansowane cyfrowo systemy kontroli mogą za to stać się barierą dla starszych użytkowników i wykluczyć ich z wirtualnego świata. Naturalnie nie bez znaczenia jest fakt, że granica między bezpieczeństwem a cenzurą jest bardzo cienka. A jeśli komuś się to wszystko nie podoba, będzie musiał zostać offline.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 97f5af6175

Nie krzywdź innych

Prawo do wolności

Wkurza mnie, gdy jestem przymuszana moralnie do akceptacji i pochwalania idiotycznej lub niesprawiedliwej sytuacji prawnej albo wynikającej z niej rzeczywistości w imię uszanowania „państwa prawa". Państwu prawa milcząco przeciwstawiany jest „stan bezprawia", a mnie także bez słowa, bez werbalnego obrażania, stawia się w rzędzie wyrzutków i wichrzycieli. To sytuacja ukrytego moralnego szantażu. A ja, krytykując głupie prawo, brak prawa w jakimś zakresie albo prawo niesprawiedliwe, chciałabym czuć się dumna z siebie – ze swej prospołecznej, obywatelskiej postawy – i przyznam, że czasem czuję dumę z tego powodu. Jeśli też czasem stawiają Cię z podobnego powodu w rzędzie wichrzycieli i wyrzutków społecznych, jeśli czujesz, że opór jest konieczny, to wiedz, że nie jesteś sam lub sama. Wiedz, że nasz czas, czas pozytywnych wichrzycieli, nadejdzie. Bądź pozdrowiony, towarzyszu podróży, w drodze do lepszego jutra.

Dziś chcę napisać kilka słów o wolności. Czym jest to słowo powtarzane wszędzie i prawie przez wszystkich? Czym jest to pojęcie jako wartość obecna w każdym systemie etycznym stworzonym przez człowieka? Podstawa poczucia godności każdego człowieka. Jak wolność powinna funkcjonować w systemie prawnym? Wrócę do tych pytań, ale wcześniej chcę się zatrzymać chwilę przy kontekście, jaki stwarza sam system tworzenia i egzekucji prawa.

Ronald Myles Dworkin, amerykański filozof prawa i polityki, w niedawno wydanej także w Polsce książce „Sprawiedliwość według jeży" twierdzi, że prawa opierają się na kompleksowym zestawie zasad moralnych, które nadają prawom jednostki wartość i działają jak „atut". Tyle że zasady moralne, które ludzie cenią, są często błędne albo niekompletne. A jeśli dodamy do tego całkiem niewyjątkowe sytuacje, że przyjmowane przez rządzących prawa dodatkowo wypaczają te zasady moralne, to mamy w efekcie system prawa prowadzący społeczeństwo i nasze życie jako jednostek w złą albo nawet obłędną stronę. Pomijając sytuacje, w której prawa ustanawiane są z pozycji siły – mam tu na myśli systemy autorytarne – to trzeba zauważyć, że nawet w dobrze funkcjonującej demokracji (choć takiej jeszcze na tej ziemi nie doświadczyliśmy) prawo tworzone może być na bazie błędnych zasad moralnych. Innymi słowy: praworządność nie zawsze oznacza sprawiedliwość. Praworządność także nie zawsze oznacza mądrość.

W jaki sposób walczyć o mądre, moralne i sprawiedliwe prawa? Myślę, że są dwie drogi. Jedna rewolucyjna: przez złamanie istniejących praw, jak tego dokonała Solidarność. Dopóki jednak nie ogłosimy rewolucji światowej lub choćby lokalnej, pozostaje nam tylko druga droga: jak najgłośniejsze domaganie się mądrych i sprawiedliwych praw w każdy możliwy sposób (choć tych sposobów jest, wbrew pozorom, coraz mniej). Domaganie się tych praw w nadziei, iż staną się one na tyle słyszalne, że politycznie realne. Wierzę w to jak dziecko i prawdopodobnie dlatego z uporem od lat poszukuję dobrych rozwiązań – a ostatnio także w ten sposób, że opowiadam Wam bajki.

A teraz wracam do pojęcia wolności. Przyjrzyjmy się kilku sytuacjom:

– muzułmanka wytacza uczelni, na której studiuje, proces o dyskryminację. Uważa, że uczelnia narusza jej prawa, ponieważ zmusza ją do uczęszczanie na zajęcia ze studentami jawnie okazującymi homoseksualność – bo chłopaki dawały sobie buziaki;

– pikieta przeciwników pod kliniką organizacji pomagającej kobietom w aborcji żąda zaniechania działalności, która godzi w ich przekonanie o aborcji jako naruszeniu prawa do życia dziecka;

– ustawa utrudnia zakładanie i działalność związków zawodowych w przedsiębiorstwach, powołując się na prawo do swobodnego prowadzenia działalności gospodarczej;

– Kościół katolicki wymusza na rządzie obowiązek wpisywania uczniom na świadectwie szkolnym oceny z religii, uznając, że ma prawo odwieczne do wychowania religijnego w systemie edukacji…

Wielu ludzi pomyśli, że w każdej z tych przykładowych sytuacji ma miejsce korzystanie z prawa do wolności przez wskazane tu podmioty. System prawny najczęściej wspiera ich roszczenia. A przecież zauważasz, że w tych i wielu innych sytuacjach prawo do wolności jednych ludzi krzywdzi innych.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Czy naprawdę tak trudno współczesnej kulturze ludzkiej i prawu przyjąć i stosować zasadę, że każdy człowiek ma prawo do wolności dosłownie w każdej sprawie i w każdym zakresie z jedynym ograniczeniem: nie krzywdząc innych?

W ten sposób wróciłam do opisanego wyżej spostrzeżenia, że zasady moralne, które ludzie cenią, są często błędne albo niekompletne. W tym przypadku słuszne są bowiem prawa do wolności słowa, wolności religii (choć bycie religijnym niewiele ma wspólnego z mądrością), wolności gospodarczej i innych wolności, pod jednym jednak warunkiem, że dane prawo nie powoduje krzywdy innych ludzi.

ANNA GRODZKA

Niezbędny do grilla

Żyd udomowiony

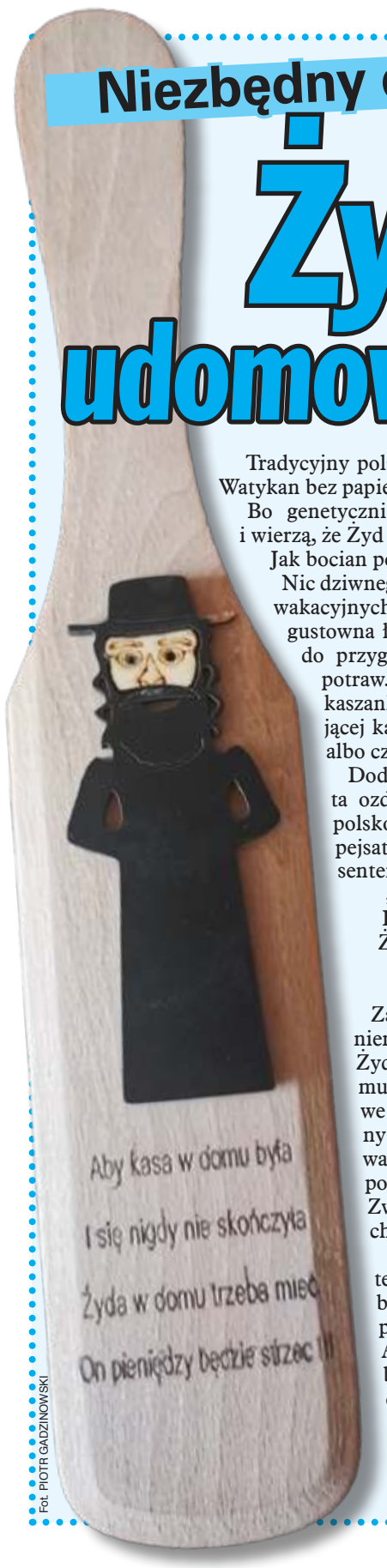

Fot. PIOTR GADZINOWSKI

Tradycyjny polski dom bez Żyda jest jak Watykan bez papieża.

Bo genetyczni Polacy-katolicy wierzyli i wierzą, że Żyd pieniądze przynosi.

Jak bocian polskie dzieci.

Nic dziwnego, że w ofercie polecanych wakacyjnych prezentów pojawiła się gustowna łopatka kuchenna. Idealna do przygotowywania grillowanych potraw. Przewracania spieczonej kaszanki, poklepywania pęczniejącej karkówki, mieszania bigosu albo czulentu.

Dodatkowo ta poręczna łopata ozdobiona jest tradycyjnym, polsko-katolickim wizerunkiem pejsatego „Sąsiada" i proroczą sentencją:

„Aby kasa w domu była
I się nigdy nie skończyła
Żyda w domu trzeba mieć
On pieniędzy będzie
strzec!!!"

Zainteresowanych posiadaniem tego udomowionego Żyda bezinteresownie informuję, że przynoszący finansowe szczęście produkt dostępny jest w licznych, zlokalizowanych poza centrami metropolii polskich marketach. Zwłaszcza tych zwanych chińskimi.

Ten niewątpliwie pożyteczny w domu produkt jest bowiem dziełem lokalnej polskiej myśli dizajnerskiej. Ale jest „made in China", bo to efekt powszechnej optymalizacji kosztów produkcji.

To polsko-chiński Żyd globalny.

GAD

SŁOWO CZERWONE

Mam nietypowy apel: myślmy

W szponach głupoty

W kraju, gdzie głupota rządzi, niewielkie nakłady na naukę nie powinny dziwić. Obywatele i tak wiedzą lepiej. Z internetu. Coraz częściej klikalność myli nam się ze słusznością. Po co studiować, po co prowadzić badania, skoro wystarczy kliknąć i mamy odpowiedź na wszelkie nurtujące nas pytania?

Ludzie niezbyt inteligentni mogą brylować, posługując się inteligencją sztuczną. Algorytm mówi nam, jakich użyć słów, aby kliknięć było więcej. Niestety nie oznacza to więcej sensu.

Przyszedł czas i na polityków. Prekursorem był Sławomir Mentzen, który szczerze wyznał, że głosi poglądy, które najlepiej się sprzedają w internecie. Pytanie, czy ludzie, którzy głoszą to, co im algorytm podpowie, sami w ogóle mają jakieś poglądy? Bo jeżeli osoby aspirujące do kierowania państwem kierują się klikalnością, to czy rządzi nami algorytm wspierany przez AI? A więc już nie żydowski spisek, nie Niemcy, nie reptylianie, tylko maszyny?

Przyjrzyjmy się najnowszym trendom.

Pierwszy – to odrzucenie Zielonego Ładu, który sprawił, że więcej płacimy za prąd, doprowadził do dominującego przekonania, że ekologowie nie mają racji, a ci, którzy nawołują nas do dbania o planetę, to ekoterroryści.

Mój przyjaciel ekolog zwraca uwagę na pożytek z torfu, który sprawia, że gleba tak szybko nie wysycha. Tylko że w wyniku melioracji i wyższych temperatur wysycha torf – i trzeba by go było trochę zmoczyć, a gleba będzie dalej rodziła plony. Ale nowy trend sprawia, że torf i gleba nie mają szans. W telewizji i innych mediach tryumfy święcą wrogowie przyrody. Obrońcy planety nie są dopuszczani do głosu. A młodzież, która urządzała happeningi mające zwrócić uwagę na globalne ocieplenie, stoi przed sądem i grozi jej więzienie. Ostatnie Pokolenie chciało wywołać debatę, ale algorytm ich posadził na ławie oskarżonych.

Kolejnym trendem jest rasizm. Odkąd powstał kryzys migracyjny, coraz więcej polityków przyjmuje postawę otwarcie rasistowską. Można mieć różne poglądy na kwestie wpuszczania do Europy czy do Polski przybyszów z regionów dotkniętych katastrofą klimatyczną, wojną czy po prostu krwawym reżimem. To jednak nie upoważnia nikogo do dehumanizacji osób przybywających do nas w nadziei na ratunek czy choćby lepszy los. Im bardziej jakiś polityk pomstuje na imigrantów, im bardziej złowieszczy obraz tych ludzi kreuje – tym większym się cieszy poparciem. Niepotrzebny jest żaden Goebbels, sami to robimy. Warto przy tym zacytować byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który twierdzi, że bez imigracji gospodarka europejska skona w ciągu najbliższych 10 lat. Bardzo nam zmądrzał ten nasz Kwachu, odkąd kieruje się własną inteligencją, a nie sztuczną. Wystarczy wyjść z polityki.

„Spisek żydowski" wyborcy wycenili na ponad 6 proc. i ma już swoją demokratyczną legitymację. Dowodów na to, że światem zza kulis rządzą Żydzi, dostarcza w nadmiarze internet. Jeszcze zanim Braun osiągnął swój sukces wyborczy, Mentzen twierdził, że głoszenie poglądów antysemickich daje duże poparcie. No i sprawdziło się. Głoszenie poglądów rasistowskich przestało już być nie do pomyślenia czy obciachowe. To w ramach walki z tzw. poprawnością polityczną.

Tak samo jest z homofobią, mizoginią (niechęć do kobiet), negacjonizmem (pogląd, że Holokaustu wcale nie było), szowinizmem, a nawet neofaszyzmem. Teraz już są spoko. Próbę ich okiełznania poprzez regulacje zakazujące języka nienawiści prezydent elekt odrzuca, bo są ponoć skierowane przeciw jednej tylko ideologii. Prezydent tego wyraźnie nie powiedział, ale stanął w obronie wypowiedzi nacjonalistycznych i wszystkich nacjonalizmu obrzydliwych pochodnych.

Wszystko, czego ludzie ogłupieni internetową propagandą nie rozumieją, przedstawia się jako zagrożenie. A prawica obiecuje nas ochronić przed pedałami, Ukraińcami (o Rosjanach nie ma mowy), ekoterrorystami, migrantami, Eurokołchozem, Niemcami – słowem całym tym obrzydliwym światem, który nie jest dość polski i nie dość katolicki, nie dość hetero.

Jak mafia. Najpierw straszą, potem oferują ochronę. Cena niewygórowana, trzeba tylko na nich zagłosować i dać im nami rządzić.

Niby nic nowego pod słońcem, nie od dziś wiemy, że skrajna prawica i prawica w ogóle świetnie włada internetem i sztuczną inteligencją. Problem jednak w tym, że

obóz liberalny, zamiast stanąć po stronie rozumu i humanistycznych wartości, trwożliwie porzucił własne poglądy i podążył pokornie za naziolami. Liberał, który żeby się przypodobać nacjonalistycznej prawicy, zawiesza prawo do azylu, nie jest już liberałem,

bo nie stoi na straży praw człowieka. A propozycja odjęcia od ust dzieciom uchodźców wojennych z Ukrainy jest o tyle bardziej haniebna, że zasiłek 800 plus dała tym dzieciom PiS-owska prawica.

Obóz niegdyś liberalny, który próbuje udawać obóz narodowy, będzie już odtąd zmierzał od klęski do klęski. I to niezależnie, ilu polityków PiS zdąży zamknąć przed ostateczną katastrofą.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 97f5af6175

Kilkoro kandydatów do prezydentury napomykało o prawach mężczyzn. I słusznie.

Orły, sokoły, bażanty

„Obecnie okupantem nie są Niemcy, jesteśmy okupowani przez sądy rodzinne, sędziny mordują Polaków jednego za drugim, dziennie wieszanych jest 10 ojców i 1 dziecko”. Tak stoi na stronie internetowej Stowarzyszenia Dzielny Tata. Potem wyciągnięty jest artykuł kodeksu karnego mówiący o ludobójstwie, a z niego fragment o tym, że jak ktoś jakiejś grupie „przymusowo odbiera dzieci”, to „podlega karze pozbawienia wolności od lat 5 do 25”. Grupą poddaną temu nieludzkiemu działaniu są zaś tatusiowie.

Dobry ojciec nie płaci

Tysiące ludzi w Polsce są bardziej niż przekonane, że w Rzeczypospolitej najbardziej dyskryminowaną grupą są mężczyźni. A szczególnie ci, którzy są ojcami. Wbrew zapisom konstytucji sądy nie traktują ich na równi z matkami, czyli kobietami. I dlatego niemal zawsze to mężczyźni są zmuszani do płacenia alimentów. Zawyżonych zazwyczaj. Takich, z których utrzymują się nie tylko dzieci, ale i ich leniwe matki. Wskazuje to jednoznacznie statystyka. Przecież ponad 70 proc. przywalonych przez sąd świadczeń mieści się w widełkach od 900 do 1600 zł.

Poza tym sądy w ok. 60 proc. przypadków przyznają opiekę nad dzieckiem matce. W 30–35 proc. – obojgu rodzicom. Tatusie dostają tylko 3–4 proc. dzieci. To zaś skutkuje nieotrzymywaniem przez zdecydowaną większość z nich 800 plus. Ale największą ojcowską gehenną jest to, że tatusiowie mogą spotykać potomstwo tylko w weekendy. A i to tylko wtedy, jak matki wykażą dobrą wolę i zgodzą się wydać dziecko ojcu. Sobotnio-niedzielne spotkania z ojcem sądy motywują zaś czymś tak dla ojców niezrozumiałym jak chęć nierozbijania dziecku chodzącemu do szkoły tygodniowego cyklu. Zupełnie jakby odrabianie lekcji było ważniejsze niż wieczór spędzony z rodzicem.

Postponowani przez polskie prawo tatusiowie od lat walczą o swoje prawa. Przez lata wspierali PiS. Występowali na demonstracjach, brali udział w miesięcznicach, przemawiali na wiecach i nawet reklamowali Ziobrę i innych na wspólnych z działaczami organizacji Dzielny Tata zdjęciach.

I zostali podle zdradzeni. Zamiast pochylić się nad ich problemami i znieść alimenty, parę lat temu Ziobro przeprowadził ustawę pozwalającą za niepłacenie świadczeń na dziecko trafiać za kraty.

„Ziobro masakruje ojców – najpierw dzieci będą wydzierane od ojców, a potem będzie zbierany haracz, na koniec będą odbierane mieszkania tym, co nie płacą okupu za zabrane dzieci” – ocenił ten akt na swojej stronie internetowej Dzielny Tata. Ale się nie poddawał.

Byle nie alimenty!

Od tej pory panowie skoncentrowali się na akcie prawnym, który zmuszałby sądy rodzinne do naprzemiennej opieki nad dziećmi.

Szło o to, żeby małolat był tydzień u ojca i tydzień u matki. Nienawidzące, widać, mężczyzn profesorki od psychologii rozwojowej, słysząc to, pukały się w czoło, bo taki układ rozwalałby dzieciakowi wszystko.

Począwszy od poczucia posiadania domu, a skończywszy na niemożności kumplowania się z kolegami ze szkoły, chyba że na TikToku.

Argumenty mizoandryczek – bab nienawidzących facetów – przekonały ówcześnie rządzących i obligatoryjna naprzemienność została ustawowo uwalona.

Dzielny Tata zareagował. „To, co zrobiło PIS, przerosło nasze wszelkie oczekiwania! PIS zniweczyło 9 lat naszej walki o prawa ojca do wychowywania naszych dzieci. Potwierdzili też, że zasługują na miano oprawców. Wielu ludzi pokładało nadzieję w »dobrej zmianie« okazali się jednak oszustami, którzy dbają tylko i wyłącznie o interesy żydowskie” – napisali w sieci. I porzucili wszelką nadzieję.

Przy okazji pokazując światu, że kolejnym czynnikiem, który powoduje dyskryminację polskich mężczyzn, jest syjonizm. Ponieważ jednak większość środowiska sędziowskiego nie podzielała wizji świata PiS, to sądy na złość władzy jęły coraz częściej opiekę naprzemienną wyrokować.

Ale ponieważ nie robią tego za każdym razem, to Dzielny Tata prowadzi akcję przeciwko sędziom, którzy śmią nie oddać dziecka ojcu. Nazywa się to „Akcja milion”. „Wnosimy pozwy przeciwko sędziom sądów rodzinnych o naruszenie dóbr osobistych – nie widzenia się z dzieckiem i brak możliwości wychowywania dziecka zgodnie z konstytucją z art. 32 i art. 33, a zadośćuczynienie to 1 000 000 zł za każdy rok nie widzenia się z dzieckiem” – piszą niedopieszczeni werdyktami tatusiowie.

Skazani na drwalstwo

Jednak nie oni jedni poczuli się postponowani różnymi formami dyskryminacji. A tych jest przecież mnóstwo. Niektóre wymienione na internetowym portalu Dzielnego Taty, a inne na setkach internetowych forów dla dyskryminowanych mężczyzn. Choćby prawo kobiet do brania rozwodu w dogodnej sytuacji. Czyli „oszukiwania mężczyzn matrymonialnie i okradania ich z pieniędzy, kontaktu z dziećmi oraz godności”.

Nie wspominając już o paradygmacie prawnym powodującym „uznawanie mężczyzny za sprawcę przemocy domowej, pomimo tego, że kobiety składają możliwie ponad 50 proc. fałszywych oskarżeń (badania Kanina), a także stosują ją w równym stopniu i większym (przemoc psychiczna)”.

Poza tym każdy mógł się dowiedzieć, że w sądach kobieta, która bije mężczyznę, jest łagodniej traktowana niż mężczyzna, który bije kobietę. I dlatego pozbawiony wsparcia państwa mężczyzna musi bronić się przed kobietami sam. Praktycznie nie ma domów samotnych ojców, tak jak domów ofiar przemocy domowej dla mężczyzn.

Gdy kobieta zabije czy ukradnie, to też wyrok dla niej jest znacznie niższy niż za to samo przestępstwo dokonane przez mężczyznę. A w więzieniach panie też mają lżej niż notorycznie gwałceni analnie mężczyźni.

Dodajmy do tego łatwość kobiet w oskarżaniu mężczyzn o gwałt czy molestowanie. W praktyce przed takim zarzutem mężczyzna nie ma możliwości się obronić. Nie wspominając o tym, że żaden facet nie wygra w sądzie sprawy, gdy to on zostanie przez kobietę zgwałcony czy będzie przez nią molestowany. Polskie prawo jest impregnowane na takie zarzuty wobec kobiet.

Do tych kwestii dyskryminacji prawnej użytkownicy forów dla postponowanych panów dodają też dyskryminację ekonomiczną facetów. Czyli niższy wiek emerytalny dla kobiet. I to „mimo statystycznie lżejszej pracy, mniejszej produktywności i dłuższej średniej życia kobiet”. Ale też wypłaty chorobowego w czasie trwania ciąży. Walka o prawa mężczyzn to nie tylko polska działka. Amerykański Men’s Rights Movement ma już ponad 30 lat. I walczy o to, żeby faceci mogli płakać na filmach, pracować w kobiecych zawodach, mówić o swoich problemach, plotkować i roztkliwiać się nad zwierzątkami tudzież dziećmi. Walczy o facetów, którzy mają zarabiać na siebie, a nie na pasożytujące na nich kobiety i mają mieć czas na samorealizację z kumplami.

No i ubolewa nad tym, że w szkołach chłopcy są gorzej traktowani: „Muszą radzić sobie z cięższymi przeciwnościami i od młodości uczeni są, by się nie żalić nikomu i nie smucić, więc nie mogą być otwarci emocjonalnie”.

Bo emocjonalność to coś dla dzisiejszego mężczyzny najistotniejszego. I na tym właśnie polu dyskryminacja jest największa. Facetom nie wolno ujawniać uczuć.

Dzięki dyskryminacji faceci nie mogą się samorealizować. Żeby być postrzegani jak mężczyźni, muszą zrezygnować ze swoich zainteresowań na rzecz zawodów wybieranych pod kątem wysokości zarobków. Wybierają więc pracę cięższą oraz mniej satysfakcjonującą i zamiast przedszkolanką, zostają kierowcą ciężarówki, śmieciarzem czy drwalem.

TOMASZ BOROWIECKI

Rys. TOMASZ WIATER

Kobiety

Polskę zalała armia na wysokich obcasach

Na wschodzie Donbasu pada śnieg przesiąknięty prochem. 20-letni chłopak z Charkowa, jeszcze kilka miesięcy temu student medycyny, leży w okopie z kałasznikowem w rękach i modli się, by dron z granatem nie był dzisiaj dla niego. W tym samym czasie jego dziewczyna – ta sama, która płakała, żegnając go na dworcu – przymierza w Złotych Tarasach nową kurtkę z napisem „New Life”. To nie metafora. To polska codzienność wojny, która nie toczy się tutaj – ale odbija się szerokim echem.

Bo oto nagle kobiety, które uciekły przed bombami, w magiczny sposób zdążyły nie tylko pozbierać się psychicznie, ale też odnaleźć w kapitalistycznej dżungli – lepiej niż niejeden Polak. Stylizacje z Zary, paznokcie z Instagrama, kawka z mlekiem migdałowym. Zdjęcie z nowym chłopakiem – Polakiem, rzecz jasna. Najczęściej właścicielem firmy transportowej, deweloperem albo chociaż dobrze sytuowanym rozwodnikiem.

To nie oskarżenie zbiorowe. To opis zjawiska, które nabrzmiewa i które coraz więcej ludzi widzi, ale boi się nazwać. Kto został, żeby bronić Ukrainy? Ojciec, brat, chłopak, kochanek. Kto wyjechał? Często młoda, atrakcyjna kobieta. Bez dzieci. Bez traumy.

Dam ci zupy

Minęły już ponad trzy lata, od kiedy pierwsze rakiety spadły na Kijów. Wtedy nikt nie wiedział, co się właściwie zaczyna i jak się to skończy. Wojna – nawet jeśli starannie zaplanowana – zawsze pozostaje chaosem. W mediach słyszeliśmy o nielegalnej ukraińskiej pszenicy, podrabianym miodzie i całej reszcie towarów, które przekraczają granicę w jedną stronę. Ale to nie o towary chodzi w tej historii. Prawdziwy eksport ruszył w zupełnie innym wagonie. Jednego dnia dwa miliony ukraińskich kobiet wsiadło do pociągu z napisem „Przemyśl” i pojechało w nieznane. Czytaj: do Polski.

Wojna przekroczyła nasze granice szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał. I tak naprawdę warto się dziś zastanowić: jaki był jej prawdziwy cel? Bo ani z zapewnień Putina, ani z deklaracji Zełenskiego nie da się wyłuskać logicznego sensu. Może dlatego, że go nie ma?

No cóż – ukraińska armia nieumundurowana i niezhierarchizowana, w spódnicach i w szpilkach, już tu jest. Prawdziwy hit eksportowy. Chodzi po ulicach. Uśmiecha się i ma paszport z tryzubem. Wojsko młode, atrakcyjne, zdeterminowane. Świeże. Z tajemnicą w spojrzeniu i dramatem w historii, którego weryfikować nikt nie śmie.

Polskie „modelki 3.0” pytają o twoje poglądy polityczne, a zgodę na wszystko musisz mieć na piśmie. Ukrainki nie robią problemów. To może być strategia. W Niemczech Ukrainki pracują jako opiekunki, ale często zostają paniami domu. We Włoszech – zaczynają od sprzątania, kończą z pierścionkiem. W Polsce? Przeskakują cały etap pośredni. Wchodzą prosto do serca, portfela i mieszkania.

Nagle okazało się, że nie trzeba być wykształconą, samowystarczalną, spełnioną. Trzeba być dostępniejszą. Łagodniejszą. Sprytniejszą. I gotową zagrać w grę, której reguły w Polsce ustalano latami – ale nagle przyszła nowa zawodniczka i po prostu wygrała. Polska kobieta coraz częściej przegrywa z dziewczyną z Kijowa. Ukrainki wkroczyły na scenę międzynarodową jak z filmu Kurosawy: z gracją, determinacją i pazurem. Z ofertą nie do odrzucenia: uroda, tradycyjne wartości i domowy barszcz.

Genetyczny remix

To nie jest strzelanina na polu buraków ani czołgi rozjeżdżające Donbas. To, co się dzieje w Polsce od 2022 r., to coś o wiele głębszego. Nowy kształt podboju. Cichy, miękki, ale skuteczny. Wystarczy, że kolejne polskie dzieci będą miały ukraińskie matki. Nie

Aby napływająca ze Wschodu fala kobiet pragnących urządzić sobie w Polsce lepsze życie miała szanse na pełną asymilację, wtopienie się w polski krajobraz społeczny, potrzebna jest zasadnicza zmiana poglądów. Przynajmniej u tej części populacji, która migrującymi do Polski Ukrainkami potencjalnie powinna być najbardziej zainteresowana. Myślę tu o całkiem licznej grupie polskich inceli.

Pojęcie incela oznacza mężczyznę żyjącego w celibacie mimo woli. Wywodzi się z internetowej subkultury mężczyzn nieznajdujących spełnienia w relacjach romantyczno-seksualnych z kobietami. Zjawisko to rozlało się już daleko poza internet i wszystko wskazuje na to, że staje się coraz ważniejszym problemem społecznym, który na razie pozostaje bez rozwiązania. Przynajmniej na gruncie polskim, bo grunt to wyjątkowo żyzny do rozwoju takich zjawisk. Incel – mniej dyplomatycznie i bardziej swojsko zwany stulejarzem – to facet, który za swoją niemożność spełnienia obwinia kobiety. Nie umie odnaleźć się we współczesnym społeczeństwie, w którym coraz więcej kobiet nie uważa już, że ich życiową rolą jest zajechanie się w charakterze matki-Polki oraz służącej tyjącego z miesiąca na miesiąc próżniaka, który cały swój wolny czas spędza na żłopaniu piwa przed telewizorem. Z rzadka będącej używaną przez faceta jako materac.

To dlatego incele to przede wszystkim seksiści i mizogini. Ale nie tyl-

eprasa.pl 97f5af6175

wojny

trzeba dekretów. Wystarczą związki, alimenty, paszporty i wspólne zdjęcia na Instagramie z hasztagiem #newfamily.

To nie wojna światów – to zmiana gatunkowa, jakiej nie przerabialiśmy od czasów pierwszych Słowian. Chcecie faktów?

Od lutego 2022 do końca 2024 r. granicę polsko-ukraińską przekroczyło ponad 9,5 mln obywateli Ukrainy. Według danych straży granicznej i urzędu wysokiego komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw uchodźców (UNHCR) ok. 80 proc. uchodźców to kobiety i dzieci. Mężczyźni w wieku 18–60 lat mają zakaz opuszczania Ukrainy – zostali na miejscu, często wciągnięci do armii lub rezerwy.

Ponad 150 tys. Ukrainek w wieku 18–40 lat zarejestrowało się w polskich urzędach pracy, ale ponad połowa nie podjęła pracy przez pierwsze 12 miesięcy (MRPiPS, 2023). Świadczenia socjalne (500/800 plus, dodatki mieszkaniowe, pomoc samorządowa) objęły łącznie ok. 400 tys. uchodźczyń.

Nastąpił znaczący wzrost profili Ukrainek na polskich portalach randkowych (Sympatia.pl, Ukrainki-Randki.pl, Tinder Polska). Grupa „Dziewczyny z Ukrainy" na Facebooku ma tyle wysokości ekranu, że po dwusetnej przestałem przewijać.

W badaniach CBOS z 2024 r. 31 proc. młodych Polek (18–35 lat) deklarowało poczucie „silnej konkurencji" ze strony migrantek z Ukrainy. Liczba małżeństw zawieranych przez Ukrainki z Polakami wzrosła między 2022 a 2024 r. trzykrotnie.

(GUS, dane szacunkowe).

Matka-Polka w odwrocie

Polki przegrywają konkurencję. Przez lata dźwigały na plecach ciężar domów, dzieci, mężów z ambicjami mniejszymi niż ich ego. Pracowały na etatach, ogarniały życie, słuchały poradników o samorozwoju i płaciły rachunki, gdy pan domu jeszcze „próbował się odnaleźć". A potem przyszła Ona: świeżo przyjechana, bez pracy, bez znajomości języka, ale egzotyczna i gotowa na nowe życie. Trafia do programu socjalnego, do mieszkania, a chwilę później – do łóżka Polaka. Tego samego, który jeszcze wczoraj śmiał się z żony, że „za dużo wymaga". Polki obserwują to z niedowierzaniem. Najpierw jest zaskoczenie. Potem wściekłość. W końcu przychodzi milczenie podszyte rezygnacją. Jak walczyć z kimś, kto nie waha się wejść w rolę ofiary, a jednocześnie umie perfekcyjnie rozegrać kartę uprzywilejowanej?

Polskie państwo i społeczeństwo nie miały planu na tę wojnę. Była tylko emocjonalna reakcja: „pomagamy, bo trzeba". Tyle że nikt nie zapytał, komu dokładnie pomagamy. Kto naprawdę jest ofiarą, a kto sprytnym graczem?

Nie chodzi o to, żeby przestać pomagać, ale dziś sytuacja wygląda tak: Polki płacą podatki, Ukrainki korzystają z przywilejów – i jeszcze zabierają im mężczyzn.

Nagle okazało się, że polska kobieta jest zbyt niezależna. Zbyt wymagająca. Za bardzo świadoma swojej wartości, by konkurować z kimś, kto nie zadaje tylu pytań, ale wie, czego chce. Wszystkie poradniki, podcasty, kursy samorozwoju można sobie wsadzić, bo weszła piękność ze wschodu z dwiema walizkami i jednym planem: zostać tu na zawsze. Zająć miejsce przy stole.

Mężczyźni nie muszą się już starać. Mają wybór. I wybierają... inaczej. Psycholodzy i terapeuci mówią o nowym zjawisku: „ukrytej bezwartościowości" u młodych Polek: poczuciu, że przestały być atrakcyjne we własnym kraju. W 2023 r. TikTok i Instagram zalały filmiki Ukrainek o życiu w Polsce. Wśród najczęstszych: tagów: #nowystart, #polishhusband, #girlfromukraine.

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

A może tak jest lepiej?

W tym miejscu musimy postawić pytanie zasadnicze: czy to, czego doświadczamy, jest po prostu skutkiem ubocznym wojny? Niezaplanowaną falą migracyjną, która rozlała się po Europie jak mleko z przewróconego dzbana historii? Czy może przeciwnie – to geopolityka? Czy nie było – nazwijmy rzeczy po imieniu – zmowy?

Zmowy między władzami obu krajów na wschodzie z dalekosiężnymi interesami wyliczonymi na kilkadziesiąt lat do przodu. Zmowy przeciw otwartym społeczeństwom, które o nic nie pytają, tylko przyjmują wszystko, zakładając, że to dobro. Bo przecież trudno zaprzeczyć, że Europa ma problem demograficzny. Że Polska ma problem z dzietnością. I oto nagle pojawiło się rozwiązanie. Deus ex machina.

Ale żeby było jasne: my nie jesteśmy przeciwni. Nie wzdragamy się przed różnorodnością. W gruncie rzeczy – przy naszej lewicowej wrażliwości kulturowej, kosmopolitycznym nastawieniu i obywatelskiej otwartości – następne pokolenia Polaków mogłyby być Indianami albo Hindusami. I nie zrobiłoby nam to różnicy. Nie w tym rzecz.

Rzecz w tym, że jako dziennikarze, którzy patrzą na rzeczywistość ostrym okiem i bez wazeliny, musimy to zjawisko zauważać. Bo nie pracujemy w „Wysokich Obcasach". Nie jesteśmy redakcją od pocieszeń.

Nowy wspaniały świat? A może… tak trzeba? I może właśnie tak powinny wyglądać wojny przyszłości. Niech to nie będzie walka luf, tylko łóżek. Niech zamiast czołgów wjeżdżają autokary z walizkami, szminką i planem asymilacji. Niech armie składają się z kobiet. I niech podboje dokonują się przez związki, a nie przez zgliszcza. To by dopiero był pokój zbrojny. Nowy wspaniały świat. I kto wie – może właśnie z tego powodu nie warto się buntować, tylko… notować.

ROBERT JARUGA

Incel zmienia poglądy

Kiedy „wartości" przeszkadzają w życiu

ko. Ponieważ są do szpiku kości przesiąknięci wpajanym im od dzieciństwa patriarchatem, więc hołdują tak zwanym tradycyjnym wartościom. A kto jest głównym rozsadnikiem tych wartości? Tak, zgadliście! Prawaccy populiści. Stąd incel to w polskich warunkach naturalny odbiorca haseł głoszonych przez Konfederację i PiS. Tyle że te „wartości" komplikują mu życie.

Przybywające do Polski Ukrainki w sporej części mają plan, by zapuścić tu korzenie. Nie wymagają wiele, za to są w stanie dać dużo. Dużo tego, czego sporej części Polaków nie dadzą już Polki. I zupy, i... ten tego...

Pragnąca zakorzenić się w Polsce Ukrainka to – wydawałoby się – idealna kandydatka dla polskiego incela. Weźmie go z całym zestawem przywar, takiego jaki jest, aby tylko miał pracę z względnymi zarobkami i miał się gdzie podziać – nawet jeśli oznaczałoby to mieszkanie na 50 mkw. z teściami i późniejszym przychówkiem. Bo wiele z tych dziewczyn na Ukrainie ma jeszcze gorzej i nie ma żadnych perspektyw, że po wojnie cokolwiek w ich ojczyźnie zmieni się na lepsze.

Sytuacja idealna: ona ma to, czego chce, on – też. Każda ze stron osiąga swoje cele, choć każda za to w jakiś sposób musi zapłacić.

Byłoby to idealne rozwiązanie dla narastającego problemu polskiego incelstwa i mogłoby się ono przyczynić przynajmniej do ograniczenia zjawiska. Ale jest pewien szkopuł. Nasi incele – jak już wcześniej powiedzieliśmy, naturalni odbiorcy retoryki prawactwa – wraz z odpowiadającymi im z tytułu incelstwa hasłami kupują także te pozostałe głoszone przez różnych Mencenów, Kaczyńskich i chłopaków od Ziobry. A więc także takie, które dotyczą zagadnienia uchodźców w Polsce.

Ukrainki to co prawda nie ciapaci Somalijczycy czy Syryjczycy na północno-wschodniej granicy Najjaśniejszej, ale jednak uchodźczynie. Imigrantki. Może nie będą gwałcić i mordować, ale mogą roznosić...

No i jak tu z taką iść do łóżka? Nie mówiąc już o wpuszczaniu jej pod dach własny i wspólnym pożyciu na dobre i na złe.

Co ma zatem zrobić polski incel? Wyznając komplet prawych wartości, skazać się na wieki na własną rękę, narastającą frustrację i pretensje do całego świata? Czy może odpuścić nieco antyimigranckie pieprzenie prawicy, uznać, że napływ świeżej krwi jest nam potrzebny i wzbogacić genom swego potomstwa o elementy trójzębne? A zyskać za to oddaną i robotną żonę, która równie łatwo da zupę, jak i to, co się z zupą rymuje, po czym wyda na świat całą sotnię biało-czerwono-żółto-niebieskich bachorząt?

I nawet jeśli incele powszechnie i ochotnie decydowaliby się na tę drugą opcję, to pozostaje do rozstrzygnięcia jeszcze jedna sprawa. Mianowicie: już teraz wśród Ukrainek zasilających polską populację jest część takich, które w niczym nie ustępują coraz bardziej wymagającym polskim dziewczynom. Na razie nie jest ich dużo, ale można się spodziewać, że będzie ich przybywać. To zaś oznacza, że okienko czasowe dla polskich inceli nie jest zbyt szeroko otwarte. Bo szybko może się okazać, że nie chcą ich już nie tylko polskie wymagające damy i feministki, ale także zwykłe ukraińskie dziewczyny.

Więc, drodzy panowie incele, w zasadzie nie macie innego wyjścia, jak tylko zmienić poglądy. Pewnie wszystkie, ale przede wszystkim te, które każą wam myśleć, że to nie toksyczna męskość, a wyemancypowana kobiecość odpowiada za waszą sytuację. Jeżeli to nie nastąpi, to już naprawdę będziecie skazani na branie spraw, tych spraw, we własne ręce. A Ukrainki pojadą za kolejną granicę.

EDYTA BAKER

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 97f5af6175

Z dziejów polskiego parlamentaryzmu

Jak umyłem zęby gościom kremlowskiego jastrzębia i wypełniłem zalecenie profesora Tadeusza Iwińskiego

21 stycznia 2002 r. stanęliśmy w Strasburgu przed obliczem posła profesora Tadeusza Iwińskiego. Przewodniczącego delegacji polskiego parlamentu do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

My, debiutanci w radzie, parlamentarne koty z SLD i Unii Pracy.

Rada Europy zajmuje się ochroną praw ludzkich zebranych w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Mniejszości narodowych, etnicznych, religijnych, kulturalnych, seksualnych. Praw emigrantów, uchodźców, azylantów. Działa też na rzecz ochrony praw socjalnych, zdrowia, środowiska, kultury wszystkich obywateli. Pod jej auspicjami zawarto kilkaset umów międzynarodowych regulujących ochronę praw człowieka oraz wzmacniających jedność i tożsamość europejską.

Rada Europy składa się z reprezentacji parlamentów 47 europejskich państw oraz obserwatorów z USA, Kanady, Meksyku, Japonii, Izraela, Watykanu i Maroka. Zbiera się cztery razy w roku na sesjach w Strasburgu. Delegowani tam parlamentarzyści pracują w komisjach parlamentarnych.

Ich stałe posiedzenia odbywają się zwykle w Paryżu. Dodatkowe posiedzenia wyjazdowe komisji mogą odbyć się w każdym ze stowarzyszonych krajów.

Grand koło Pierestrojki

W latach 2002–2007 pracowałem w trzech komisjach. Jedna zajmowała się migracjami, demografią i uchodźcami, druga kulturą, edukacją i sportem, trzecia zaś równym statusem kobiet i mężczyzn. W tej ostatniej byłem wiceprzewodniczącym podkomisji ds. równego statusu zawodowego.

Wtedy, w styczniu, profesor Iwiński powiódł swym przenikliwym wzrokiem po naszych nieskalanych pracą w radzie twarzach. I przemówił – wyjaśniając, jak musimy sobie tu na naszą markę zapracować. Aktywność, aktywność i jeszcze raz aktywność – pouczał nas jak stary belfer. A na koniec postawił fundamentalne zdanie.

– Pamiętajcie! Tu w Radzie Europy będziecie codziennie spotykać byłych i aktualnych prezydentów, premierów, przewodniczących parlamentów. Będziecie potykać się o byłych i aktualnych ministrów i wiceministrów, przewodniczących partii i komisji parlamentarnych.

Wielu z nich znacie już z mediów. Niektórych poznacie osobiście, jeśli ich wam przedstawię, albo swą pracą zwrócicie ich uwagę. Ale pamiętajcie, że tutaj nie sztuką jest umieć rozpoznać liderów europejskiej elity politycznej. Prawdziwą satysfakcję z pracy osiągniecie dopiero wtedy, kiedy wejdziecie do Pałacu Europy, siedziby rady, i to wy będziecie powszechnie rozpoznawani przez parlamentarzystów z innych państw…

Te słowa przewodniczącego profesora Iwińskiego zapamiętałem na zawsze. Stały się dla mnie drogowskazem pracy w tej radzie.

W tamtych czasach delegacja polska mieszkała w Strasburgu w Le Grand Hôtel Naprzeciwko dworca kolejowego, obok ulicy Marysi Kus, zagłębia arabskich knajp. Z rewelacyjnym i tanim marokańskim żarciem. Oraz pobliskim pubem Pieriestrojka w radzieckim stylu. Ze stoliczną i sybirską.

Dodatkową zaletą hotelu był sąsiadujący z nim przystanek dla autobusu. Ten dowoził nas na posiedzenia do Pałacu Europy. Bezpłatnie. Co miało fundamentalne znaczenie, bo nie byliśmy rosyjską delegacją, dysponującą samochodowym haremem.

W Strasburgu mogłem przekonać się, że Rosja nie oszczędza na swej dyplomacji. Jej strasburska misja miała powierzchnię sporego pałacu. Wzbudzał podziw wyglądem i położeniem. Niedaleko stamtąd było do Pałacu Europy i centrum administracyjnego miasta.

W Radzie Europy roboczymi językami są francuski i angielski. W tych językach są wszystkie dokumenty i zazwyczaj przemawiają delegaci podczas plenarnych wystąpień.

Jeśli nie znasz jednego z nich, możesz skorzystać z symultanicznych tłumaczeń. Także podczas komisji w słuchawkach dostępne są tłumaczenia na niemiecki, hiszpański i rosyjski. Koszty ponoszą podatnicy tych państw. Dlatego czasem delegaci przemawiają również w tych oficjalnie nieroboczych językach.

Czasem korzystałem z rosyjskiego tłumaczenia z hiszpańskiego, czy niemieckiego, bo rosyjscy tłumacze zwykle byli lepsi od anglojęzycznych. Zauważyłem, że z ich usług często korzystali delegaci byłych republik radzieckich. Parlamentarzyści z Rosji rzadko zakładali słuchawki, zwykle władali kilkoma językami. Mieli też do swojej dyspozycji po kilku asystentów, którzy stale monitorowali obrady, przygotowywali im dokumentację. No i mieli wspomniane już służbowe samochody, czego zazdrościły im wszystkie inne delegacje.

Burdel marszałka Małachowskiego

Naszej delegacji wystarczał skromny, acz gustowny budyneczek polskiej misji. Przywilej dowozu na lotnisko konsularnym busikiem. Dwuosobowy, lecz profesjonalny sekretariat. I dodatkowy bonus: bezpłatny bus z przyhotelowym przystankiem.

Z jazdy busem szybko zrezygnowałem pod wpływem marszałka Aleksandra Małachowskiego. Człowieka niezwykłego. Szlacheckiego pochodzenia działacza lewicowego. Więźnia stalinowskiego łagru, działacza opozycji w czasach PRL, internowanego w stanie wojennym. Posła i wicemarszałka sejmu w III RP. Przewodniczącego Unii Pracy. Czcigodnego brata wolnomularza. Pisarza i publicysty. Współautora niezapomnianych programów dla seniorów „Telewizja nocą" i „Rozmowy o cierpieniu".

Dostojny, postawny, siwobrody, energiczny osiemdziesięcioletni marszałek Małachowski był seniorem polskiej delegacji.

Styczniowego poranka Marszałek Małachowski skrzywił się lekko, widząc mnie na przystanku, oczekującego busika. Szkoda czasu, podszedł i poderwał do wspólnego marszu. Ledwo za nim nadążałem.

Marszałek miał opracowaną trasę szybkiego dojścia do Pałacu Rady Europy. Po 23 minutach byliśmy na miejscu. Kiedy sam robiłem tę trasę, osiągałem czas 25–28 minut. Bus dojeżdżał na miejsce w pół godziny, jeśli nie trafił w poranny korek.

Podczas pierwszego marszobiegu marszałek Małachowski opowiedział o historii wielu mijanych budowli. Co chwila żałował, że nie możemy wejść do kościoła Świętego Tomasza, bo nie było nam po drodze. Ale zobowiązał mnie do tego słowami: – Piotrze, musisz koniecznie, koniecznie pójść i zobaczyć znajdujący się tam nagrobek: monumentalne, wykute z białego marmuru mauzoleum zwane „Maurycy Saski wstępuje do grobu". Pamiętaj, że ten wielki marszałek Francji, wybitny wojskowy, był bastardem naszego króla Augusta II Mocnego. Dlatego na ołtarzu zobaczysz rzadkie tu polonium: wyrzeźbiony Order Orła Białego, który ten słynny żołnierz szczególnie sobie cenił. Order, jak całe mauzoleum, wyrzeźbił słynny francuski rzeźbiarz Jean-Baptiste Bourdelle.

Zapamiętaj: Żan Baptist Burdel!

Zapamiętałem. I przypominałem sobie przy każdym wyjściu na miasto. Marszałek Maurycy. Biały marmur. Order Orła Białego. Burdel. Burdel i Orzeł Biały. Orzeł i Burdel. Wszystko w Świętym Tomaszu.

Kościół Świętego Tomasza jest protestancki. I jak wiele innych w Strasburgu otwartym rzadko. Trudno mi było szybko wypełnić zalecenie marszałka Aleksandra.

Chadzałem do Świętego Tomasza jak do kolektury lotto. Kiedy wreszcie udało mi się trafić na otwarte wrota, oniemiałem z wrażenia. Wnętrze kościoła, choć surowe, warte było wejścia. A ołtarz-mauzoleum rzeczywiście mistrzowski.

Marszałek Herman Maurycy Saski stoi pośrodku, pomiędzy opłakującymi go lwami i żałobnikami. Order Orła Białego jest poniżej, nie od razu rzuca się w oczy. Potem, raz jeszcze wpatrując się w to barokowe cudo, doczytałem, że autorem dzieła nie jest Jean-Baptiste Bourdelle, tylko Jean-Baptiste Pigalle.

W Strasburgu nie ma tak charakterystycznego placu jak paryski Pigalle. Choć są tam miejsca, gdzie parlamentarzyści mogą spotkać płatne panienki. Polskiej delegacji niedostępne, bo niemieszczące się w niskich dietach.

Noworoczna kartka z rosyjską rakietą

Wiosną 2003 r. obserwowałem, jak w woroneskim hotelu ochroniarze wyłapują i ładują do podstawionych autobusów pracujące tam panienki.

Aby nie przynosiły wstydu Rosji i nie zgorszyły nadjeżdżającej właśnie delegacji Komisji Demografii, Migracji i Uchodźców ZG Rady Europy. Przybyłej tam na zaproszenie miejscowego posła Dmitrija Olegowicza Rogozina.

Dimę Rogozina poznałem w Strasburgu. Był kolegą z tejże komisji. Nie był takim bratem łatą jak Lonia Słucki, ale opinię równego gościa miał. Nie spodziewałem się, że Dima zostanie wiceprzewodniczącym Dumy, bliskim współpracownikiem prezydenta Putina. Ambasadorem Rosji przy NATO, wicepremierem Federacji Rosyjskiej, dyrektorem generalnym Roskosmosu.

Wtedy nie miał gęby moskiewskiego „jastrzębia". Przeciwnie, praca w tej komisji wymagała empatycznego charakteru. Nie tryskał sołdackim humorem, z jakiego później zasłynął – na przykład wtedy, kiedy jako ambasador Rosji przy NATO nazwał ministra Radka Sikorskiego „politycznym karłem", co wzburzyło tam obecnych. Choć pod takim określeniem zapewne prezes Jarosław Kaczyński też by się podpisał.

Potem noworoczne życzenia przesłane dla Kwatery Głównej NATO zilustrował Dima zdjęciem rosyjskiej rakiety balistycznej. Kwaterze nie było do śmiechu. A ukraińskiego ministra spraw zagranicznych Wołodymyra Ohryzko zrugał podczas szczytu NATO soczystym matem.

Rogozin, absolwent dziennikarstwa, ekonomii i filozofii na moskiewskim uniwersytecie, z zapałem studiował historię słowiańskiej Europy. Kiedyś dokopał się w genealogiach, że wielkiego mistrza krzyżackiego Ulricha von Jungingena pod Grunwaldem zabił jego przodek, walczący w osławionych dzielnością pułkach smoleńskich.

W 2003 r. kolega Rogozin zaprosił Komisję Demografii, Migracji i Uchodźców do swego woroneskiego okręgu wyborczego. Na posiedzenie wyjazdowe.

O wyższości świni nad człowiekiem

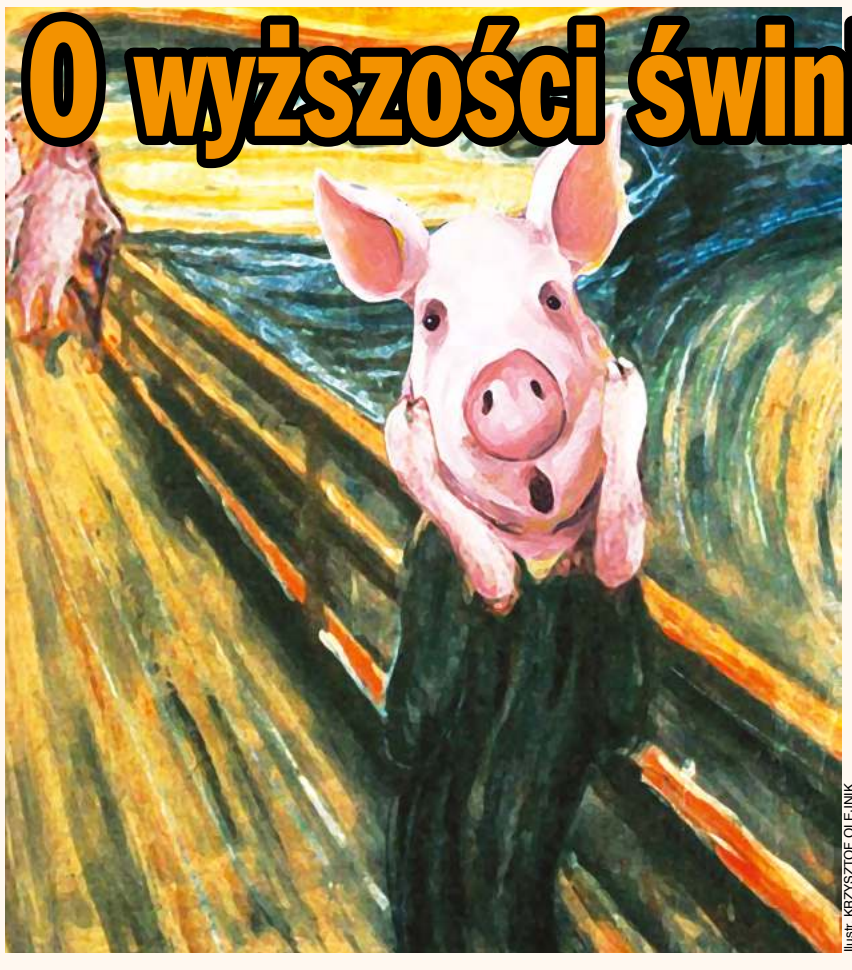

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rozważania nad grillem

Specjalnie dla znudzonych grillujących (długi weekend!) – seria przykrych wyjaśnień spraw, co do których żywiliście głębokie przekonania. Gwarantuję rozczarowanie.

A przy okazji, serdecznych pozdrowień NIE ślę mojemu nieczytelnikowi, panu G. Kopczynskiemu, znanemu też jako Chris Kopy z yahoo.de. Widzi pan, zapamiętałem.

Zatem zamierzam znokautować humanizm, dać kopniaka w krocze człowieczeństwu i prztyczka w nos cywilizacji.

Patrzysz na grill. Kiełbasa się skwierczy, kaszanka paruje, tłuszcz ścieka na rozżarzone węgielki. I nie wiesz, że to, co właśnie przypalasz – jeszcze niedawno było szczęśliwsze niż ty. Nie tylko dlatego, że świnia nie miała planu na życie. Nie tylko dlatego, że nie pisała doktoratu i nie znała Rilkego, i nie rozróżniała wina wytrawnego od półsłodkiego. Ale dlatego, że jej mózg działał tak, jak powinien działać mózg. Czyli: zgodnie z rzeczywistością.

Szczycimy się, że jesteśmy koroną stworzenia. Że mamy największe mózgi w znanym wszechświecie. Statystycznie – nasz jest około siedmiu razy większy niż mózg świni. Ale czy to naprawdę powód do dumy? A może właśnie w tym leży problem? Czy nie jest to wybryk natury – ba, choroba podobna do nadwagi albo wodogłowia czy przerostu innych narządów?

Mózg człowieka to dziwny przypadek. Tworzy systemy, idee, religie, wojny, depresje, sztuczne granice, piramidy finansowe i wielkie narracje. Produkuje język, który tworzy iluzję sensu i pozwala mówić rzeczy, które nie istnieją. To nie organ – to maszyna do halucynacji.

Świnia tych problemów nie ma. Jej mózg to organ użytkowy. Służy do życia, nie do filozofii. Nie zna idei „prawdy", nie roztrząsa kwestii „bycia sobą", nie przechodzi kryzysu tożsamości. Nie musi – bo jest dokładnie tym, czym jest. Rejestruje świat taki, jakim on jest i tylko w takim stopniu, jaki jest, naprawdę potrzebny. Kontroluje świński organizm na najniższych praktycznych poziomach.

Natomiast nasze umysły: trawienie, bicie serca, równowaga hormonalna, naprawa tkanek, reakcje odpornościowe? 90 proc. funkcji życiowych odbywa się poza naszą świadomością. Nie wiemy, jak działają. Nie kierujemy nimi. Nie jesteśmy zarządcami ciała. Jesteśmy lokatorami, kierowcami samochodu, w którym co najwyżej wciskamy gaz, a o ruchach tłoków w cylindrach mamy w większości nikłe pojęcie.

Co nas zajmuje? Gadanie. Bez ustanku gadamy – głównie z samymi sobą. I właśnie przez to straciliśmy nie tylko kontakt ze sobą, ale i z rzeczywistością. To, co dzieje się w naszych głowach, nie służy już opisywaniu świata – ono go zastępuje. Zamiast widzieć – nazywamy. Zamiast wąchać – mówimy, że czujemy. Nie działamy – komentujemy, że coś powinno się wydarzyć.

Język, który kompletnie zdominował nasze umysły, to fałszywe narzędzie, kie-

eprasa.pl 97f5af6175

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wylecieliśmy wspólnie z Moskwy. W samolocie, dzięki inicjatywie profesora Iwińskiego, przeszliśmy z Dmitrijem Olegowiczem na ty. Poznałem też Tanię Gienadiewną, żonę Dimy. Kiedyś profesor Iwiński wykładał nam, że są politycy, którzy nie zrobią kariery bez dopalaczy. Bez inteligentnych i pięknych żon. Patrząc na błyskotliwą Tanię, dostrzegłem w niej Hillary Clinton.

Posiedzenie komisji zaczęliśmy w Woroneżu. Koniec zaplanowano w Borisoglebsku.

Zniszczony walkami w 1943 r. Woroneż zachwycał parlamentarzystów z zachodniej Europy socrealistyczną architekturą. I wigorem rosyjskiej metropolii. O tworzącym tu na wygnaniu w latach 30. XX w. Osipie Mandelsztamie, wybitnym rosyjskim poecie, nikt, poza nami, nie wspominał. Czemu wy o nim mówicie – dziwili się niektórzy. Bo to nasz ziomek z Warszawy, odpowiadaliśmy.

Za Woroneżem rozlokowano obozy dla rosyjskich uchodźców z byłych środkowoazjatyckich republik radzieckich. Musieli wyjechać, bo nowe władze niepodległych już państw postawiły na nowe, narodowe elity. Ludzie rosyjskiego pochodzenia stali się nagle pariasami. Niektórym grożono śmiercią. Wszyscy stracili nadzieję na dobrą tam przyszłość.

W Rosji trafili do prowizorycznych obozów. Zamieszkali w blaszanych barakach. Nie mieli gdzie się podziać, bo ich rodziny żyły w Azji Środkowej od XIX w. Krewnych, bliskich w Rosji już nie mieli. Majątki pozostawili w Ałma Acie, Taszkiencie, Frunze.

Władze rosyjskie z trudem radziły sobie z nieznanym im problemem.

Wyczułem, że gospodarze wstydzą się tych obozów i swych uchodźców, bo to dowodzi słabości rosyjskiego imperium. Zauważyłem wtedy, że rodzi się w Rosji chęć odwetu. Za zdegradowanie jej do statusu drugorzędnego państwa. Za traktowanie Rosjan jak ludzi drugiej kategorii.

Wtedy też usłyszałem podczas rozmów z Rogozinem pierwsze nacjonalistyczne tony. Nie pozwolimy na dalsze poniżanie naszego narodu. Żaden Rosjanin żyjący za granicami nie może się bać. Musi czuć, jak każdy Amerykanin, że stoi za nim wielka Rosja.

Opowiadałem o tych wrażeniach po powrocie polskim parlamentarzystom i publicystom. Uznano, że przesadzam, bo Rosję postrzegano wtedy jak zdechłego psa. Nie wartego większej uwagi. A wsłuchiwanie się w głosy dobiegające z rosyjskiej prowincji traktowano jako filorosyjskie zboczenie.

Legendarna rewolucjonistka i niebiańska miłość

Wtedy nacjonalizm Rogozina nie budził sprzeciwu zachodnioeuropejskich parlamentarzystów. Lewicowe, feministyczne parlamentarzystki zniesmaczały za to liczne postoje komisyjnego autokaru i bizantyjskie hołdy składane koledze Rogozinowi przez okoliczną ludność.

Podczas takich „spontanicznych" postojów dowiadywaliśmy się, ileż to przedszkoli, szkół, szpitali nawet powstało za wstawiennictwem gosudara Dmitryja Olegowicza.

Nie jesteśmy komitetem wyborczym kolegi Rogozina – zgrzytały wtedy lewicowe posłanki okupujące koniec naszego autokaru i groziły zerwaniem posiedzenia komisji.

Aby uspokoić te rewolucyjne nastroje, obiecałem pokazać im kultowe miejsce wschodnioeuropejskich rewolucjonistów. Peron numer jeden dworca kolejowego w Borisoglebsku.

Na nim 16 stycznia 1906 r. moja ulubiona rosyjska rewolucjonistka Maria Spiridonowa, wtedy dziewiętnastoletnia panna ze szlacheckiej rodziny, zastrzeliła Gawriła Łużenowskiego – kata zbuntowanych chłopów z tambowskiej guberni. Za to w więzieniu i na zesłaniu spędziła jedenaście lat. Uwolniona po rewolucji lutowej 1917 r. stała się liderką Partii Socjalistów-Rewolucjonistów.

Szóstego lipca 1918 r. wraz z towarzyszami eserowcami zbuntowała się przeciwko rządom bolszewików. Wcześniej amerykański dziennikarz John Reed w słynnej książce „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem" napisał o niej: „To najbardziej popularna i wpływowa kobieta Rosji".

Uwięziona przez czekistów Dzierżyńskiego umilała sobie pobyt w celi śpiewaniem „Warszawianki". Potem znowu doświadczyła wywózki, więzień, aż NKWD rozstrzelało ją na rozkaz Berii w 1941 r.

Męską część komisji uraczyłem historią o niebiańskich stosunkach niemiecko-radzieckich. Miasto Borisoglebsk przed II wojną światową – jak i teraz – słynie ze szkoły lotniczej. I strategicznego lotniska, ale to teraz tajemnica wojskowa. W czasie II wojny światowej front doszedł do Woroneża. Wszędzie operowało niemieckie lotnictwo. Ale na Borisoglebsk nie spadła ani jedna niemiecka bomba.

Legenda głosi, że w latach 30. w tamtejszej szkole lotniczej uczyła się późniejsza kadra dowódcza Luftwaffe. Potem jej absolwenci do Niemiec zabrali zdobyte kwalifikacje, ale zostawili tam swoje rosyjskie ukochane. Aby krzywda im się nie stała, bomb w czasie wojny na Borisoglebsk nie zrzucali.

Dzięki temu ocalały kultowy peron i przecudne okoliczne monastyry.

Ot, siła niebiańskiej miłości!

Woroneż–Moskwa jak Moskwa–Pietuszki

Zawsze atrakcją wyjazdowych posiedzeń komisji były bankiety pożegnalne. Nasi rosyjscy gospodarze też potraktowali delegatów niezwykle wylewnie.

Wydali na naszą część wypasioną kolację prezentującą wszystkie smaki regionalnej rosyjskiej kuchni. Rzecz jasna zakrapianą rosyjską wódką.

Potem Rogozin odleciał do Moskwy, Iwiński do Czeczenii albo Buriacji, a resztę komisjantów wsadzono do sypialnych wagonów nocnego pociągu do Moskwy.

Rozochoceni kolacją parlamentarzyści, zwłaszcza królujący na bankietach Włosi, Hiszpanie i Grecy, przypomnieli sobie, że mają liczne niewydane ruble. Ruszyli ławą do restauracyjnego. Bar wzięto.

Rozpoczęła się radosna orgia gastronomiczna. Obserwowałem ją, co chwila strofowany, czemu nie piję tak szybko i wszystkiego naraz jak oni?

Tylko gdzieś łażę i łażę. Przecież Polakiem jestem.

Kiedy osuszyli wagon restauracyjny z ostatnich zapasów wódki, wina i wszelkich płynów popitkowych, kiedy wysączyli wódeczkę z osobistych zapasów kierowniczek wagonów sypialnych, stało się to, co przewidywałem.

Szacowna Komisja Rady Europy padła jak armia Paulusa pod Stalingradem.

Silni i przezorni zdążyli dojść do swych przedziałów, by z honorem lec na swych leżankach. Mniej przezornych zbierałem z koleżeńską pomocą z korytarzy, z WC i przeróżnych przedziałów. W końcu każdy trafił na swoje miejsce.

Ranek był okrutny. Kiedy potwornie skacowani komisjanci już wstali i ze zdumieniem zauważyli coś, co dla Polaka było oczywiste i przewidywalne.

Powszechny brak wody w wagonowych umywalkach i w WC.

Wagon restauracyjny zamknięty na trzy spusty, bo załoga odsypiała noc pracującą.

Kiedy przerażeni zrozumieli, że nie mają czym umyć zębów!!!

I kiedy zbiorowa depresja już zawisła nad delegacją Rady Europy, na pomoc jej ruszył polski hufiec.

Zapraszałem koleżeństwo do polskiego przedziału. Najpierw kobiety, potem faceci. W przedziale czekały torby z butelkami. Przezornie wcześniej zakupione w restauracyjnym.

Panie dostały mineralną, aby umyć zęby i twarz. Panowie umyli zęby piwem, bo dla nich mineralnej mogło nie starczyć. A piwem też dobrze zęby się myje.

Tak pięknie umytych, ale nadal potwornie skacowanych, klinowałem czujnie zachowaną na rano wódką. Tłumacząc, że to najlepszy sposób na szybkie pozbycie się kaca.

Najbardziej odważni zakąszali kiełbasą. Z Polski przywiezioną, bo nasza kiełbasa najlepsza na świecie jest.

Tak to doprowadziliśmy do pionu poważną komisję.

I szczęśliwie dojechaliśmy do Moskwy.

W czasie następnego plenarnego posiedzenia zgromadzenia, zaraz po wejściu do Pałacu Europy, powitały mnie liczne, niezwykle radosne, wręcz wylewne pozdrowienia. Koleżanek i kolegów z woroneskiego posiedzenia komisji. A także ich licznych koleżanek i kolegów.

Potem już podczas posiedzeń plenarnych, posiedzeń komisji, wspólnych wyjazdów ani przez chwilę nie czułem się nieznany, niedostrzegany, niedowartościowany.

Zyskałem bowiem powielaną wielokrotnie opinię posła Polaka, który znakomicie zna i rozumie, tak od podszewki, rosyjską kulturę, zwyczaje, historię i scenę polityczną.

Eksperta, który nie tylko rozumie, co się w tej Rosji dzieje, ale też potrafi przewidzieć, co może wydarzyć się jutro.

Zyskałem tak – mówiąc dzisiejszym językiem – powszechną rozpoznawalność, akceptację i uznanie dla mych kompetencji.

I tak wypełniłem zalecenie dane mi przez posła profesora przewodniczącego Tadeusza Iwińskiego.

PIOTR GADZINOWSKI

rujące się własnymi regułami: gramatyką, logiką i tą… tfu, ortografią. Opiera się na kategoriach: podmiot–orzeczenie, prawda–fałsz, tak–nie. Zdania muszą być spójne, niesprzeczne.

Opisując rzeczywistość, filtrujemy ją przez system reguł języka zbudowanego na logice, skąd mylne założenie, że świat jest logiczny. Bzdura! Rzeczywistość nie musi być jednoznaczna, niesprzeczna, zrozumiała i – co gorsza – nie musi być i nie jest wyrażalna w języku.

Rzeczywistość nie jest obiektywnym odkryciem, lecz projekcją języka. Świat nie funkcjonuje jak twierdzenie logiczne. Logika to barbarzyńskie narzędzie upraszczania, a nie odzwierciedlania rzeczywistości.

Świat może działać zupełnie inaczej: być i nie być jednocześnie, wynikać bez wyraźnej, a nawet jakiejkolwiek przyczyny, istnieć poza czasem, mieć wiele sprzecznych opisów. My, niewolnicy języka, narzucamy światu logikę, by zachować zdrowie psychiczne. Strategia racjonalna, ale fałszywa.

Bardziej prawdopodobne, że świat jest absurdalny jak sen dziecka, a my, gadające małpy, uparcie wmawiamy sobie jego spójność. Odrzucanie absurdu jako reguły świata w poszukiwaniu sensu, przypomina pijanego szukającego kluczy pod latarnią – nie tam, gdzie je zgubił, ale tam, gdzie jest jasno. Sens to latarnia. Absurd to ciemność, w której dzieje się prawdziwe życie.

Najlepszy przykład: ziemia jest płaska czy kulista? Ziemia nie ma jednej geometrii. Jej „kształt" zależy od tego, jak ją mierzysz, z jakiego poziomu i w jakim celu. Płaska i kulista to nie „prawda lub fałsz", tylko różne punkty widzenia – oba potrzebne i oba prawdziwe w swoim kontekście.

Logika i sens nie przewidują takich kompromisów. Absurd – owszem. Jesteśmy niewolnikami milionów kłamstw, jak choćby te: „czas płynie", „złamał serce", „czuję ciężar decyzji". Czas nie płynie, serce się nie łamie, a decyzje ważą mniej niż kromka chleba.

Wrócmy zatem do prawdziwych królowych rzeczywistości – świń. Nie mają problemu z „początkiem" i „końcem", nie kontemplują „nieskończoności", nie próbują ogarnąć „zawsze" i nie potrzebują pojęcia „zero", żeby wiedzieć, że koryto świeci pustkami.

Świnki jedzą, śpią, kopulują, krzyczą, biegają, liżą, ryją, drapią się i odpoczywają. Rozpoznają dźwięki, zapachy, rytmy dnia i nocy. Wiedzą, kiedy jest dobrze, a kiedy źle – i nie muszą tego nazywać. Nie zadają pytań egzystencjalnych. Nie rozważają istnienia Boga, wartości życia ani społecznej akceptacji. Po prostu są – w pełnym, cielesnym, organicznym tu i teraz. Świnia niczego nie potrzebuje – poza wodą, błotem, żarciem i słońcem. To nie prymitywność, to zdrowie poznawcze. Świnia nie potrzebuje sensu życia, żeby być szczęśliwa.

Świnki nie zabijają dla idei. Nie mszczą się, nie walczą o zysk. Nie prowadzą wojen prewencyjnych ani gospodarczych. To nie one wymyśliły obozy koncentracyjne, nie zrzucały bomb na miasta, nie pisały ustaw rasowych i nie torturowały w imię postępu.

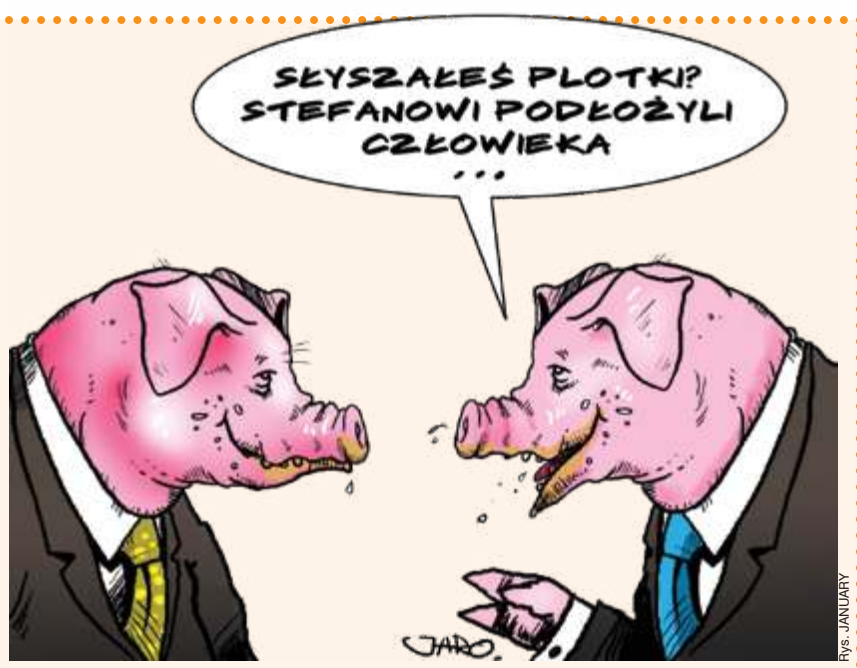

Rys. JANUARY

Rzeźnie, te ludzkie wynalazki optymalizujące masowe zabijanie, codziennie pochłaniają miliony świń. Taśma, ogłuszacz, nóż, hak, chłodnia – procedura bezosobowa i bezkrwawa dla ludzkiego oka. Nikt nie płacze, bo nikt nie widzi.

No i nie chodzi o różnicę w inteligencji, ale o moralność. Człowiek wymordował już miliardy świń. Świnie zabiły znikomą liczbę ludzi. Może czas przestać traktować świnię jak istotę niższą, a zacząć jak byt, który nigdy nie dopuścił się naszej zbrodni.

Smacznego. Ta kaszanka, którą z takim apetytem pałaszujesz, to rozdrobnione wnętrzności istoty, która w przeciwieństwie do ciebie nigdy nikogo nie skrzywdziła i była szczęśliwa.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 97f5af6175

Mała księżniczka

Dziewczę w cieniu Sławosza i Robercika…

Wieczór wyborczy kandydata, a potem, jak się miało okazać, prezydenta elekta Karola Nawrockiego, 1 czerwca, trzy godziny do północy. Bohater wydarzenia na estradzie w towarzystwie rodziny składającej się z żony, dwóch synów oraz z niej: siedmioletniej ślubnej córki Katarzyny.

„Ubrana w granatową sukienkę i uczesana w dwie kitki dziewczynka była wyraźnie pochłonięta zabawą zamiast atmosferą politycznego wydarzenia”*. Kasia „w żywiołowy sposób reagowała na to, co dzieje się wokół. Biła brawo, machała biało-czerwoną chorągiewką, uśmiechała się, rozglądała się po sali, od czasu do czasu pytając o coś mamę. Wyglądało, że pozuje do zdjęć, często składając dłonie w gest serca”. Tak to opisywali życzliwi publicyści.

A tak nieżyczliwi użytkownicy sieci: „Cóż wyrabia ta mała?”; „Rozwydrzony bachor”; „Pulpet”; „Nadwaga prowadząca do otyłości”; „Cierpi na nadczynność czy niedoczynność, niech to oceni endokrynolog”; „Dziecko ewidentnie nadpobudliwe”.

Internetowe razy spadły na Nawrockich ze strony anonimowego pedagoga-amatora: „O tej porze małe dzieci powinny być już w łóżku. Jeśli rodzice ryzykują zabranie dziecka na taką imprezę, niech wezmą za nie odpowiedzialność. Wyobrażacie sobie takie zachowanie dziecka w teatrze?”.

Jedna komentatorka wieczoru wyborczego przegięła. „Zesrała się?” – zapytała o zachowanie Kasi. Błyskawicznie została zidentyfikowana: to nauczycielka liceum z Bochni, prowadząca również gabinet logopedyczny.

Hejterka!

Rozległy się głosy wrażliwych obrońców dziecięcej niewinności. „Kreatura” czepia się „Bogu ducha winnego dziecka”, „kanalia” i „szmata do podłogi” zasługuje na ukaranie „stryczkiem w znaczeniu i symbolicznym, i realnym”,

bo „przekracza granice człowieczeństwa z powodów politycznych”. „Niech się wykażą bodnarowcy i zamkną zdzirę za mowę nienawiści”.

Nauczycielka zmieniła nazwę swojego profilu. Dyrekcja liceum wszczęła dochodzenie. Jolanta Kruk, dyrektorka szkoły, oświadczyła, że „treść wpisu jest sprzeczna z wartościami szkoły”, którymi są „szacunek i odpowiedzialność”. „Pani oświadczyła, że jej konto zostało zhakowane. Sprawa jest zgłoszona do odpowiednich służb (…). Czy naprawdę ona to zrobiła, ja tego nie wiem. Sytuacja jest dla nas bardzo trudna. Nauczycielka miała do tej pory nieposzlakowaną opinię, nigdy żadnej skargi, dobry pedagog, dobry nauczyciel” – dodała.

„Odpowiednie służby” reprezentował i reprezentuje rzecznik ministerstwa spraw wewnętrznych Jacek Dobrzyński. „Każdy hejt, na kogokolwiek, a tym bardziej na dziecko, jest niedopuszczalny. Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że policja podjęła w związku z tym należyte czynności” – powiedział.

Rys. TOMASZ WIATER

„Należyte czynności” wynikają z tego, że „policja działa na podstawie prawa lub z nakazu prokuratury”. Oczywiście „służby specjalne nie wchodzą w politykę”.

Z komunikatu Biura Rzecznika Praw Dziecka: „Nie zgadzamy się na hejt wobec córki Karola Nawrockiego – podejmiemy działania prawne”.

Co na to Nawroccy? Elekt: „Mam wspaniałą córkę. Bardzo ją kocham. Jest słodka, jest mądra, jest po prostu sobą. Taka sama była na scenie”. Oraz: „To jest dziecko, to się nie powinno zdarzyć. Ale zło zwyciężymy dobrem i te obrazki mojej córki z tym słodkim serduszkiem są chyba najlepszą odpowiedzią”.

Przyszła pierwsza dama: „Serce każdego rodzica bije dla swoich dzieci. To najpiękniejszy dar, jaki można otrzymać. Dziecięcy uśmiech, radość, beztroska powinny być wpisane w życie naszych najmłodszych pociech. Kochamy je najmocniej, jak tylko umiemy”. Podsumowanie w duchu zła zwyciężonego przez dobro: „Zatrzymajmy się na chwilę i pomyślmy, jak słowa mogą ranić. Każde dziecko zasługuje, by dorastać w świecie pełnym miłości i akceptacji. Zwracam się więc z prośbą do Państwa: chrońmy najmłodszych, pozwólmy im cieszyć się najpiękniejszymi momentami w ich życiu”.

Ale, ale… W rozmowie przeprowadzonej przez syna Daniela, opublikowanej na YouTubie, Marta Nawrocka zapowiedziała: „Będę walczyć o to, żeby te komentarze zniknęły z sieci”.

Media się ucieszyły: „Marta Nawrocka nie odpuści hejterom”.

Nawrockich wsparli ludzie publiczni. Oczywiści – jak Dominika Chorosińska, posłanka Prawa i Sprawiedliwości oraz ministra kultury w dwutygodniowym rządzie Morawieckiego – a także nieoczywiści, jak dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska.

Chorosińska: „To dziecko ma zaledwie kilka lat. Jest bezbronne i nie ma wpływu na to, kim są jej rodzice. A mimo to już dziś musi znosić ciężar cudzych oczekiwań, pogardy i internetowego hejtu. W świecie, w którym polityka przenika wszystko, trzeba postawić jasną granicę: dzieci są poza tym sporem”.

Dla podkreślenia tej granicy posłanka opublikowała zdjęcie dwóch Nawrockich płci żeńskiej i podpis: „Nasza pierwsza dama i pierwsza księżniczka RP”.

„W Polsce nie ma księżniczki, bo nie ma królestwa. Córka prezydenta nazywa się prezydentówna. Tak jak żona prezydenta nie jest królową, tylko prezydentową” – zauważył zupełnie nieromantycznie jakiś internauta, najpewniej republikanin.

Korwin-Piotrowska: „Nie ma mojej zgody na niszczenie tej dziewczynki. Jeżeli wycieracie sobie gęby feminizmem, tolerancją czy *body positivity*, to bądźcie teraz konsekwentni, to jest test na wasze charaktery. Wielu z was, pod nazwiskiem, mający dzieci, często z błyskawicą, flagą albo tęczą na profilowym, nie wstydzi się wyzywać to dziecko”.

Wyjaśniamy za Wikipedią, że *body positivity* to „ciałopozytywność, ruch społeczny, który promuje pozytywne nastawienie do swojego ciała, niezależnie od rozmiaru, kształtu, odcienia skóry, płci czy sprawności fizycznej. Jego celem jest akceptacja i pokochanie swojego ciała”.

Śpieszcie się kochać Kasię, dzieciate i tęczowe feministki z wytartymi gębami!

Do sprawy odniosła się Joanna Senyszyn. „To nie była nagonka na córkę. To była krytyka rodziców, którzy nie potrafili zapanować nad własnym dzieckiem” – powiedziała. „Dzieciom nie można pozwalać absolutnie na wszystko. Trzeba stawiać im granice. A jak widać, córka państwa Nawrockich tych granic po prostu nie ma. Trudno mówić o hejcie na dziecko, które jest krytykowane, bo dziecko w tym wieku nie powinno śledzić mediów społecznościowych ani czytać czegokolwiek o sobie. Jeśli rodzice dopuszczają do tego, że dziecko czyta takie rzeczy o sobie, to raczej trzeba skrytykować rodziców, a nie komentujących”.

Ach ty! „Bezdzietne stare babsko” nie ma prawa oceniać dziecka ani rodziców. Niech siedzi „pod kamieniem, spod którego wypełzła, i dostała w wyborach 1 proc. poparcia”. „To jest prawdziwa rodzina – rodzice i dzieci – a nie owdowiała emerytka, która może pouczać najwyżej siebie w swoich siedmiu mieszkaniach, a nie porządnych ludzi”. Najlepiej, żeby „znikła z polityki, internetu i w ogóle z masowej wyobraźni”.

Senyszyn to wyjątek, owcze medialne stado jest zgodne co do tego, że córka Nawrockiego powinna być poza jakąkolwiek krytyką. A jeśli ona, to i syn Antoni, też przecież małoletni. A może i Daniel oraz jego dziewczyna Magda, która także zresztą ma już nieletnią córkę? A prezydentowa? Jak się do niej czepiać, jeśli jak lwica broni dzieci?

Na szczęście wciąż jeszcze można pojeździć po Karolu Nawrockim jak po łysej kobyle. Za kawalerkę i służbowy apartament, za Batyra i dziwki. Za to, że w roli prezydenta pokaże nam, która połowa dnia jest dłuższa.

R.S.

* Wszystkie cytaty pochodzą z publikacji Polskiej Agencji Prasowej i mediów: „Gazeta Krakowska”, Interia, Onet, Plotek, Telewizja Republika, TVN 24, „Wprost”. Oraz z wpisów i komentarzy internetowych, w większości anonimowych.

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Rewolucja śmieciowa w Lublinie. Kto się nie myje, ten mniej płaci, bowiem wchodzi tam w życie nowy system naliczania opłat za odbiór śmieci. Z danych urzędu miasta wynika, że do systemu odpadowego zgłoszono 291 013 osób. Tymczasem według statystyk GUS Lublin zamieszkuje 328 300 mieszkańców. Rachunek jest prosty: ponad 37 tys. osób znika z systemu i nie płaci za odbiór śmieci. Władze postanowiły więc związać opłaty za odpady ze zużyciem wody. Prezydent Lublina i jego zaplecze polityczne przekonują, że system jest zgodny z prawem i sprawiedliwy. Inaczej widzą to radni Prawa i Sprawiedliwości, którzy pytają: co ma woda do śmiecenia? Na razie nowy system obejmie jedynie zabudowę wielorodzinną. Dlaczego? Bo – jak twierdzi ratusz – właściciele domów jednorodzinnych są „z zasady uczciwsi”. Ten argument także nie przekonuje opozycji.

▮ Policja w Strzegomiu interweniowała w jednym z bloków po zgłoszeniu, że po korytarzu biega mężczyzna zakłócający spokój sąsiadów. Zgłaszający twierdził, że może on mieć problemy psychiczne. Na miejscu funkcjonariusze zastali zdenerwowanego 37-latka. Zachowywał się irracjonalnie, więc wezwano pogotowie. W trakcie oczekiwania wariat próbował uciec. Policjanci go obezwładnili i założyli kajdanki. Chwilę później mężczyzna „zwariował do końca”. Jakby na złość policji stracił przytomność i przestał oddychać. Mimo reanimacji nie udało się go uratować. Nie żyje. Sprawą zajmuje się prokuratura i policyjne służby kontrolne. Zapewne chodzi o to, czy zdarzenie nie nosi znamion napaści na funkcjonariuszy.

▮ W Gostyniu na ul. Kolejowej 92-letni kierowca Opla potrącił 80-letnią kobietę na przejściu dla pieszych i odjechał. Nie z powodu szoku czy zasłabnięcia. Jak sam powiedział policji, śpieszył się na umówioną wizytę u lekarza. Uznał też, że nie musi zostawać, bo „nic jej się nie stało”, a ludzie już udzielali jej pomocy. 92-latek stracił prawo jazdy i stanie przed sądem – być może niesłusznie, bo rzeczywiście kobieta nie odniosła poważniejszych obrażeń.

▮ W malowniczych lasach gminy Szczytniki, niczym rycerze z dawnych czasów, zmierzały ku sobie dwie drużyny pseudokibiców. Uzbrojeni w rękawice, ochraniacze na szczęki i kominiarki w barwach klubowych, przygotowywali się do epickiej bitwy. Ich plany pokrzyżowała prozaiczna interwencja policji. Zaniepokojeni mieszkańcy, widząc kolumnę aut wjeżdżających w leśną gęstwinę, zaalarmowali stróżów prawa. Widok radiowozów spowodował panikę w szeregach wojowników. Rozpoczęła się ucieczka, porzucanie pojazdów. Wewnątrz aut policjanci znaleźli arsenał niezbędny do leśnej potyczki. Okazało się, że grupy kibiców szykowały się do konfrontacji w związku z meczem w Łodzi. Kaliska policja zapowiedziała stanowczą reakcję na podobne incydenty. O ile oczywiście prezydent RP w przypływie niespodziewanego zrozumienia dla młodzieńczego zapału nie wyrazi innego zdania. Nadchodzi bowiem era masowych pojedynków pseudokibiców pod patronatem głowy państwa.

▮ W Poznaniu zakazano targów, wystaw i pokazów z udziałem psów i kotów oraz wyprowadzania ich na spacery. Powód? Martwy nietoperz, u którego – według powiatowego lekarza weterynarii – stwierdzono wściekliznę. Centrum Zarządzania Kryzysowego postawiono w stan gotowości, bo, jak wiadomo, jeden chory nietoperz to tylko krok od globalnej pandemii. A że z Poznania do Paryża jedzie się ekspresem 11 godzin i 11 minut, historia z 2019 r. przypomina o sobie sama.

▮ Zachodniopomorscy radni, w przypływie entuzjazmu godnego lepszej sprawy, zgodzili się na utworzenie Parku Narodowego Doliny Dolnej Odry. Fanfary, werble, pierwszy nowy park od 24 lat! Minister klimatu Paulina Hennig-Kloska, z uśmiechem szerokim jak Międzyodrze, ogłasza rychłe powstanie parku jakby sama własnoręcznie te 4 tys. hektarów zalesiła. Prawda jest jednak bardziej prozaiczna. Na terenie Szczecina i okolicznych gmin od dawna istniał ten wyjątkowy obszar zamieszkany przez zwierzęta i rośliny. Teraz po prostu nazwano go parkiem narodowym. Czy coś się zmieniło? Nie. Czy przyroda na tym zyska? Wątpię. Czy minister Hennig-Kloska zyskała kolejny punkt w CV? Z pewnością. Ot, cała historia. Mamy więc w Polsce 23 lasy nazywane parkami narodowymi, zajmujące około 1 proc. powierzchni kraju. Czy to dużo? Oceńcie sami, bo ja mam już dość tej zielonej propagandy.

Rys. WIDGET

▮ Na Politechnice Wrocławskiej uruchomiono pierwszą w Polsce i regionie jednostkę obliczeniową „Odra 5” – system oparty na pięciu nadprzewodzących kubitach działający w ekstremalnym reżimie termicznym 10 mK. Sprzęt klasy IQM Spark, ważący 1,5 tony i osiągający 3 m wysokości, wyposażono w kriostat cylindryczny z zawieszeniem grawitacyjnie izolowanym. System umożliwia prowadzenie badań nad superpozycją, splątaniem i dekoherecją, stając się platformą eksperymentalną dla informatyki kwantowej. Rektor uczelni prof. Arkadiusz Wójs określił inaugurację jako „symboliczny początek ery nieklasycznej koherencji operacyjnej”. Planowane są nowe kierunki studiów w zakresie inżynierii algorytmów kwantowych. „Odra 5” wpisuje się w globalny trend derealizacji przetwarzania deterministycznego na rzecz obliczeń opartych o probabilistykę kubitową i topologiczną złożoność stanów. Prof. Andrzej Kucharski, dziekan Wydziału Informatyki i Telekomunikacji, zaznacza, że to „wspaniała rzecz”, bo „otwiera nowe możliwości badawcze”. Natomiast prof. Wojciech Bożejko, kierujący Katedrą Systemów Sterowania i Mechatroniki, wyjaśnia, że tego typu komputery są potrzebne tam, gdzie tradycyjne rozwiązania przestają wystarczać.

eprasa.pl 97f5af6175

Rys. TOMASZ WIATER

Skłóceni, podzieleni, bez praw i nadziei

Wielka smuta na tęczowo

Jak piękna mydlana bajka mieniąca się wszystkimi kolorami tęczy, pękają nadzieje polskich środowisk LGBT na poprawę ich prawnej i społecznej sytuacji. Prezent w postaci wyboru Karola Nawrockiego przyszedł w sam raz na początek Miesiąca Dumy LGBT i zdaje się być gwoździem do trumny oczekiwań, jakie społeczność ta wiązała z objęciem rządów przez Koalicję 15 października.

Miesiąc Dumy LGBT (z ang. Pride Month) przypada na czerwiec i jest tradycyjną już okazją do świętowania przez społeczność swoich tożsamości poprzez parady, marsze, różne wydarzenia o charakterze kulturalno-edukacyjnym. Standardowo też media zabarwiają się w czerwcu na tęczowo, przyczyniając się do edukacji i oswajania całego społeczeństwa z tym, co spora jego część uważa za strasznego potwora lub wrogą ideologię zrzucaną na Najjaśniejszą przez zgniły Zachód niczym niegdyś stonka przez Amerykanów.

Nie ma czego świętować

Jeżeli baczniej się przyjrzeć, co dzieje się w społeczności, to wyraźnie widać, że zapanował okres wielkiej smuty. W poprzednich latach bywało, że w czerwcu elgiebetowskie media społecznościowe tryskały tęczą na lewo i prawo. W sieci roiło się od zapowiedzi wydarzeń, a później – od zdjęć i relacji z nich. Tegoroczny pride obchodzony jest niemal półgębkiem i wydaje się, że towarzyszy mu dużo mniejsze zainteresowanie niż zwykle.

Według Koalicji Miast Maszerujących – zrzeszającej grupy, stowarzyszenia i fundacje organizujące marsze równości i podobne imprezy – na ten rok zapowiedziano ledwie 15 takich wydarzeń. To mniej niż połowa tego, co działo się przed rokiem (34) lub dwoma (35). Sądząc po tych imprezach, które się już odbyły, w tym roku trudno się na nich zgubić w tłumie. Wszystko wskazuje na to, że czasy stutysięcznych Parad Równości w Warszawie i wielotysięcznych marszów w mniejszych miastach należą już do przeszłości. I nie tylko dlatego, że na najwyższe stanowisko w państwie wybrano ponownie zaprzysięgłego prawaka. To raczej efekt marazmu środowisk aktywistycznych LGBT i trwających w nich wojen, co da się zaobserwować już od zeszłego roku.

Co do samego Miesiąca Dumy i jego głównego wydarzenia – warszawskiej Parady Równości – to warto przypomnieć, że trwa nadal konflikt wokół Fundacji Wolontariat Równości (organizatora Parady). W ubiegłym roku fundatorzy zmienili prezesa zarządu, co jest nie w smak sporej części społeczności. Zwolniona prezeska wyprowadziła z fundacji nie tylko wszystkich wolontariuszy, ale także kasę, którą zasiliła konta zaprzyjaźnionych organizacji (przeciwko temu protestowała m.in. Koalicja Miast Maszerujących). Konflikt, od którego w 2024 r. aż huczało, spowodował, że przez stolicę przeszły wówczas trzy parady: właściwa, zbuntowanej prezeski oraz trzecia, zorganizowana przez tych, którzy nie poparli żadnej ze stron. W tym roku są tylko dwa wydarzenia – Parada 14 czerwca oraz kontrimpreza niezadowolonych, która odbyła się wyprzedzająco 7 czerwca.

Aktywizm popękany

Elegiebetowski aktywizm – który wyszedł z ośmioletnich rządów skrajnie nieprzychylnej mu Zjednoczonej Prawicy poturbowany, ale w miarę jednolity i mówiący względnie wspólnym głosem – za rządów koalicji 15 października staje się zbieraniną grup, grupek i indywidualnych aktywistów wojujących między sobą. Pęknięcia stają się wyraźne. Jaskrawo pokazała je kampania wyborcza, szczególnie zaś czas pomiędzy pierwszą a drugą turą.

Całkiem poważnie w sieci zaroiło się od licznych deklaracji, pouczeń i komentarzy, dlaczego to na Rafała Trzaskowskiego nie warto głosować. Jedne krótkie i proste, inne mające formę akademickich tyrad, ale ich wspólną cechą było to, że zazwyczaj abstrahowały od układu odniesienia. Jakbyśmy nie żyli w Polsce 2025, w konkretnym układzie politycznym i społecznym, gdzie są konkretne zadania do wykonania – w tym przypadku: uzyskanie pełni praw obywatelskich przez grupy społeczne należące do najbardziej wykluczonych – lecz w warunkach sterylnego laboratorium lub kosmicznej próżni. Trudno oczywiście wyrokować, ile osób ostatecznie to wszystko odwiodło od głosowania w drugiej turze, ale sądząc po tym, co się działo, mogło ich być sporo.

W elegiebetowskim aktywizmie tkwię od 20 lat, współtworzyłam w nim od podstaw ruch transaktywistycznych, spędziłam w nim dekadę swojego zawodowego życia i wydawało mi się, że widziałam już wszystko. Jednak nie widziałam jeszcze nigdy ludzi z taką ekstrawagancją sprzedających swój własny los, swoje własne prawa, jak podczas tej kampanii.

Oczywiście trzeba uczciwie powiedzieć, że były też głosy przeciwne – wielu aktywistów stanęło na wysokości zadania, starając się pokazać publice, gdzie w tym przypadku jest nasz interes i dlaczego nie leży on w uchylaniu się od wyborów lub głosowaniu na Nawrockiego. No, ale efekt znamy.

Po wyborach następuje okres rozliczeń. I znów awantury: „A bo Zandberg zawinił", „A wcale że nie, to nie Zandberg, tylko komisje źle liczyły" i tak dalej w tym guście. Jakkolwiek Adrian Zandberg mógł z nieco mniejszą dezynwolturą wypowiadać się na temat tego, co zrobić w drugiej turze (wszak wiele osób idzie za jego głosem), to trudno uznawać go za winnego czegokolwiek. Winnych jak zwykle nie ma – Nawrocki wybrał się sam.

Światełko w tunelu

Co nas teraz czeka jako społeczność LGBT? Na razie nic się nie zmieni. Można być już niemal pewnym, że do końca kadencji parlamentarnej nie wydarzy się nic szczególnego, co poprawiłoby sytuację prawną osób LGBT. Możemy zapomnieć o ustawie o równości małżeńskiej. Mowa nienawiści też już pogrzebana. Może jakimś cudem uda się przepchnąć jakiegoś ersatza o statusie osoby bliskiej, ale czy nowy lokator pałacu prezydenckiego raczy to podpisać... Bóg jeden wie, a i to nie jest do końca pewne. Zresztą nawet gdyby podpisał, to taka ustawa w żaden sposób nie spełni potrzeb tych osób LGBT, które pragną żyć w prawnie usankcjonowanych związkach.

Osoby transpłciowe przynajmniej na najbliższą pięciolatkę mogą całkiem zapomnieć o prawnym uzgodnieniu płci na nowoczesnych zasadach, bo nawet jeśli jakąś ustawę uda się przepchnąć przez parlament, to będzie to wyłącznie sztuka dla sztuki. Wydaje się, że jedynym, co nam pozostanie, będzie wyrok Sądu Najwyższego z 4 marca 2025 r., na mocy którego będziemy przeprowadzać korektę płci już bez pozywania własnych rodziców – przynajmniej tyle. Nie na żarty wygląda na to, że będzie to jedyny sukces społeczności LGBT za rządów koalicji 15 października, choć paradoksalnie niebędący jej zasługą.

A później, po wyborach 2027 r., po których władza może nam całkiem zbrunatnieć,

zrobi się tylko gorzej (przydałby się wtedy choćby przychylny prezydent, ale go nie będzie). Zamiast praw, o które społeczność LGBT się upomina, mogą być prawa wręcz odwrotne, wzorem Rosji czy Węgier: zakaz tzw. propagandy homoseksualnej, działalności organizacji LGBT, korekty płci etc.

Chłopaki z Ordo Iuris na pewno mają już gotowy pakiecik stosownych projektów i przebierają nóżkami z niecierpliwości, kiedy będą mogły podrzucić to sejmowi.

Jako społeczność LGBT znów staniemy się obiektem prześladowań ze strony państwa, policyjnych łapanek, zapełnimy dołki, areszty, więzienia. Ale to nas nie przeraża, przeżywaliśmy to już przecież przez niedawne lata, więc będziemy jakby u siebie.

Jednakowoż ducha nie gaście! Jest światełko na końcu tunelu. Gdy ten czarny scenariusz się ziści, to znów staniemy zjednoczeni i wówczas znikną wśród nas podziały, waśnie, kłótnie. Znów przemówimy jednym głosem i znów w jednym szeregu ruszymy do walki o nasze prawa, które teraz tak ekstrawagancko sobie odpuściliśmy (przynajmniej niektórzy z nas). I tak w koło Macieju...

EDYTA BAKER

O, tempora, o, mores! Dąb Bartek, symbol polskiej przyrody, król Puszczy Świętokrzyskiej, uległ grzybom! Tak, tak – nie wichurze, nie kataklizmowi, ale zwykłym, pospolitym grzybom! Żółciak siarkowy i ozorek dębowy – oto sprawcy całego zamieszania. A wiatr? Wiatr to tylko współsprawca, taki mały psikus, który złamał spróchniały konar. Leśnicy, oczywiście, zabezpieczyli miejsce uszkodzenia – bo co innego im pozostało? Przecież nie będą walczyć z grzybami! A dąb Bartek? Dąb Bartek stoi od 700 lat w Zagnańsku (pow. kielecki), choć trochę okaleczony, i przypomina nam o kruchości – nie tylko przyrody, ale i symboli.

Marcin Wileński, obecny burmistrz Szczuczyna, odpowie przed Sądem Rejonowym w Grajewie za poświadczenie nieprawdy w dokumentach. Prokuratura zarzuca mu, że w 2022 r., pracując jako diagnosta, co najmniej 29 razy nieprawidłowo przeprowadził badania techniczne zawieszanych opryskiwaczy polowych. Według ustaleń śledczych Wileński często w ogóle nie oglądał maszyn, nie podłączał ich do ciągnika ani nie uruchamiał. Mimo to wystawiał zaświadczenia o ich sprawności technicznej. Świadkowie zeznali, że burmistrz diagnosta nie używał podczas badań żadnych urządzeń pomiarowych. W niektórych przypadkach nawet sprzedawał rolnikom części zamienne, po czym potwierdzał sprawność opryskiwacza, mimo że wcześniej sam stwierdzał jego niesprawność. Grozi mu do ośmiu lat więzienia. Marcin Wileński wyraził zgodę na publikację pełnego nazwiska. Proszę bardzo.

Rys. WIDGET

Ach, ta lewica, zawsze troszcząca się o dobro wspólne... i własne. W Nowogardzie mieliśmy do czynienia z praktycznym przykładem tej troski. Były burmistrz Robert Cz. i jego zastępca Krzysztof K. stanęli przed sądem za przywłaszczenie blisko 47 tys. zł rzekomo przeznaczonych na „składkę specjalną" dla Lewicy. Pieniądze, zamiast trafić na konto partii, wylądowały w prywatnych kieszeniach oskarżonych. Szczecińska prokuratura i policja antykorupcyjna z detektywistycznym zacięciem odkryły, że w latach 2017–2021 obaj samorządowcy systematycznie zbierali pieniądze od pracowników ratusza. Ot, taka partyjna ściepa. Oskarżeni nie przyznają się do winy. Grozi im do ośmiu lat więzienia. Proces trwa. Czekamy z niecierpliwością na werdykt. Może będzie okazja do kolejnej zbiórki. Będziemy musieli się dołożyć.

Dramatyczne sceny rozegrały się na sesji rady miasta Jastrzębie. Piłkarze GKS-u, zwykle biegający za piłką, tym razem postanowili pobiegać za swoimi pieniędzmi. Zjawili się na sesji, by wyrazić niezadowolenie z braku wypłat. I zagrozili: jeśli sytuacja się nie zmieni, porzucą murawę i zatrudnią się w Jastrzębskiej Spółce Węglowej. Na przodku, przy fedrowaniu węgla. Zaproponowali też miastu przejęcie klubu, argumentując, że GKS jest Jastrzębiu potrzebny jak tlen. Prezydent miasta z kamienną twarzą podziękował za ofertę, ale ją odrzucił. Powód? Długi klubu. I przypomniał, że sport w Polsce to działalność amatorska, która powinna radzić sobie sama. Czyli bilety, a nie publiczne pieniądze. Tymczasem GKS Jastrzębie walczy o utrzymanie w II Lidze.

Grudziądz – stolica jazdy na gapę? Radni nieprzychylni prezydentowi Maciejowi Glamowskiemu kpią, że jazda bez biletu to w mieście sport regionalny. W 2024 r. wystawiono mandaty na ponad 993 tys. zł, a ściągnięto tylko 162 tys. Reszta? Utknęła w urzędniczej machinie egzekucji. – Może lepiej wprowadzić abonament na jazdę bez biletu? – ironizują przeciwnicy władz. – Albo mistrzostwa w unikaniu kontrolerów.

Paradoks Grudziądza: im więcej mandatów, tym mniej pieniędzy. A wszystko to za rządów Macieja Glamowskiego, który sprawuje urząd prezydenta od siedmiu lat i w ostatnich wyborach zdobył 68,2 proc. głosów już w pierwszej turze – narzekają zawistnicy.

Prokuratura Rejonowa w Chełmnie umorzyła śledztwo dotyczące sprzedaży mieszkania przez byłego burmistrza Radzynia Chełmińskiego Krzysztofa Chodubskiego na rzecz gminy. Transakcja zatwierdzona przez radnych dotyczyła lokalu nabytego wcześniej przez burmistrza od gminy za 6,4 tys. zł. W 2022 r. nieruchomość została odkupiona przez gminę za 360 tys. zł, po pierwotnej propozycji ceny 470 tys. zł. Prokuratura, nie dopatrując się przestępstwa, uznała, że procedury formalne zostały zachowane. Obecny burmistrz Maciej Góral, który zlecił audyt i zgłosił sprawę do prokuratury, zapowiedział złożenie zażalenia na decyzję o umorzeniu. Krzysztof Chodubski utrzymuje, że działał zgodnie z prawem.

Prokuratura Rejonowa w Bochni umorzyła śledztwo w sprawie niezrealizowanej inwestycji parkingu Park & Ride przy dworcu kolejowym. Projekt, dofinansowany kwotą 6,5 mln zł z funduszy unijnych, zakładał budowę czterech poziomów parkingu na 192 miejsca. Z powodu zbyt małej działki, na której miał powstać parking, rozwiązano umowę z wykonawcą, co skutkowało koniecznością wypłaty odszkodowania w wysokości ponad 1,28 mln zł. Pomimo strat poniesionych przez miasto prokuratura nie dopatrzyła się przestępstwa w działaniach urzędników. Zawiadomienie o możliwości popełnienia takowego złożyła obecna burmistrz, Magdalena Łacna.

RJ

PS Niniejszy przegląd prasy stanowi subiektywny wybór informacji z mediów w całej Polsce. Nie gwarantujemy rzetelności przytaczanych doniesień i zastrzegamy sobie prawo do ewentualnych błędów interpretacji. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść cytowanych fragmentów.

eprasa.pl 97f5af6175

Państwo nieustająco pomaga ludziom nakładać sobie pętlę na szyję

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Licencja na dojenie

Chwilówka pachnie gotówką, ale niekoniecznie tą, która trafia do klienta. Bo niezależnie od zapowiedzi kolejnych rządów, że ukrócą lichwę, krótkoterminowe pożyczki w Polsce rosły w siłę i obrastały w zysk.

Spirala pochyłości

Czym różni się chwilówka od zwykłej pożyczki bankowej? Przede wszystkim dostępnością i procedurą. Chwilówki są udzielane niemal natychmiast, często bez weryfikacji zdolności kredytowej w BIK, bez zaświadczeń o dochodach, bez potrzeby osobistego kontaktu z przedstawicielem firmy. Dla wielu klientów to kluczowe – potrzebują gotówki tu i teraz. W banku formalności są bardziej złożone, wymagana jest pełna weryfikacja, a na decyzję kredytową można czekać kilka dni. Banki rzadziej też pożyczają małe kwoty – kilkaset złotych na tydzień czy dwa to domena chwilówek.

Najczęściej po chwilówki sięgają osoby w trudnej sytuacji finansowej: bezrobotni, pracujący na śmieciówkach, emeryci, renciści, samotne matki i ludzie o niskich dochodach. Wielu z nich nie ma zdolności kredytowej, więc banki im odmawiają. Chwilówki stają się dla nich jedyną realną alternatywą, choć kosztowną i niebezpieczną. Dane wskazują, że po takie finansowanie częściej sięgają mieszkańcy mniejszych miast i obszarów postindustrialnych.

Największy odsetek klientów firm pożyczkowych stanowią osoby w wieku 35–49 lat, posiadające wykształcenie średnie, a aż 42 proc. z nich deklaruje brak wystarczających środków na pokrycie podstawowych potrzeb życiowych. Eksperci rynku finansowego podkreślają, że to właśnie „pracująca biedota” – pracownicy na pensji minimalnej lub niestabilnych formach zatrudnienia – najczęściej wpada w spiralę zadłużenia. Z punktu widzenia rynku chwilówek to nie osoby całkowicie wykluczone finansowo, ale te na pograniczu wypłacalności są najbardziej atrakcyjne. Mają jeszcze coś do stracenia i wciąż spłacają, nawet kosztem innych zobowiązań.

Skąd firmy pożyczkowe mają fundusze, by pożyczać i kupować za miliony reklamę w mediach? Przede wszystkim z emisji obligacji korporacyjnych. W 2015 r. pozyskały z rynku dłużnego 353 mln zł, za które rocznie muszą zapłacić prawie 24 mln zł odsetek. Przeciętny koszt pozyskania kapitału wynosił 6,77 proc., choć mniejsze firmy musiały płacić nawet do 8,9 proc. Większe, jak IPF Polska (powiązana z Providentem), korzystały z emisji euroobligacji, omijając ryzyka regulacyjne i obniżając koszty finansowania. To one zasilały system, który dzisiaj potrafi przebić się przez każdą barierę – regulacyjną, medialną i moralną.

Grożenie palcem

A przecież już w marcu 2016 r. wprowadzono ustawę antylichwiarską, którą „dobra zmiana” nowelizowała kilka razy; ostatni raz pod koniec 2022 r. Nowelizacja zaostrzyła przepisy, wprowadzając maksymalne oprocentowanie ustawowe w wysokości około 10 proc. rocznie. Pożyczki konsumenckie mogą być jednak droższe, bo do tej stawki dochodzą jeszcze koszty pozaodsetkowe. A te od 18 maja 2023 r. nie mogą przekroczyć 5 proc. dla pożyczek do 30 dni i 20 proc. rocznie dla dłuższych. Jak się od tego dorzuci prowizje, obowiązkowe ubezpieczenia i podobne wynalazki – to, sumarycznie, legalna lichwa może kosztować klienta nawet 45,5 proc. rocznie.

Takie reguły gry pozwalają firmom pożyczkowym zarabiać bez obawy o paragraf. Nawet jeśli pożyczają na warunkach, które jeszcze kilka lat temu wzbudzałyby powszechne oburzenie.

A oburzenia swego czasu nie brakowało. Zbigniew Ziobro – jeszcze jako opozycjonista – grzmiał z sejmowej mównicy, że „nie może być zgody na to, by za pożyczenie 1000 zł tracić mieszkanie”. Gdy został ministrem sprawiedliwości, zapowiedział wprowadzenie zapisów karnych za lichwę przekraczającą dopuszczalne oprocentowanie. Projekt trafił do sejmu w 2017 r. Stamtąd zaś do kosza. Umieścił go tam sam premier Morawiecki.

Zamiast tego przyjęto wersję kosmetyczną. Przejrzystość warunków, indeksy, stopy referencyjne, przykłady reprezentatywne... Wszystko to miało pomóc konsumentom. Tymczasem nikt z nich nie rozumie, co to znaczy. Ustawodawcy, którzy nad tym głosowali, raczej też nie mieli pojęcia.

Paradoksalnie jedynym realnym ograniczeniem był zakaz rolowania długów oraz wymóg badania zdolności kredytowej. Firmy muszą dziś sprawdzać klienta w BIK, BIG i pytać o dochody. To miało powstrzymać spiralę zadłużenia. Miało.

Bo liczby mówią co innego. W 2024 r. firmy udzielające chwilówek pożyczyły Polakom ponad 15 mld zł. To wzrost o niemal 50 proc. przez rok. Liczba udzielonych pożyczek wzrosła o 31,6 proc., do niemal 5,75 mln. Wychodzi na to, że co piąty dorosły Polak wziął w zeszłym roku chwilówkę.

Na bruk w imię prawa

Gdy popatrzeć na ilość reklam chwilówek, to widać, że branża ma się świetnie. A przecież reklamy te miały, niczym w Finlandii, zniknąć. Zakazu jednak u nas nie wprowadzono. W Brukseli co prawda uchwalono dyrektywę zakazującą reklam sugerujących, że chwilówka poprawi jakość życia. Ale u nas jakoś nikt jej nie implementował.

Reklamy chwilówek budzą od lat poważne kontrowersje. Ich agresywny charakter, infantylna narracja i często wprowadzające w błąd hasła – w stylu „pieniądze od ręki bez BIK” – stają się przedmiotem rosnącej krytyki. W 2016 r. Google globalnie zakazał reklam pożyczek krótkoterminowych z okresem spłaty poniżej 60 dni oraz RRSO przekraczającym 36 proc.

A chwilówkowe lobby ma siłę. Przecież „pomaga najbiedniejszym”, którym banki nie chcą pożyczać. A że na tym pomaganiu zarabia się miliony? Cóż, pomoc to nie jałmużna. To branża z potencjałem, którego żaden rząd jeszcze nie odważył się ukrócić.

Tymczasem 2,6 mln dorosłych Polaków ma problemy z terminową spłatą zobowiązań, a ich zaległości przekroczyły 85,5 mld zł. Najwięcej zadłużonych mieszka w regionach z upadłymi zakładami przemysłowymi – takich jak Wałbrzych, Chorzów i Bytom. Coraz więcej osób decyduje się na upadłość konsumencką jako sposób na wydostanie się z finansowego dołka.

Komornicy ostrzegają, że egzekucja długów z chwilówek może rozpocząć się już po kilku miesiącach od niespłacenia zobowiązania. Może to prowadzić do zajęcia wynagrodzenia czy rachunków bankowych, a także do bezdomności.

Sędziowie zauważają natomiast, że prawo konsumenckie nie powinno być jednocześnie narzędziem odpowiedzialności i narzędziem ochrony socjalnej, która prowadzi do utraty świadomości finansowej i odsuwa realne rozwiązania systemowe. Bo w praktyce ta „ochrona” często działa jak miraż. Media pełne są relacji osób, które wpadły w spiralę chwilówek po tym, jak straciły pracę. Wzięły pierwszą pożyczkę na opłacenie czynszu, potem kolejne, by spłacić pierwszą. Po roku ich zadłużenie urosło do dziesiątków tysięcy złotych. Gdy przestawały płacić, rozpoczynał się koszmar: telefony, listy, wizyty windykatorów. Zostaje im tylko wyprowadzenie się do kogoś z rodziny. Takich historii są tysiące.

Komornicy widzą wzrost spraw dotyczących niewielkich, ale licznych pożyczek. Ludzie nie wiedzą, że podpisując umowę na kilka tysięcy złotych, podpisują jednocześnie zgodę na pełną egzekucję, często z emerytury, pensji, a nawet ruchomości. Bo dziś Polska to kraj, w którym lichwa nominalnie jest uregulowana – znaczy legalna. I choć co jakiś czas rząd grozi branży chwilówkowej pięścią, to sektor ten liczy coraz większe zyski. Tylko dlatego, że dla lichwiarzy bieda pozostaje najbardziej lojalnym klientem.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● GUS obwieścił, że w kwietniu średnia pensja w sektorze przedsiębiorstw wyniosła ponad 9 tys. zł brutto. Połowa narodu natychmiast sięgnęła po atlas, by sprawdzić, w którym kraju to się wydarzyło. A potem dowiedziała się, że w Polsce. Żeby więc ludzi nie wkurzać, GUS opublikował medianę za grudzień. To taki magiczny wskaźnik, który mówi, że połowa ludzi zarabia mniej, a połowa więcej. Taka grudniowa mediana brutto to zatem 7266,80 zł. Na rękę wychodzi około 5,3 tys. zł. Zarobkowo najlepiej mają się ludzie między 45. a 54. rokiem życia. Dostają ponad 7,6 tys. zł. Najlepiej zarabia się w Warszawie – tam mediana wynosi okrągłe 10 tys. zł brutto. Dalej jest region podwarszawski – 9,2 tys. zł. I powiat polkowicki, gdzie – poza miedzią – najwyraźniej wydobywa się też pensje. Na drugim końcu Polski pensje mają inne oblicze. W powiecie nowomiejskim średnia to 5590 zł, w kępińskim – 5569 zł, a w wieruszowskim – 5805 zł. Czyli tyle, co w stolicy kosztuje porządna wizyta u dentysty. 10 proc. Polaków zarabia powyżej 15 tys. zł brutto. To ci, którzy widząc dane GUS, nie łapią się za głowę, tylko za kieliszek prosecco. 10 proc. na dole drabiny dostaje z kolei płacę minimalną – czyli te 4,3 tys. zł brutto. A w ramach podziękowania za pracę jeszcze muszą słuchać opowieści, że „wszyscy przecież tyle zarabiają”.

● Siedzące bankom w kieszeniach media sprzedają najstarszym taki sam kit. A według danych ZUS liczba emerytów i rencistów w Polsce przekroczyła 8 mln. To tak jakby cała Szwajcaria żyła z ZUS-u. Mediana emerytury wynosi 3544,38 zł brutto. Na rękę wychodzi więc tyle, co w taniej wersji wypłaty minimalnej. Przy czym to i tak dane ogólne, bo średnia emerytura kobiety to 3,5 tys. zł brutto. Mediana? Zaledwie 3011 zł. A co czwarta seniorka zmieścić się musi w 2269 zł miesięcznie. 27,7 tys. seniorów dostaje z ZUS przelew na poziomie 500 zł miesięcznie lub mniej. 8 tys. Polaków dostaje poniżej 100 zł. Co miesiąc. To mniej niż cena porządnych butów. Ale jest też elita ZUS-u. Liczba tych, którzy dostają ponad 15 tys. zł miesięcznie podwoiła się w ciągu roku – z 3,7 do 7 tys. osób. Najniższa ustawowa emerytura – 1878 zł brutto – przysługuje tylko tym, którzy przepracowali 20 lat (kobiety) lub 25 lat (mężczyźni). Jeśli ktoś pracował krócej albo „na czarno”, to może dostać tyle, co napiwek w lepszej restauracji. Żyjemy więc w kraju, w którym nie wystarczy dożyć starości. Trzeba jeszcze do niej dorobić.

● A tu niestety sezon na ślimaki właśnie się skończył. Do 31 maja można było bowiem zbierać winniczki i oddawać do skupu. Te zaś płaciły za mięczaki 4 zł/kg. Może i nie są to kokosy, ale przy dobrym oku i szybkich rękach dało się uzbierać parę stówek. Ślimaki musiały jednak mieć muszlę o co najmniej 30 mm średnicy i nie mogły pochodzić z rezerwatów i parków narodowych. Zanim jednak emeryt wyruszył na łowy, musiał mieć pozwolenie od Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Kto nie załatwił papierów w marcu, ten nie mógł legalnie żadnego winniczka sprzedać. Dlatego każdy biedaemeryt ma teraz kilka miesięcy na załatwienie sobie licencji na polowanie na ślimaki.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

● Chyba że zamiast zbierać, przestawi się na nowe tory. Polskie Linie Kolejowe wrzuciły do sieci aż 130 ogłoszeń o pracę. Na liście życzeń: inżynierowie, geodeci, informatycy, specjaliści od promocji, kontrolerzy automatyki i finansiści z głową nie od parady. Dla niektórych przewidziano pensje, które bardziej pasują do menedżera funduszu inwestycyjnego niż do spółki od szyn i rozjazdów. Dyrektor projektu może zgarnąć do 23,5 tys. zł brutto. Naczelnik od pozyskiwania finansowania i gwarancji zarobi nawet 18,5 tys. zł. Zaś kierownik kontraktu – między 14 a 18 tys. zł. Warunek: minimum pięć lat doświadczenia i umiejętność podpisywania umów grubych jak niegdysiejsze książki telefoniczne. PKP kusi też tych mniej doświadczonych. Specjalista od promocji może liczyć na 5 do 8 tys. zł brutto pod warunkiem, że przez ostatnie lata promował coś więcej niż własne konto na Fejsie. Asystent kierownika kontraktu dostanie 6–9 tys., kontroler automatyki – do 9,5 tys., a monter nawierzchni kolejowej – od 5 do 6 tys. zł. To ostatnie stanowisko brzmi skromnie, ale kto wie – może to właśnie on decyduje, czy pociąg dojedzie na czas. Zastanawiające tylko, skąd państwowa spółka ma na to wszystko pieniądze. Bo przy polskich statystycznych zarobkach rekrutacja PKP przypomina ofertę z innego wymiaru. Może z tego samego, z którego biorą się wynagrodzenia wierchuszki w spółkach skarbu państwa?

● Tymczasem do zarządu jednej z największych spółek skarbu państwa – KGHM, giganta z 35 mld zł przychodu i prawie 3 mld zysku rocznie – właśnie dołączyła nowa twarz. Anna Sobieraj-Kozakiewicz została wiceprezeską ds. aktywów zagranicznych. Kim jest? Radczynią prawną, lat 38, z doświadczeniem w hotelarstwie. A prywatnie? Córką Dariusza Sobieraja, podkarpackiego polityka PSL, radnego sejmiku wojewódzkiego i doradcy społecznego Władysława Kosiniaka-Kamysza. Do tej pory Sobieraj-Kozakiewicz zarządzała AMW Rewita – siecią hoteli z wojskowym, czyli kosiniakowo-kamyszowym rodowodem. Teraz za grube setki tysięcy złotych rocznie będzie doglądać zagranicznych interesów KGHM, czyli kopalń w Chile, Kanadzie i USA. Wszystko oczywiście odbyło się w ramach konkursu. Kiedy zapytano, ilu było kandydatów, biuro komunikacji odpowiedziało, że nie powie. Bo nie może. Ale było przejrzyście, transparentnie i sprawiedliwie. A że córka doradcy ministra z PSL wygrała, to przypadek. Wszak sama przecież wcześniej pracowała w państwowej spółce, więc zna się na rzeczy.

● Do emerytury mają jeszcze daleko, tak samo jak do intratnych stanowisk – o ile nie są dziećmi czy innymi krewnymi i znajomymi władającego polską królika. Pokolenie Z, czyli ludzie urodzeni po 1995 r., a wychowani na wi-fi i TikToku, przez lata dostawali od starszych pokoleń po głowie. Bo roszczeniowi. Bo leniwi. Bo nie wiedzą, co to ciężka praca. Tymczasem najnowsze badanie CBOS pokazuje, że nie dość, że zetka wcale nie chce rewolucji, to jeszcze najbardziej marzy o stabilnej pracy, przyjaznych współpracownikach i 5 tys. na rękę. Czyli dokładnie o tym, o czym marzył ich dziadek. Tylko 15 proc. młodych wskazuje pracę zdalną jako coś naprawdę ważnego. Reszta woli mieć dokąd pójść i z kimś pogadać. A jak już coś ich naprawdę interesuje, to raczej nie ekologia, ale to, czy Putin nie wpadnie do Polski bez zaproszenia. Zetka nie chce pracować 24/7 dla idei. Chce mieć pracę od 9.00 do 17.00 i spokój wieczorem. Zaskoczeniem dla socjologów jest też to, że młodzi nie mają zbyt wygórowanych oczekiwań płacowych. Uważają, że przyzwoita pensja to 5–6 tys. zł na rękę. Młodzi pracownicy potrafią jednak powiedzieć „nie”, jeśli uznają, że praca zagraża ich dobrostanowi psychicznemu. Starsze pokolenia nazwą to lenistwem. Psycholodzy – rozsądkiem. Pokolenie Z okazało się więc całkiem zwyczajne. Chce stabilnej roboty, przyzwoitej pensji i świętego spokoju po godzinach. I jeśli to jest roszczeniowe, to znaczy, że wszyscy jesteśmy roszczeniowi.

TTJ

eprasa.pl 97f5af6175

Polskie jądra, czyli jaja

Alarm w sprawie atomu

Wyobraźmy sobie, że chcemy zbudować dom. I zabieramy się do tego w bardzo niekonwencjonalny sposób. Po pierwsze, podpisujemy umowę z wujkiem ze Stanów, że to właśnie Amerykanie nam go zbudują. Po drugie, wybieramy firmę zza oceanu, która go postawi. Po trzecie, wybieramy miejsce, gdzie pojawi się nowy budynek. Po czwarte, zastanawiamy się, ile może kosztować budowa, ale przez lata nie mamy pojęcia, ile ostatecznie zapłacimy i czy wykonawca wyrobi się z inwestycją.

Gdybyśmy tak postępowali, jak nakreśliłam powyżej, uznano by nas za człowieka niespełna rozumu albo za osobę mającą masę forsy, którą trwoni na prawo i na lewo. A tymczasem dokładnie wedle powyższego wzorca postępują polskie rządy w sprawie elektrowni atomowej – najpierw PiS, teraz PO, co skądinąd potwierdza, że PiS i PO to jedno zło.

A trzeba jeszcze dodać, że nikt do końca nie wie, czy potrzebna jest Polsce jakakolwiek elektrownia jądrowa. Argumenty na rzecz jej powstania są w dużej mierze zbiorem fantastycznych założeń, nierealistycznych oczekiwań i grubych nieporozumień. Najgorsze, że istnieje w tej kwestii powszechna zgoda klasy politycznej, nawet trzeźwy zwykle Adrian Zandberg jest za „Polską atomową".

Pisz na Berdyczów

5 czerwca zieloni z organizacji Eko-Unia zorganizowali konferencję, na której odnieśli się do wątpliwości co do budowy elektrowni jądrowej na Pomorzu. Ujawnili, że ponad rok temu wysłali list do ABW w tej sprawie. Do dziś nie dostali odpowiedzi, choć podnoszone przez nich kwestie są społecznie doniosłe, bo dotyczą spraw bezpieczeństwa narodowego i wyboru konkretnej firmy, która ma zbudować elektrownię jądrową w pomorskim Choczewie.

Eko-Unii wtórował Piotr Niemczyk, wieloletni ekspert sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych i były dyrektor Biura Analiz i Informacji Urzędu Ochrony Państwa: – Problem odporności systemów energetycznych w przypadku konfliktów zbrojnych jest jednym z ważnych problemów badanych przez analityków NATO. Specjalistyczne Centrum Doskonałości NATO ds. Bezpieczeństwa Energetycznego w Wilnie zleciło opracowanie ekspertyzy dotyczącej skutków wojny w Ukrainie dla stabilności państwa w trakcie konfliktu zbrojnego. Posłużyła przygotowaniu wniosków z konferencji pt. „Przyszłe operacje – odporność w procesie transformacji energetycznej". Jednym z kluczowych wniosków przedstawionych przez ekspertów jest konieczność rozwijania rozproszonych źródeł energii w oparciu m.in. o odnawialne źródła energii. Decyzja o budowie elektrowni atomowej o mocy prawie 4000 MWe idzie dokładnie w przeciwnym kierunku.

Zastanawiające, że Polska dumna z wydawania kroci na zbrojenia – za co wysocy rangą przedstawiciele NATO klepią nasze władze po plecach – jakoś w tej fundamentalnej kwestii stanowisko sojuszu zupełnie ignoruje i robi coś dokładnie odwrotnego, niż się zaleca krajom członkowskim.

Szef Eko-Unii (skądinąd były wiceminister ochrony środowiska) Radosław Gawlik przekonywał, iż w dobie taniejących odnawialnych źródeł energii (OZE) inwestycja jest zupełnie zbędna. Przypomniał też – bardzo słusznie – okoliczności podpisania umowy ze Stanami Zjednoczonymi: uczynił to na cztery dni przed wyborami w Polsce prezydent Andrzej Duda, olewając jakieś procedury przetargowe, aby mieć foto z prezydentem Trumpem.

Początkowo mówiono, że inwestycja będzie kosztować 18 mld zł, parę miesięcy temu sejm przekazał z budżetu na ten cel aż 60 mld zł, a koszt całości oszacowano na niebotyczne 192 mld zł. Przy czym z pewnością jest to suma zaniżona, nie uwzględnia bowiem np. takich inwestycji towarzyszących jak składowiska odpadów wysoko- i średnioaktywnych.

Eko-Unia podkreśliła, że już w styczniu 2023 r. poważni eksperci – profesorowie i trzej byli ministrowie środowiska – podpisali list, w którym negowali potrzebę budowy dużej elektrowni jądrowej w Polsce. Wbrew obietnicom premierów Morawieckiego i Tuska energia atomowa jest najdroższa, a nie – najtańsza, będąc (przy obecnych cenach) nawet… 10 razy droższa niż energia wyprodukowana w elektrowniach wiatrowych na lądzie. Inwestycja w atom zwiększy o setki miliardów koszt niezbędnej transformacji energetycznej kraju.

Ekolodzy podnoszą jeszcze jeden problem, podając w wątpliwość rzekome ceny energii z atomu. Symulacje, które przedstawiają zwolennicy elektrowni w Choczewie, zakładają, że prąd z atomu będzie płynął bezustannie przez dziesiątki lat. Rzecz w tym, że rozwój OZE powoduje już teraz marnowanie zielonej energii, bo elektrownie węglowe są skrajnie nieelastyczne, nie można ich w dowolnym momencie uruchamiać i zatrzymywać.

Co więcej, chęć utrzymania rentowności polskiego atomu będzie wywoływała presję na ograniczenie OZE w miksie energetycznym Polski, a trzeba pamiętać, że – w odróżnieniu od technologii atomowych, kosmicznie drogich i potencjalnie niebezpiecznych – postęp w sferze wiatraków czy paneli słonecznych (do użytku publicznego, jak i prywatnego) jest oszałamiający, a od badań do wdrożenia komercyjnego mija zaledwie kilka lat.

Wiel-błąd

Moim zdaniem nie istnieją żadne poważne ekonomiczne powody, aby Polska inwestowała w atom, zwłaszcza w tej formule, jaką przyjęto. Idzie o politykę, ideologię, a nawet psychologię, choć osoba mniej życzliwa pomysłom polityków powiedziałaby: psychiatrię. Chodzi o to, że polska klasa polityczna kocha Amerykę, wchodzi jej bez mydła głęboko w dupę, bo uważa, że to podwyższa prestiż kraju i jej samej. Ale może się mylę, może tu jeszcze wchodzi w grę kolejny czynnik. Głupota głupotą, ale jak nie wiadomo, o co chodzi, to często chodzi o pieniądze.

Daje tu do myślenia Niemczyk, mówiąc: – Zwykle dużym inwestycjom w Polsce towarzyszy osłona antykorupcyjna roztaczana przez ABW. W tym przypadku o takiej nie słychać.

Analityk przypomniał też, że Donald Trump na początku tego roku uchylił ustawę zakazującą Amerykanom korumpowania zagranicznych urzędników. Innymi słowy, jeżeli nawet za lat parę czy parenaście okaże się, że jakieś walizki z dolarami przechodziły z rąk do rąk, czy też jakieś bitcoiny zmieniły właściciela, w Ameryce nikt za to nie odpowie. A w Polsce? Też nie, w końcu to Polska: gdy złodziejstwo odbywa się na odpowiednio wysokim szczeblu i biorą ludzie z walczących ze sobą partii, to CBA, służby specjalne, policja i prokuratura jakoś szczególnych rezultatów nie mają…

Wracając do metafory z początku tekstu: publiczne pieniądze, jakie zostaną na pewno wydane na ów dom, czyli elektrownię atomową, będą kolosalne. To będzie dom ze złotymi klamkami i sedesami wysadzanymi brylantami. Za część z nich można by totalnie zmienić kształt energetyki polskiej, budując OZE i magazyny energii, resztę wydać na technologie oszczędzające energię w przemyśle i u odbiorców indywidualnych.

Jest taki dowcip o mędrcu, do którego przyszedł nieopierzony adept filozofii i powiedział mistrzowi, że chce zrobić coś wielkiego i czystego. Mędrzec natychmiast odrzekł: – Umyj słonia.

Polscy politycy też chcą zrobić coś wielkiego i czystego, jak wielka jest elektrownia jądrowa i jak rzekomo czysta jest pochodząca z niej energia. Jeśli mogę spekulować, to decydenci cofnęli się mentalnie do podstawówki, chcąc być jak starożytny poeta Horacy, który w pewnej odzie pisze: „Stawiłem sobie pomnik trwalszy niż ze spiży, Od królewskich piramid sięgający wyżej".

Przywołam na końcu pamiętny dialog z „Rejsu" Marka Piwowskiego: – I kto za to płaci? Pan płaci, pani płaci, społeczeństwo…

Ta inwestycja to nie będzie błąd, to wręcz będzie wiel-błąd. Za który będziemy płacić my, nasze dzieci, a nawet wnuki.

KATARZYNA KOENIG

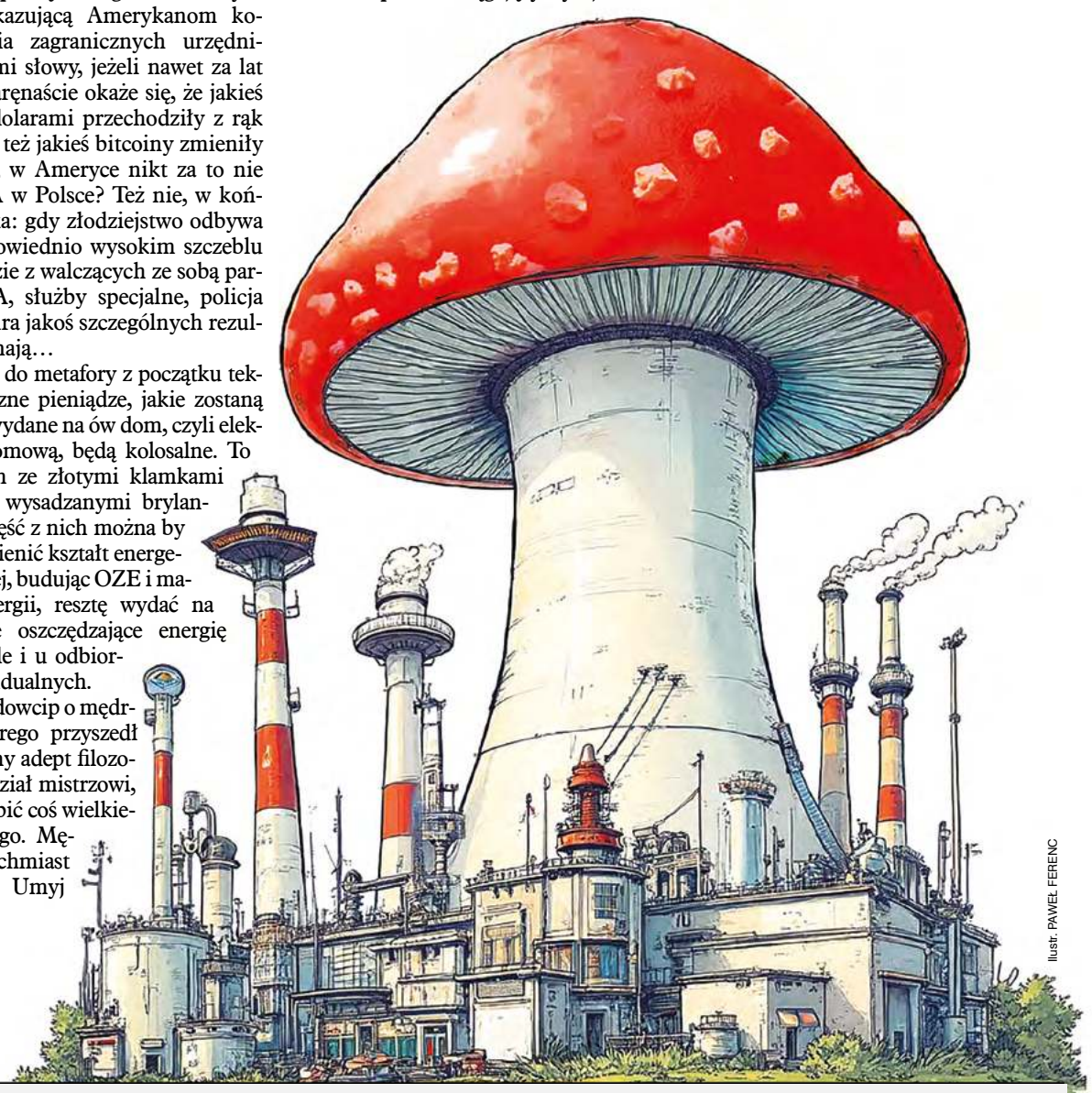

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nieudacznicy i przekręciarze z Ameryki

Kto nam postawi elektrownię?

Atom w Choczewie postawić ma nam – ma, bo dzieje tej firmy nie dają rękojmi, że kiedykolwiek to nastąpi – Westinghouse, używając technologii AP1000. W rodzimych Stanach Zjednoczonych korporacja ta – obecnie własność kanadyjskiego funduszu inwestycyjnego Brookfield Asset Management, którego ważnym udziałowcem jest Thomas J. Barrack, amerykański miliarder i sponsor Trumpa – jest symbolem nieudacznictwa i wałków, co skądinąd skończyło się w 2017 r. jej spektakularnym bankructwem.

Zgodnie z prawem Murphy'ego, jeśli coś może pójść źle, to na pewno pójdzie źle, jeśli zaś się wydaje, że nie może pójść źle – okaże się, że i tak pójdzie źle. Menedżerowie Westinghouse chyba tym właśnie się kierują, skoro przez wiele lat dowodzili, że za co się nie wezmą, to spierdolą.

Jak podał Reuters, w 2012 r. budowa elektrowni atomowej w stanie Georgia stanęła na osiem miesięcy, bo inżynierowie czekali na właściwe wypełnienie papierów koniecznych do przywiezienia prefabrykowanej części elektrowni z fabryki, która znajdowała się w odległości paruset mil. Trwało ono dłużej niż samo fizyczne zamontowanie owej części.

Westinghouse przed laty wpadł na „genialny" pomysł, jak uczynić budowę elektrowni jądrowych tańszą, bezpieczniejszą i szybszą: będzie się tworzyć prefabrykowane elementy elektrowni, które się na miejscu tylko złoży. Nazwali tę technologię AP1000. Z sukcesem AP1000 jest jak z tym radzieckim dowcipem o rozdawaniu aut w Leningradzie – wszystko się zgadza, tylko nie rozdają – a kradną, nie auta – a rowery, nie w Leningradzie – a w Moskwie.

AP1000 okazało się technologią skrajnie niestabilną, w praktyce niewypróbowaną, powodującą wieloletnie opóźnienia w budowie i niewyobrażalne przekraczanie zakładanego budżetu. Koniec końców, AP1000 doprowadziło Westinghouse do bankructwa, a ówczesnego japońskiego właściciela Toshibę nieomal do ruiny.

Jak ujął to akademik Edwin Lyman z Union of Concerned Scientists, AP1000 było projektem eksperymentalnym, lecz Westinghouse usilnie pragnął pokazać, że ich projekt może spinać się komercyjnie, toteż całkowicie nie docenił różnych problemów, w tym czasu i kosztu budowy.

Trudno, aby Westinghouse był wiarygodnym partnerem, skoro nie potrafił nawet wykopać fundamentów pod budowę – w stanie Georgia zaliczył na tym etapie pół roku obsuwy, bo nie potrafił dowieść, że materiał używany do wypełniania dziury jest zgodny z miejscowymi normami.

Dalej było tylko gorzej. Posuwano się nawet do takich zagrań, które miały charakter kryminalny. Kiedy podmoduł elektrowni spadł i się uszkodził, menedżerowie kazali podwładnym ukryć incydent. Na dodatek niewłaściwie oznaczano poszczególne części, brakowało wymaganych prawem atestów.

Świat się zmienił po 11 września 2001 r., więc amerykański regulator nakazał Westinghouse'owi, aby elektrownia jądrowa była odporna na uderzenie komercyjnego samolotu odrzutowego. Kiedy już dokonano właściwych zmian w architektonice elektrowni, padło pytanie, czy przetrwa ona trzęsienie ziemi lub tornado. Skutkowało to kolejnymi opóźnieniami.

Gwoździem do trumny była rozbudowa o dwie nowe jednostki – AP1000, a jakże! – elektrowni jądrowej V.C. Summer w Karolinie Południowej. W 2008 r. publiczni dostawcy energii z tego stanu podpisali umowę z Westinghouse na budowę dwóch reaktorów – pierwszy miał generować energię w 2016, drugi – w 2017 r. Umowa opiewała na 10,5 mld dol.

Po wydaniu 10,4 mld dol. na projekt i konieczności wydania ponad 14,6 mld do co najmniej 2024 r., 31 lipca 2017 r. – gdy projekt był wykończony w niecałych dwóch trzecich – inwestorzy poddali się. Nie dziwota, wszak Westinghouse w marcu 2017 r. oficjalnie ogłosił się bankrutem.

Jak w 2021 r. napisał prestiżowy „Bulletin of Atomic Scientists",

szokujące przygody AP1000 wynikały z uwierzenia Westinghouse we własną propagandę tej technologii, choć korporacji zabrakło umiejętności technicznych i menedżerskich, by projekt odniósł sukces.

À propos menedżerów związanych z inwestycjami naszego partnera biznesowego – paru z nich trafiło na ławy oskarżonych. Oskarżono ich o spiski, zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego. Tyle w temacie wiarygodności tego, co mówią obecnie menedżerowie Westinghouse'a…

Z.J.

eprasa.pl 97f5af6175

Zabójczy zew natury

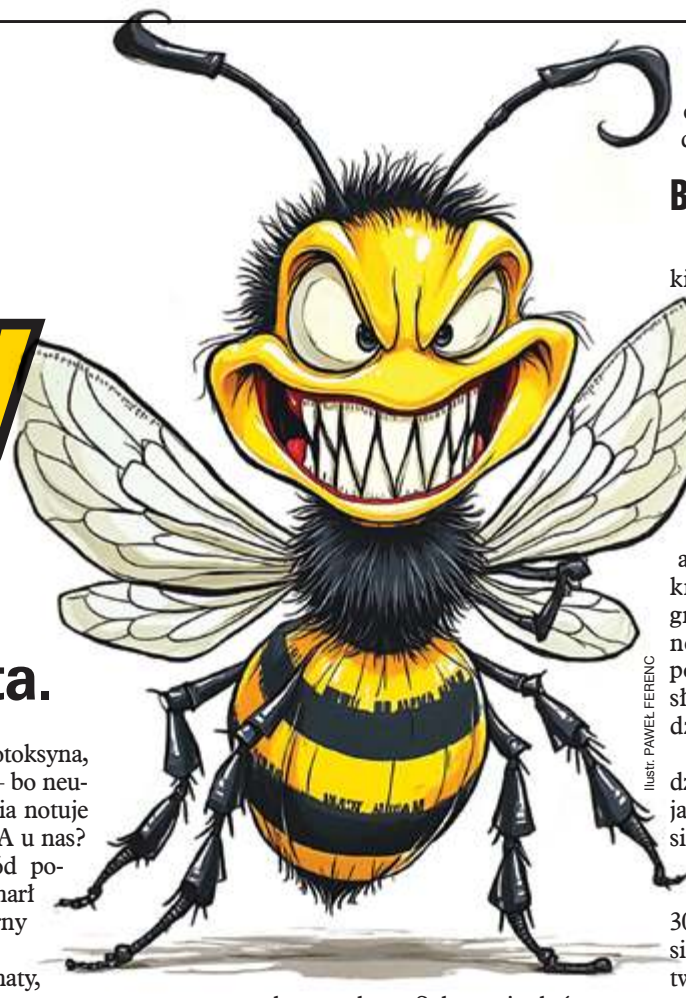
Ilustr. PAWEŁ FERENC

Najzdrowiej jest wypoczywać na trawniku oddzielającym wielopasmowe jezdnie w centrum miasta.

Wdrukowano nam, że gdy tylko lato dopisze, słońce przygrzewa, a kalendarz łaskawie nie każe iść do roboty, to obowiązkiem naszym moralnym i zdrowotnym jest czmychnąć za miasto. Najlepiej w kierunku pagórków, lasów i łąk, żeby przyroda mogła nas natchnąć, ukołysać i przewietrzyć od środka. Czasem przewietrzyć aż do śmiertelnego omdlenia.

Mordercza pszczółka

Rozkładamy więc kocyk w granicach, gdzie trawa ustępuje drzewom. Koszyk piknikowy pełen dóbr – klasyka. Parówki, sałatka, lemoniada z osadem z miętowej torebki herbaty, kawałki arbuza i kilka plastikowych widelców, które już po kwadransie lepkie są od soku, ziemi i niepokojąco intensywnie żółtego pyłku. I wśród sielskiego spokoju łączymy się z naturą. Problem w tym, że natura również bardzo chętnie łączy się z nami. Zwykle za pomocą żądła, kłów, toksyn, zarodników albo po prostu zwykłej złośliwości ewolucyjnej, dla której człowiek to nie istota rozumna, lecz tymczasowy i niegroźny element, którego można się pozbyć, gdy mu się coś wgryzie do środka.

Weźmy taką pszczołę – symbol pracowitości, niemalże ambasadorka ekologii. Otóż ona, choć z reguły łagodna, jeśli już użądli, to u niektórych nie kończy się na zaczerwienieniu czy pieczeniu. Zaczyna się od bólu brzucha i ucisku w klatce piersiowej, potem przychodzą biegunka, wymioty, aż do duszności i świstu krtaniowego. A gdy już fioletowe zabarwienie skóry zwiastuje wstrząs anafilaktyczny – bez adrenaliny zostaje tylko transport zwłok. Zazwyczaj z rozłożonego koca – prosto do plastikowego worka.

Pszczoły, szczęśliwie dla nas, wiedzą, że po ataku szlag je trafia. Osy takich rozterek moralnych nie mają. Mogą żądlić raz, drugi i dziesiąty. I robią to. A jeśli trafią na osobnika z tej niewielkiej, aczkolwiek niepokojącej grupy 2 proc. populacji uczulonych – mogą go posłać do piachu. Podobnie szerszenie. Ich jad niczym nie ustępuje osiemu, a gdy trafi się egzemplarz azjatycki, długości palca wskazującego, z substancją o nazwie mandarotoksyna, to nawet osoby bez alergii mają problem – bo neurotoksyna ta może po prostu zabić. Japonia notuje kilkadziesiąt takich przypadków rocznie. A u nas? Sprawdźmy w nekrologach. Może wśród poetycko brzmiących „odeszła nagle" i „zmarł niespodziewanie" kryje się kolejny ofiarny miłośnik plenerów.

Dla równowagi – trzmiel. Z pozoru puchaty, łagodny, przypomina coś z dziecięcego filmu przyrodniczego. Ale gdy kąsa, to nie pyta o powód ani o alergie. Potrafi zrobić bałagan w układzie odpornościowym. A jak ktoś ma pecha – to i w układzie krążenia. Klecanka rdzaworożna – wygląda niepozornie, ale ból po jej ugryzieniu porównywalny jest z potraktowaniem otwartej rany solą fizjologiczną wymieszaną z łzami zawodowego boksera. Ukąszenie trwa chwilę, echo zostaje na dni.

Żuwaczki pracowitości

Człowiek leży więc na kocu. Przymknie oczy. Myśli, że najgorsze już za nim. W końcu słońce grzeje, trawa łaskocze, dzieciaki ryczą w oddali – błogość. Aż tu nagle – jusznica deszczowa. Potocznie: mucha końska. Przylatuje, siada, wysysa krew i znika. Albo zostawia jajeczka. Te po kilku dniach zmieniają się w larwy. Merdające larwy. A te trzeba potem wycinać. Zwykle z pomocą skalpela. Czasem z modlitwą. Czasem też z narkozą, choć nie zawsze. A czasem – z płaczem, gdy larwy postanowią opuścić ciało przez naturalne otwory.

Ale jusznica to zaledwie wstęp. W parze z nią często podąża kolczak zbrojny – pająk, którego jad powoduje martwicę tkanek. Rana nie goi się tygodniami. Śmierdzi, ropieje, boli. I wymaga skalpela. Tarantula ukraińska – też bywa gościem nieproszonym. Potrafi się wgryźć sześć milimetrów w głąb – i zostawić prezent. Martwica, infekcja, ból. A jeśli pech, to i wstrząs anafilaktyczny. Natura nie rozumie kompromisów.

Nieco niżej w hierarchii strachu znajduje się oleica fioletowa. Przygnieć ją nieopatrznie – i już jesteś posmarowany kantarydyną. Substancją, którą porównuje się do kwasu siarkowego na dopalaczach. Jeśli trafi do ust – kończy się to intensywną terapią albo nekrologiem. Bo kantarydyna nie negocjuje.

A przecież są jeszcze mrówki. Nie te bajkowe, tylko te prawdziwe – leśne, czerwone, z żuwaczkami jak brzytwy. Jedna ugryzie i masz problem. Kilka – masz wojnę. A kolonia? To już armagedon pod kocykiem. Wścieklica zwyczajna – nazwa tej mrówy jest nieprzypadkowa. Agresywna, zorganizowana, bezlitosna. Wgryza się głęboko, zostawia bąble, wywołuje gorączkę. I sprawia, że nawet największy twardziel zaczyna się zastanawiać, po co właściwie wybrał się na piknik.

Ale to dopiero początek. Bo na sielskim niebie nad głową majaczą inne latające przekleństwa. Komary – i nie tylko te pospolite, domowe. Mowa o komarze tygrysim – egzotycznym przybyszu, który zadomowił się już na południowym zachodzie Polski. Wygląda jak komar z okładki horroru: czarno-biały, szybki, bezszelestny i zdeterminowany. Ale to nie jego wygląd przeraża, lecz to, co przenosi. Gorączkę Zachodniego Nilu, japońskie zapalenie mózgu, dengę, chikungunyę, wirusa Zika – pełną kartę chorób tropikalnych, które kiedyś oglądaliśmy tylko w filmach dokumentalnych, a teraz mogą trafić się po grillowaniu pod Wrocławiem.

Komary nasze rodzime wcale nie chcą być gorsze. Żądlą, swędzą, powodują reakcje alergiczne, a niektóre z nich mogą przenosić *Dirofilaria repens* – nicienia, który upodobał sobie życie pod ludzką skórą. Wędruje po ciele, osiedla się w powiece, mosznie, ramieniu, a czasem w jajniku. Chirurdzy w Polsce coraz częściej wyciągają go z ludzi. A wszystko zaczyna się od zwykłego ukąszenia komara podczas drzemki nad rzeką.

Bąbel w mózgu

Meszki – te drobne, czarne, ledwo widzialne kulki złośliwości – potrafią zdziesiątkować nie tylko stado bydła, ale i rodzinę na majówce. Ich ślina działa toksycznie, powodujące rozległe opuchlizny, trudne do leczenia reakcje alergiczne, a w skrajnych przypadkach – obrzęk krtani. A przecież nie gryzą raz. One gryzą z zapałem i w stadzie.

Kleszcze – nie trzeba ich nikomu przedstawiać. Borelioza i kleszczowe zapalenie mózgu to już epidemia. Ale są i nowości: hyalomma, afrykański kleszcz zbrojny w wirusa gorączki krymsko-kongijskiej. Choroba objawia się jak grypa, a kończy jak dżuma. Krwotoki, niewydolność wielonarządowa i śmiertelność jak w taniej powieści katastroficznej. Kleszcz ten biega – dosłownie. I potrafi cię znaleźć z odległości kilkudziesięciu metrów.

A jak już mówimy o zagrożeniach, to wchodzą do gry bąblowce. Ich jaja można znaleźć na jagodach, malinach, nawet trawie. Zakażenie tasiemcem bąblowcowym prowadzi do powstania torbieli w wątrobie, płucach, mózgu. Torbiele bąblowcowe osiągają średnicę od kilku do 30 cm. W torbieli takiej mieszkają sobie larwy tasiemca. Mogą ich być tysiące. Pęknięcie takiego tworu w mózgu to śmierć. A wszystko zaczyna się od jednego nieumytego owocu.

Przeciwdziałać tej plenerowej tragedii powinien zdrowy rozsądek.

A jednak mimo wszystko – mimo jadu, toksyn, larw, żądeł i wirusów – człowiek wciąż wstaje, pakuje koc i koszyk i jedzie w naturę. Bo natura piękna, bo trzeba się przewietrzyć, bo tak wypada.

Może tylko, zamiast rozkładać się na trawie, warto zamknąć się w aucie. Z klimatyzacją. Na ręcznym. I w odległości minimum 500 metrów od ostatniego drzewa. Choć 500 zł mandatu za wjazd do lasu to i tak mniej niż kasa za kremację, pogrzeb i stypę.

TOMASZ BOROWIECKI

Kraków – miasto zamknięte

Ile razy można wchodzić do tej samej Wisły?

Kraków uwielbia udowadniać, że logika i rozsądek są wartościami opcjonalnymi. Nie wystarczyło, że w 2019 r. urządzono na Kazimierzu miejskie laboratorium utopii, w którym zamiast szczurów testowano cierpliwość mieszkańców. Teraz miasto idzie dalej i od lipca funduje czystą strefę całemu miastu. Oczywiście w trosce o zdrowie i jakość życia tych samych ludzi, którzy, mimo że oddychają najbardziej rakotwórczym powietrzem między Bugiem a Odrą, żyją najdłużej w Polsce.

Tak, bo właśnie Krakowianie, mimo zawiesiny pyłów w płucach i wiecznej mgły siarkowej za oknem, mogą się pochwalić najdłuższą średnią długością życia spośród mieszkańców dużych polskich miast. Średnio 81 lat dla kobiet i 75 dla mężczyzn, i to bez potrzeby stosowania specjalnych diet – wystarczy oddychać ostrożnie.

Ale to już było

Pierwsza strefa czystego transportu miała być perłą w ekologicznej koronie Krakowa. Powstała na Kazimierzu, na obszarze wielkości rozbudowanego podwórka szkolnego. Była tak ciasna, że większy dostawczak przejeżdżał ją w trzy minuty, o ile akurat nie utknął w korku na Dietla. A skoro przy Dietla jesteśmy, to warto przypomnieć, że SCT otaczały z każdej strony zakorkowane arterie, z których spaliny docierały wprost do strefy czystości. Ale przecież czystość nie polega na tym, co się dzieje wokół, tylko na tym, co sobie urzędnik w regulaminie wymyśli.

Cała inicjatywa ruszyła w styczniu 2019 r. i od razu trafiła na mur oporu. Najpierw w postaci restauratorów z Kazimierza, dla których z dnia na dzień zniknęło 30 proc. klientów. Potem kupców z Placu Nowego, gdzie splajtowały stoiska z warzywami, starociami, a nawet ptakami z giełdy gołębi. Protestowali też mieszkańcy, którzy nie mogli zamówić paczki czy pizzy bez ryzyka, że kurier zostawi im przesyłkę na granicy strefy i pogna dalej. I wreszcie – rodziny osób starszych i niepełnosprawnych, które nie mogły ich już podwieźć do lekarza, chyba że chciały ryzykować mandat w wysokości pół tysiąca złotych.

„Nie możemy karać mieszkańców za brak infrastruktury. To jest nie do zaakceptowania" – grzmieli radni. „Zamiast wspierać biznes, fundujemy mu ekologiczny kaganiec" – mówił przedstawiciel krakowskiej izby gospodarczej. „Strefa uderza nie tylko w przedsiębiorców, ale i w zwykłych ludzi, którzy muszą jakoś dojechać do pracy czy lekarza" – dodawała inna radna.

Do ekologicznego raju mogły wjeżdżać tylko pojazdy elektryczne, wodorowe i na gaz ziemny. Ale już nie na propan-butan, bo posłowie, pisząc ustawę o elektromobilności, chyba myśleli, że LPG to skrót od „Ludu Pracującego Głupotą". Jakimś cudem dopuszczono karawany pogrzebowe i orszaki ślubne, bo najwyraźniej umarli i zakochani nie zanieczyszczają. W praktyce oznaczało to, że każdy, kto chciał zamówić pizzę albo lodówkę, musiał ją odebrać na granicy strefy i zasuwać z nią na plecach jak bohater westernu. A jeśli mieszkał na trzecim piętrze w kamienicy bez windy – cóż, Kraków nigdy nie był miastem dla mięczaków.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

I fontanna szlocha też

Kazimierz w kilka dni opustoszał, zniknęli spacerowicze, turyści i – co gorsza – klienci knajp. Handel przy Placu Nowym zdechł, jakby ktoś spryskał go środkiem na pluskwy. Płakali kupcy, restauratorzy i właściciele sklepów, którzy uznali, że lepszy smog z klientem niż czyste powietrze z pustym lokalem. Ratusz najpierw opowiadał bajki o podniesieniu komfortu pieszych, a potem skapitulował i zaczął wprowadzać wyjątki. Wpuścił hybrydy, fizjoterapeutów, a nawet ludzi, którzy po prostu oświadczą, że pracują w jakiejkolwiek firmie na Kazimierzu.

W marcu 2019 r.ww rada miasta skapitulowała. Uchwała została zmieniona tak, że strefa, choć formalnie istniała, straciła jakiekolwiek znaczenie praktyczne. Do jej granic można było wjechać niemal każdym pojazdem, o ile tylko zadeklarowało się, że jest się klientem lokalnej firmy. Straż miejska przestała wystawiać mandaty, a system identyfikatorów stał się reliktem. Dyrektor Zarządu Transportu Publicznego ogłosił: „W tej formie to wydmuszka. Wstyd dziś mówić, że Kraków ma Strefę Czystego Transportu".

eprasa.pl 97f5af6175

Pij, pij, pij, bracie, pij...

Wspomagajmy państwo czynem

Kiedy wysokie czynniki rządowe, ministerstwa wszelakie, w tym głównie zdrowia i skarbu, a także organizacje pożytku publicznego oraz mainstreamowe media zaczynają się troszczyć o nasze szlachetne zdrowie, to w najbliższym czasie spodziewać się należy znacznej podwyżki cen alkoholu. Tudzież wyrobów tytoniowych, niekiedy też masła oraz mięsa i jego przetworów, które niosą wszak za sobą miażdżycę, sklerozę i zabójczy cholesterol.

Pijani jak dziki

Zatrzymajmy się na gorzale – wszak gorzelnie są monopolistycznym producentem surowca, z jakiego wytwarza się legalnie płynący przez Polskę strumień wyrobów alkoholowych. Wystarczy porównać ceny produkcji, skupu i zbytu półproduktu wszech czasów, jakim jest spirytus. Gorzelnicy jako minimalną cenę opłacalności wymieniają 1,75 do maksymalnie 2 zł za jeden litr. Handel detaliczny za litr spirytusu rektyfikowanego 95 proc. winszuje sobie 160–170 zł; w niewielkim przybliżeniu sto razy więcej niż jego produkcja i skup.

Państwowy monopol spirytusowy – uwieczniony w nazwie sklepów „monopolowych" – to jednak raczej postulat niż rzeczywistość. Wódka, która nie zna granic ni kordonów i potrafi przekroczyć wszelkie bariery celne, w naszym rynkowym podziemiu kosztuje nie więcej niż 40 proc. tego, co w sklepie. Jeszcze taniej wychodzi nielegalnie pędzony bimber, który wytwarzają rodzinne „polmosy" w kameralnych, leśnych, piwnicznych i strychowych gorzelniach. Produkcja i sprzedaż zwykłej krzakówki czy księżycówki jest przestępstwem ściganym na mocy prawa, choć istnieje wyjątek: produkowana w domowych destylarniach przez górali nowosądeckich Śliwowica Łącka oficjalnie kosztuje ponad 150 zł za półlitrową flaszkę. Jest to jednak wyrób regionalny, produkowany i sprzedawany wyłącznie w tamtejszym regionie. Nowosądecczyzna nie jest jednak jedynym, ani nawet głównym centrum polskiego bimbrownictwa. Powiadają wszak, że na Podlasiu tylko czas nie pędzi!

W puszczańskich ostępach powstaje samogon wcale nie gorszy niż w okolicach Łącka, a na pewno lepszy niż oficjalna wóda z polmosów. Powstaje za cichym przyzwoleniem stróżów porządku: poukrywane po lasach destylatory z zasady nie budzą zainteresowania straży leśnej nawet wtedy, kiedy wyrzucony za ziemię zacier powoduje, że okoliczne dziki zaczynają się dziwnie zataczać. Dopiero polowanie na takie zwierzę sprowadza na bimbrownika poważne konsekwencje – bimbrowniczo-kłusownicza etykieta mówi wszak, że do pijanych dzików się nie strzela. W tych niezwykłych warunkach rodzą się trunki o poetyckich nazwach: obok Ducha Puszczy i Łez Sołtysa region szczyci się też Kopnięciem Łosia. Nie są to jednak trunki dla zwykłych moczymordów – ich ceny przekraczają niekiedy koszt whisky czy koniaku.

Przemyt i bimber znacząco wpływają na zasobność państwowego portfela. Władza – kto by przy niej nie był – bardzo liczy na wódczane podatki. Wpływy z akcyzy na napoje alkoholowe w ostatnich latach wynosiły średnio 15 mld zł. Do tego dochodzi jeszcze VAT; około 7 dużych baniek rocznie. I to nie koniec.

Rys. WIDGET

Mądry jak Kołodko

Oprócz akcyzy i VAT-u państwo postanowiło pobierać dodatkową opłatę od sprzedaży alkoholu w opakowaniach do 300 mililitrów – wpływy z niej tylko w tym roku przekroczą miliard, a może nawet półtora miliarda złotych.

Specjaliści od uzależnień – i ci od finansów – zauważyli bowiem, jak to skacowany statystyczny Kowalski zaiwania co rano po statystyczną setkową małpkę. Statystyczny Kowalski zauważył w tym czasie, że dokładnie w cenie trzech statystycznych małpek kupi sobie normalną półlitrową flaszkę tej samej gorzały. Specjaliści od uzależnień i ci od finansów doskonale jednak wiedzą, że Kowalski, jeśli tę flachę będzie już miał, to walnie ją jeszcze przed południem, a wieczorem przybiegnie do sklepu po małpkę, a może nawet kolejne pół litra, bo dwie setki będzie miał za friko! Kowalski może nie myśli, ale kalkulować potrafi.

Rynek napojów alkoholowych w Polsce jest wart ok. 57 mld zł. Branża mocnych alkoholi jest jednym z ważniejszych płatników generującym miliardowe wpływy do sektora finansów publicznych. Wysokie obciążenie podatkiem VAT i akcyzą powodują, że sektor ten jest szczególnie narażony na szarą strefę. Najwyższa Izba Kontroli w czasie jednej ze swoich akcji, na jednym tylko przejściu granicznym, zidentyfikowała wwóz z Ukrainy do Polski 52 mln litrów alkoholu 100-procentowego, od którego oczywiście nie odprowadzono akcyzy. Taka ilość pozwala na produkcję 130 mln litrów wódki – czyli ponad 8 półlitrówek na głowę każdego głosującego Polaka. Trafił się jednak wśród decydentów wiceprezes Rady Ministrów i minister finansów w latach 1994–1997 i 2002–2003, Grzegorz W. Kołodko: profesor nauk ekonomicznych, twórca Programu Naprawy Finansów Rzeczypospolitej. To ten ekonomiczny strateg spowodował, że na początku października 2002 r. Ministerstwo Finansów zmniejszyło akcyzę na wyroby spirytusowe o 30 proc.: z 6278 zł na 4400 zł od 100 litrów czystego spirytusu. W uzasadnieniu tej decyzji napisano, że obniżenie stawek akcyzy zbliża ich poziom do krajów sąsiednich i części państw europejskich. Według Ministerstwa Finansów obniżka miała zniechęcić czarny rynek do produkcji i sprzedaży rodzimej księżycówki oraz nielegalnego importu, zapewniając tym samym konkurencyjność legalnych krajowych firm.

Obniżenie akcyzy oburzyło wielu tabloidowych polityków. Spowodowało jednak – zgodnie z założeniami Kołodki – zmniejszenie przemytu, a także produkcji i podaży rodzimej krzakówy. Wzrost spożycia legalnego alkoholu zamortyzował negatywne dla budżetu skutki obniżenia podatku. Profesor Kołodko zamierzał dalej redukować akcyzowy haracz: polska stawka akcyzowa stanowiła wówczas równowartość 1034 euro za sto litrów, gdy minimalna akcyza w Unii Europejskiej wynosiła tylko 550 euro za 1 hektolitr. Nie zdążył.

Bogaci jak Al Capone

Pozorna walka z alkoholizmem znana jest na świecie od wieków i nigdy nie przyniosła zamierzonych rezultatów. Przykładem drastycznym takich nieprzemyślanych działań jest amerykańska prohibicja wprowadzona w życie 17 stycznia 1920 r. „Ustawa Volsteada" – jak od nazwiska wnioskodawcy potocznie nazywano Narodową Ustawę o Prohibicji – została uchwalona przez Kongres mimo weta prezydenta Woodrowa Wilsona 28 października 1919 r. Miliardową fortunę zbił na niej Alphonse Gabriel Capone oraz jego kumple i konkurenci. Choć ustawa zakazywała produkcji, sprzedaży i transportu alkoholu, to w 1925 r. w samym tylko Nowym Jorku funkcjonowało około 100 tys. klubów, w których można było napić się nielegalnej whisky. Polski rynek alkoholowy ma trochę inną specyfikę; inną zatem formę prohibicji postanowiono u nas forsować. Koncepcje ograniczenia dostępu do alkoholu dotyczą głównie sprzedaży detalicznej w określonych godzinach. Rada m.st. Warszawy rozważa prohibicję nocną, od 23:00 do 6:00, w sklepach i na stacjach benzynowych. Ograniczenie nie dotyczyłoby jednak knajp i barów; tam spożywać będzie można bez ograniczeń, ale za to za gastronomiczną – często astronomiczną – cenę. Jestem dziwnie pewny, iż nie skłoni to Warszawiaków do nocnej trzeźwości. Zapobiegliwi odpowiednią ilość kupią sobie wcześniej; dla niezapobiegliwych będzie ul. Pokątna z zawsze czynną meliną.

Najjaśniejsza Rzeczpospolita nie od dziś jest państwem nakazów i zakazów: nasz bohaterski król Bolesław Chrobry za nieprzestrzeganie postów kazał poddanym wybijać zęby. Dziś rozporządzenia, zarządzenia i decyzje lokalne dyktują nam, gdzie możemy się kąpać, spacerować, grać w piłkę czy pić alkohol. Łamanie zakazów i nakazów karane jest grzywną bądź aresztem. Zakazy i nakazy mają w głębokim poważaniu gusta, zwyczaje i wygodę obywateli.

Władza – tym razem wyższa, unijna – oprócz wzorców opakowań postanowiła narzucać nam nawet smaki i upodobania, delegalizując chociażby mentolowe papierosy, choć np. w Polsce połowa palącej populacji preferuje produkt z miętową nutą. Batalia o wódkę w saszetkach wzburzyła polityków i media bardziej niż niejeden szwindel. Tymczasem oczywiste jest, że przestępstwo popełnia ten, kto dziecku alkohol podaje, a nie ten, kto go produkuje. Za zabójstwo nie odpowiada wszak producent broni, tylko ten, co za spust pociągnął! Widziałem wielokrotnie alkohol w butelce w kształcie sztucera czy galopującego konia. Nikt jednak nie próbował z tego strzelać ani wierzchowca dosiadać.

Swoistą ciekawostką socjologiczną w polskim systemie opieki społecznej jest porównanie wysokości świadczenia z tytułu renty alkoholowej i socjalnej.

Renta alkoholowa od marca 2025 r. wynosi 1878,91 zł. Renta socjalna to – od 1 czerwca – 1029,80 zł brutto. Dlaczego? Ano dlatego, że 90 proc. tej pierwszej wróci do skarbu państwa w postaci akcyzy i podatku VAT od zakupionej przez rencistę gorzały,

a ta socjalna pójdzie na jakieś głupie ziemniaki, mleko i chleb. Nie samym chlebem jednak żyje człowiek. Okowita wszak w uproszczonym tłumaczeniu oznacza „wodę życia".

TADEUSZ GAWLIK

I jeszcze raz

Ale przecież nie ma takiej kompromitacji, z której krakowski magistrat nie zrobiłby fundamentu pod kolejną inicjatywę. Od 1 lipca SCT obejmie prawie całe miasto. Prawie, bo przecież trzeba zostawić luki dla parkingów P&R i szpitali. Pytanie tylko, gdzie są te parkingi? Otóż miasto dorobiło się dziesięciu. Dziesięciu. W stutysięcznym mieście mogłoby to robić wrażenie. W Krakowie – śmiech na sali. W sumie 1625 miejsc, czyli wystarczy dla tłumu turystów z dwiema wycieczkami szkolnymi i trzema rodzinami z Bochni. A potem jeszcze kazano im się przesiąść w tramwaj, który w godzinach szczytu przypomina konserwę z sardynkami. Ale ekologiczną, bo z prądu.

Wisienką na torcie są oczywiście opłaty za wjazd do miasta starym autem – 2,50 zł za godzinę albo 500 zł miesięcznie. Bo widać nie chodzi tu o ekologię, tylko o budżet. A jak można go nabić, łupiąc kierowców z Podhala, to czemu nie? Za te pieniądze nie powstanie ani nowy parking, ani buspas, ale za to można będzie rozdać parę etatów i zrobić kampanię informacyjną o tym, jak bardzo miasto walczy o czyste powietrze.

Jeszcze zabawniejsze są wyjątki.

Kościelne pojazdy mogą jeździć bez ograniczeń, organizacje pozarządowe też, o ile mają dobre intencje i siedzibę w Krakowie. Urzędnicy, sądy, prokuratury, ministerstwa – wiadomo, ich spaliny pachną kadzidłem.

„To absurdalne. Dlaczego samochód należący do ministerstwa może truć, a auto Kowalskiego już nie?" – pytają radni. A że trzeba się zarejestrować i dostać naklejkę? Cóż, najważniejsze, żeby obywatel poczuł ciężar urzędniczego błogosławieństwa na szybie.

A co na to rynek nieruchomości? Średnia cena za metr kwadratowy w Krakowie spadła o 1,41 proc. od początku 2025 r., a prognozy zakładają wzrost do końca roku. W dzielnicach objętych SCT ceny trzymają się mocno, w peryferyjnych – niekoniecznie.

I właśnie tu pojawia się kolejna kontrowersja – system Park & Ride, który miał być kołem ratunkowym dla kierowców, wciąż kuleje. W teorii – parkujesz na obrzeżach i przesiadasz się w wygodny tramwaj lub autobus. W praktyce – tramwaj nie przyjeżdża, a autobus jest tak zatłoczony, że przypomina beczkę ze śledziami. „Próbowaliśmy, serio – trzy razy zostawiłem auto w P&R w Kurdwanowie. Za każdym razem czekałem ponad 20 minut na tramwaj, a potem jechałem w ścisku jak w latach 80." – mówią na forach internetowych ludzie dojeżdżający do Krakowa do pracy. Wielu mieszkańców i przyjezdnych skarży się, że transport publiczny jest niewydolny i nieprzewidywalny.

System przesiadkowy, który miał być kręgosłupem SCT, wciąż wygląda jak szkic w zeszycie studenta architektury. Brakuje wygodnych połączeń, rozkłady jazdy nie są zsynchronizowane, a informacja pasażerska przypomina łamigłówkę.

A ile ta odsłona ekologii w Krakowie potrwa? Zapewne do pierwszego protestu restauratorów albo do chwili, gdy ktoś z magistratu będzie musiał przetransportować lodówkę swojej cioci na trzecie piętro. Można więc być pewnym, że i tym razem SCT potrwa tyle, ile trzeba, żeby przyznać, że nic z tego nie wyszło. A potem będzie nowa koncepcja, nowa mapa i nowa opłata...

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 97f5af6175

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Unijni neomarksiści w Polsce tak bardzo nienawidzą Kościoła katolickiego i wartości, które reprezentuje, ponieważ doskonale zdają sobie sprawę, że Polska wciąż istnieje jako suwerenny naród przede wszystkim dzięki Kościołowi i jego świętym pasterzom: Karolowi Wojtyle i Stefanowi Wyszyńskiemu.* ***Polska przetrwała, bo w jej historii byli bohaterscy patrioci, w tym polscy żołnierze i mężowie stanu, którzy naszą ojczyznę zawierzyli opiece Maryi, Matce Najświętszej. Szatan panicznie boi się odważnych i wierzących Polaków-patriotów.***

o. Jacek Dąbrowski, X, 28 maja

■ *Dla ludzi, którzy jedyną nadzieję pokładają w tym świecie, ideologie, wybory i politycy, stają się bożyszczami. (…)* ***Zachęcam, aby patrzeć głębiej i dalej niż doczesność.***

ks. Janusz Chyła, X, 26 maja

■ *Możesz politycznie być przeciwnikiem Prezydenta elekta, ale jeśli masz w sobie pogardę, nienawiść i uważasz się za lepszego, choć teraz skrzywdzonego przez wybór większości Polaków –* ***przegrałeś nie w wyborach o prezydenta, ale z samym sobą i złym duchem. Opamiętaj się!***

ks. Daniel Wachowiak, X, 3 czerwca

■ ***Mieszkam w najbardziej zlewaczałym miejscu w Polsce.*** *Zapewniam, że moralnego kręgosłupa poznaniaków już od dawna nie ma. Są wysepki szacunku w morzu pogardy do Tradycji, Prawdy, prawa naturalnego…* ***Ten stan wpływa na trud głoszenia ewangelii. Ludzie są pyszni i bardzo zagubieni.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 2 czerwca

■ ***Na Jagodnie flagi KFC opuszczone do połowy.*** *Ktoś wie dlaczego?*

ks. Marcin Januszkiewicz, X, 2 czerwca

■ *Dziś rodzice inwestują w intelektualny rozwój swoich dzieci, zapominając, że sam intelekt nie wystarcza. (…) Nie bójmy się tego powiedzieć.* ***Dziś wiele problemów wychowawczych bierze się z tego powodu, że nie ma równomiernego rozwoju ducha, Kościół to dostrzega. Moim zdaniem lekcje religii w szkole są konieczne i ważne, żeby były dowartościowane.***

ks. Marek Studenski, opoka.org.pl, 28 maja

■ *Znamienne jest, jak wysoki jest współczynnik poczucia zadowolenia z życia u osób, które trafnie rozpoznały swoje powołanie i je wypełniają (np. przez rodzicielstwo, małżeństwo, kapłaństwo, poświęcenie Bogu w samotności).* ***Osoby, które (…) potraktowały swoje życie bardzo płytko, pomimo „korzystania z życia" uważają się za nieszczęśliwe i często zmuszone są korzystać z pomocy terapeutów.***

ks. Sławomir Kostrzewa, „Nasz Dziennik", 28 maja

■ *Myśmy wczoraj z prezydentem elektem na zakończenie jego wizyty w pałacu poszli we dwóch do kaplicy prezydenckiej. Klęknęliśmy razem i modliliśmy się. Każdy w ciszy. Nie wiem, jakie były słowa modlitwy Karola Nawrockiego, ale mogę powiedzieć, jakie były moje.* ***To była modlitwa do Ducha Świętego o oświecenie dla niego, ile razy znajdzie się przed koniecznością podjęcia trudnej decyzji.***

Andrzej Duda, Radio Wnet, 4 czerwca

■ *Pan Bóg nie będzie nam błogosławił, jeśli się od Niego jako Naród odwrócimy. My wszyscy musimy odwrócić się od złych dróg.* ***To, że prezydent elekt zacytował słowa Boże z Pisma Świętego, to jest prorockie wołanie. Pan Bóg posługuje się świeckimi. (…) To nie kapłan, nie biskup to mówił, ale świecki, prezydent elekt. To nie była żadna bigoteria. Pan Bóg tak działa: wzbudza w ludzie swoich proroków, bo my wszyscy uczestniczymy w kapłaństwie Jezusa Chrystusa.***

o. Tadeusz Rydzyk, Radio Maryja, 7 czerwca

Wybrał **KLECHA**

Prawdziwy koniec celibatu

Za sutanną panny bandą

Ksiądz to też chłop. A chłop poruchać musi – głosi mądrość ludu polskiego. Patrząc okiem pisarza Emila Zoli – natury nie oszukasz, zwierzęce pożądanie zawsze wygra z cienką warstewką kultury. A jednak wielu panów w sukienkach próbuje udawać, że Pan Bóg nie obdarzył ich seksualnością. Że oni są ponadto. Są wszak osobami „duchownymi", a nie – jak ta reszta hołoty – cielesnymi, grzesznymi, znajdującymi się w sidłach pożądania.

Ciekawe światło rzuca na tę kwestię niedawno opublikowana książka „Połamany celibat", autorstwa prawowitej katoliczki, teolożki i byłej katechetki, Moniki Białkowskiej.

Urodziła dziecko księdzu

Najzabawniejszy jest powód napisania książki. Otóż w małym miasteczku, gdzie mieszkała Białkowska, gruchnęła wieść, że zaciążyła z księdzem. Wścibscy ludzie bacznie obserwowali jej brzuch. Uczniowie, których uczyła religii, przekonywali, że specjalnie „tak wyliczyła", by urodzić w zimowe ferie i od razu wrócić do pracy.

Źródłem plotki był inny ksiądz, który opowiadał o tej rzekomej ciąży uczniom na katechezie. Kobieta przyjaźniła się ze swym domniemanym „kochankiem", co już wystarczyło, żeby uruchomić wyobraźnię kleszego kolegi po fachu – co skądinąd więcej mówi o nim niż o rzekomych kochankach. Przyjaciele razem odmawiali brewiarz, ale nie przerabiali kolejnych pozycji Kamasutry.

Białkowska przekonuje: „Jeśli każda relacja rodzić będzie domysły, jeśli każda przyjaźń stawiać będzie lokalną społeczność na baczność i budzić w niej agentów wywiadu, księża będą się bać tego, bez czego nie można żyć: przyjaźni, relacji niemal rodzinnych, choć bez więzów krwi. Wiem, że takie relacje są możliwe".

„Połamany celibat" opowiada historię byłych księży i kobiet, które się z nimi związały. Autorka wykonuje dość dobrą robotę, choć niekiedy moje lekkie zdziwienie budzi nieskończona wręcz naiwność wywodów. Choć być może, gdybym wychowywała się w domu zawsze pełnym księży („Przez trzy pokolenia żaden z nich w tym domu nie został uwiedziony. Takie domy są potrzebne i trzeba umieć je budować"), to też bym wzruszała się przy byle okazji.

Dużym minusem książki jest brak odwołań do badań, które w Polsce przez dekady prowadził nieżyjący już poznański socjolog Józef Baniak – katolik, ale uczciwy człowiek, a nade wszystko rzetelny naukowiec. Brak tego nazwiska w „Połamanym celibacie" uważam za spory błąd, bo nienaganne metodologicznie badania Baniaka pozwoliłyby nabrać pewnego dystansu do omawianej materii i pogłębić rozważania, chwilami jednak powierzchowne.

W wydanej w 2001 r. książce „Rezygnacja z kapłaństwa i wybór życia małżeńsko-rodzinnego przez księży rzymsko-katolickich w Polsce" Baniak pisze, że paradoksalnie zawód księdza sprzyja łamaniu ślubu czystości seksualnej: „Kobiety zaprzyjaźnione z księżmi nie akceptują ich celibatu i samotności, zwłaszcza wtedy, kiedy widzą, że również sami księża mają kłopoty z własnym powołaniem kapłańskim i z wiernością ślubowi czystości. W takich sytuacjach dostrzegają one – jak stwierdzają respondenci – w zaprzyjaźnionych kapłanach kandydatów na trwałych partnerów seksualnych czy też kandydatów na mężów, ułatwiają księżom decyzję i działania prowadzące ich do rezygnacji z urzędu kapłańskiego i do małżeństwa ze sobą".

Uczony podkreśla, że ci właśnie księża, zanim zrezygnowali z kapłaństwa i ożenili się, przez kilka lub kilkanaście lat żyli w związkach kohabitacyjnych lub konkubenckich: „Jeśli w tym pierwszym przypadku (kohabitacja) łączyła księży z kobietami jedynie silna więź erotyczno-seksualna, to w związkach konkubenckich niektóre kobiety były już matkami ich dzieci. Czasowość obu typów więzi była różna, jednak z reguły trwalsze były związki konkubenckie, a często przeradzały się one – za obopólną zgodą partnerów (księdza i jego kobiety) – w trwałe związki czy wspólnoty małżeńsko-rodzinne o trwałym charakterze".

Bo we mnie jest seks

W Księdze Rodzaju, bratobójca Kain, na filuterne pytanie wszechmocnego i wszechwiedzącego Boga, gdzie jest Abel, odrzekł: „Czy ja jestem stróżem mego brata?". Mnie ani grzeje, ani ziębi aktywność seksualna księży – hetero- i homoseksualna. Dopóki nie biorą się za dzieci, nie gwałcą i nie wymuszają innych czynności seksualnych, nie wykorzystują seksualnie bezradności, ograniczonej poczytalności, stosunku zależności lub krytycznego położenia – generalnie, nie spełniają znamion czynów ujętych w w rozdziale XXV k.k. – to mam wyjebane. Niestety, takich kryminalnych i podłych aktów księży jest dużo za dużo i zdecydowanie za często pozostają one niewykryte lub nieukarane w sensie karnym, bo sprawiedliwość kanoniczna jest wewnętrzną sprawą kościelną.

Zresztą, jak donosi seksuolog Andrzej Gryżewski, coraz częściej księża – zamiast po zażyciu narkotyków korzystać z kurew płci obojga – wciągają coś, aby urządzać sobie wielogodzinne seanse masturbacji. Widocznie doszli do wniosku, że „zręczność małpy, siłę słonia daje ranne bicie konia" czy też, jako patrioci, biją Niemca po hełmie. Wzruszam tylko ramionami i polecam wizyty u specjalistów.

„Połamany celibat" przepojony jest myślą, że każdy ma prawo do miłości. Trudno odmówić temu racji. Przy czym autorka słusznie zauważa, że najwyższą cenę za taki „grzeszny" związek ponosi kobieta, która „uwiodła" proboszcza, wikarego czy zakonnika. Co mi przypomina „Historię pewnej miłości" zespołu The Bill: o tych, co się kochali miłością prawdziwą, choć mąciło im spokój „porannej mszy codzienne odprawianie", a „on spóźniał się na ranne modlitwy".

Koniec tej opowieści był smutny:

„Razu pewnego stała się rzecz straszna,
On nie miał kondoma, ona w ciążę zaszła.
Jemu jakoś wszyscy wybaczyli,
A ją na stosie żywcem spalili".

W książce Białkowskiej zdecydowanie brakuje wątków ludycznych, które od zawsze towarzyszyły obrazom seksualności księży. W rozmowie z Markiem Sekielskim na YouTubie autorka wspomniała stary dowcip, że ksiądz to jest ten facet, do którego obce dzieci mówią „ojcze", a własne – „wujku". Co mi przypomniało dowcip o zakonniku, który przepisywał stare księgi dotyczące bezżeństwa księży i wybiegł z krzykiem z sali, bo przeczytał w nich oryginalny nakaz: „Żyj w celi, bracie!". Plus znany dowcip o dwóch księżach, którzy wyrazili nadzieję, że choć oni pewnie nie dożyją końca celibatu, to ich dzieci – już może tak.

Księża nie żyją na jakiejś bezludnej wyspie, lecz w społeczeństwie. A polskiemu katolicyzmowi daleko od pryncypialnego przestrzegania przykazań, włącznie z szóstym. W niejednej parafii ksiądz sprowadza dziwki, w innych – jawnie żyje z kuzynką. No i, jak wyjaśnił pewien proboszcz z Wrocławia w rozmowie z „Wyborczą" w zeszłym roku: „Pieniądze z tacy nie są na działalność ewangeliczną, tylko na dobrostan parafii. A więc na masaż erotyczny również".

Do kościoła nie chodzę, na tacę nie daję, więc mnie powyższe podejście nieszczególnie oburza. Nie podoba mi się tylko zakłamanie: niech klecha z ambony uczciwie powie, że z dzisiejszej tacy 500 zł idzie na buty mego syna, a za kasę z pogrzebu kupię kochance seksowną bieliznę.

Jak sobie pomyślę, że żyjąca z marnej renciny koleżanka mojego brata co miesiąc daje 200 zł „na misje", to nie chcę jej sprawiać przykrości, sugerując, że być może w gruncie rzeczy sponsoruje ona seksmisje.

Brytyjski marksista i teoretyk kultury Terry Eagleton napisał kiedyś, że w każdym społeczeństwie kwestie seksualne muszą być jakoś uregulowane, bo seksualność jest tak potężną siłą, że inaczej rozerwałaby każdy system społeczny. Białkowska w rozmowie z Sekielskim mówiła, że Kościół zniesie celibat za – być może – 150 lat. Boże młyny mielą powoli, lecz kolejne półtora stulecia tej martwej litery prawa przyczyni się tylko do kolejnych zbrodni seksualnych i nasilania fiksacji kleru na punkcie ciała. A z tego nikomu nic dobrego nie przyjdzie…

Z.J.

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Pracujący w Wielkiej Brytanii, a pochodzący z Rabki Zdroju ksiądz Piotr Glas został skazany przez Królewski Sąd Hrabstwa Jersey na pięć lat pierdla za czyny lubieżne wobec dziecka, do których doszło w latach 2004–2007, gdy pracował na wyspie Jersey. Klecha otrzymał zakaz kontaktu z ofiarą oraz nakaz pokrycia kosztów jej terapii w wysokości ponad 12 tys. funtów. Serdecznie gratulujemy.

✚ W sądzie w Radomiu (woj. mazowieckie) ruszył proces księdza Mariusza W., byłego dyrektora Krajowego Biura Organizacyjnego Światowych Dni Młodzieży. Duchowny jest oskarżony o wykorzystywanie seksualne młodych kobiet i podżeganie do składania fałszywych zeznań. Ponadto klecha miał podawać swoim ofiarom substancję wywołującą stopniowy zanik pamięci i świadomości. Do siedmiu przestępstw doszło w latach 2011–2021. Decyzją sądu proces został w całości utajniony. Ks. Mariusz W. nie przyznaje się do winy.

✚ 21 maja Sąd Okręgowy w Poznaniu skazał na dwa miesiące więzienia w zawieszeniu na trzy lata ekskomunikowanego, lecz wciąż aktywnego liturgicznie księdza Michała W. Mężczyzna został uznany za winnego znieważenia podczas swoich kazań najwyższych władz państwowych – prezydenta Andrzeja Dudy, premiera Donalda Tuska i marszałka sejmu Szymona Hołowni. Wobec prezydenta RP były salezjanin użył takich określeń jak: „bubek", „faryzeusz", „gnojek" i „śmierdziel". Marszałka sejmu określił mianem „chłystka", a premiera „zdrajcą" i „szumowiną". Pamiętając poprzednie wyskoki W. i wnioskując po kalibrze epitetów, wnosimy, że ksiądz Michał podczas kazań nie był w swojej szczytowej formie.

✚ Projekt nowej brytyjskiej ustawy o przestępczości i policji, która zakłada, że katoliccy księża, którzy podczas spowiedzi dowiedzą się o molestowaniu seksualnym dzieci, muszą zgłosić penitentów policji, nie spodobał się jezuicie Łukaszowi Sośniakowi. „Księża nie będą łamać tajemnicy spowiedzi, nawet pod groźbą więzienia. Poza tym ta zapowiedź zmiany brytyjskiego prawa to gra pod publiczkę – niby jak stwierdzić, czy spowiednik coś usłyszał, czy nie? Nawet jeśli takie prawo wejdzie, to będzie martwe" – napisał duchowny w serwisie X. Prześladowania księży nie ustają.

✚ 15 czerwca w sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Krzeszowie odbędzie się Narodowa Pielgrzymka Dziękczynna z okazji wyboru Karola Nawrockiego na prezydenta RP. Program obejmuje mszę świętą, zwiedzanie sanktuarium połączone z lekcją historii księstwa świdnicko-jaworskiego oraz rozmowy przy grillu o Polsce. Przepychanie Ciała Chrystusa kiełbasą w układzie trawiennym zakrawa na obrazę uczuć religijnych.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 97f5af6175

Pląsy i dąsy w Rybniku

Kaplica św. Quentina

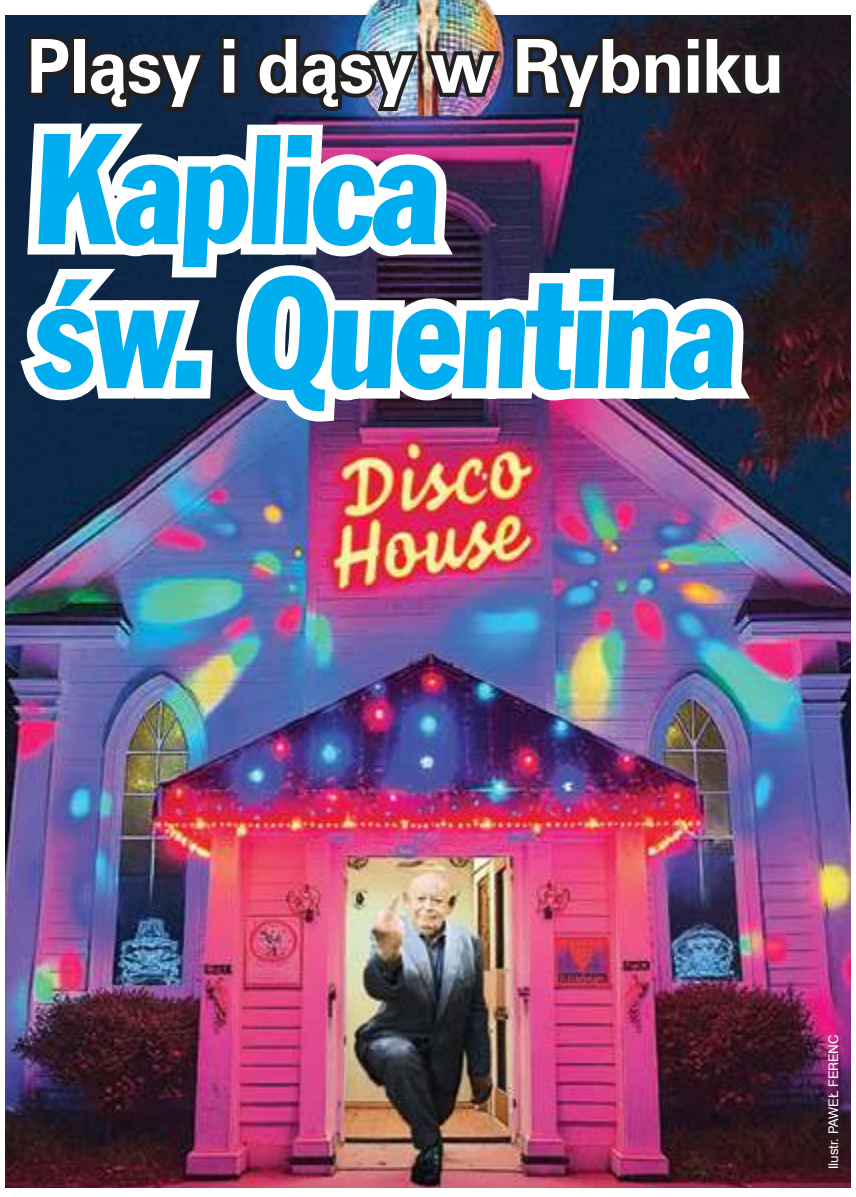

Ilustr. PAWEŁ FERENC

„Chrześcijanin tańczy, tańczy, tańczy” – śpiewał, podrygując z dziećmi w programie „Ziarno”, bepe Antoni Długosz. Ten sam, który wychwalał PiS za program 500 plus, a Morawieckiego nazwał na Jasnej Górze ewangelistą Mateuszem. W tymże „Ziarnie” największy z Polaków JP2 na pytanie dziewczynki, czy można tańcem wielbić Boga, odpowiedział memicznym: „A można, jak najbardziej, jeszcze jak!”. Ale nie każdy taniec się Panu Bogu podoba – a o tym, który jest pobożny, a który bezbożny, decyduje jego naziemny personel.

Bang Bang

W rybnickiej kaplicy zorganizowano potańcówkę. Brzmi jak jeden ze znaków apokalipsy, a co najmniej 2137. symbol upadku cywilizacji chrześcijańskiej. Jeśli dodać do tego, że w kaplicy św. Juliusza odbyła się impreza pt. „Bang Bang Dance Party”, to różaniec sam otwiera się w kieszeni. „Pod kopułą, gdzie niegdyś szeptano modlitwy, zabrzmi elektroniczny puls Lulu Maliny – topowej DJ-ki o międzynarodowej pozycji, której sety balansują między delikatnością a ogniem” – tak reklamowano balangę, przyprawiając o palpitacje pobożniejszych rybniczan i pozamiejscowych, którym na sercu leży dochowanie wiary przodków.

Groźnie brzmiące dla katolików wydarzenie odbyło się w obiekcie, który dawno już nie służy celom religijnym. Kościelna nauka przewiduje bowiem odebranie nieruchomościom magicznych mocy. Ludzki chrzest jest podobno niezmywalny, ale już poświęcone budynki mogą być odświęcone i posłużyć choćby jako burdel, choć wiele świątyń nie takie sceny widziało nawet w trakcie swojej aktywnej służby Bogu. Tak czy owak, rybnicka kaplica została już jakiś czas temu zdesakralizowana, nikt bogobojny nie zdecydował się jej kupić, a nowy właściciel uznał, że będzie to właściwa przestrzeń dla performensu DJ-ki i ekstatycznych tańców wielbicieli Quentina Tarantino. Rybnicka impreza nie była w założeniu obrazoburcza, organizatorzy zapowiadali ją jako „podróż przez dźwięk, światło i mistykę” inspirowaną twórczością reżysera „Pulp Fiction”.

Szepty oburzenia

Tu i ówdzie wprawdzie usłyszano głosy oburzenia, ale nie były one tak donośne, jak jeszcze niedawno można się było spodziewać. Nie oprotestowały imprezy pisowskie bojówki, a orężne hufce rodziny Radia Maryja nie omadlały exkaplicy w dniu techno party. Rozleniwili się obrońcy wiary, ale można im wybaczyć, bo mieli akurat do pilnowania wybory, których stawką była kondycja całego Kościoła kat. w Polsce, a nie pojedynczej jego ekspozytury. Wszelako aktualny gospodarz kaplicy – Fundacja na rzecz Ochrony Dóbr Kultury – wydał uspokajające oświadczenie.

„Kaplica już od wielu lat nie jest miejscem sakralnym, dlatego jej nowe funkcje są zgodne zarówno z obowiązującym prawem, jak i wcześniejszą decyzją Kościoła. Rozumiemy, że niektóre wydarzenia mogą budzić emocje. Jesteśmy otwarci na dialog i liczymy na konstruktywną rozmowę o przyszłości tego cennego miejsca. Kaplica św. Juliusza to fragment historii Rybnika, który – dzięki wspólnemu wysiłkowi – może służyć nowym pokoleniom” – tłumaczą oburzonym nowi właściciele. Ale, jako się rzekło, stosy w Rybniku nie zapłonęły, tylko pojedynczy internetowi krzykacze ruszyli do krucjaty w obronie świątyni. Ci, którym bardziej przeszkadza bang bang w kaplicy, niż gang bang na plebanii. Gatunek na szczęście ginący.

Kościół św. Urbana

20 lat temu byłby krzyk, lament i zgrzytanie zębów. Polski prekursor urządzenia dyskoteki w kościele, Jerzy Urban, w 2003 r. zapowiedział, że kupi kościół w Dalikowie (woj. łódzkie). Świątynia miała zostać zlicytowana po tym, jak na 14-latkę spadł konar drzewa na miejscowym cmentarzu, powodując uraz kręgosłupa dziewczynki. Kuria nie mogła się dogadać z jej rodzicami – czytaj: chciała dać za mało hajsu – ale sąd po latach batalii stanął po stronie ofiary. Ponieważ zasądzone niemal pół miliona zadośćuczynienia i dożywotnia renta przekraczały skromne ponoć możliwości parafii, miało dojść do licytacji komorniczej. Wówczas chęć nabycia obiektu zgłosił Urban.

– Wysłałem swoich przedstawicieli, żeby zorientowali się, ile to będzie kosztowało. Chciałbym kupić ten kościół pod warunkiem, że nie będzie zbyt drogi. Co w nim zrobię? Zastanawiam się nad dyskoteką – mówił Urban dziennikarzom.

Do licytacji ostatecznie nie doszło, ale kościółkowe media wieszczyły koniec świata. Założyciel „NIE” jawił się wówczas jako piąty jeździec apokalipsy zwiastujący powtórne nadejście Chrystusa i sąd ostateczny. „W całą sprawę wmieszał się »pierwszy polski antyklerykał« Jerzy Urban, który wyraził chęć kupna licytowanego kościoła. Chciałby w nim otworzyć dyskotekę, a w miejscu plebanii – jak wieść niesie – agencję towarzyską” – straszył czytelników „Przewodnik Katolicki”. I dodawał złowieszczo: „Patrząc na setki opuszczonych kościołów i świątyń, spełniających funkcje zgoła różne od ich pierwotnego przeznaczenia, nie można oprzeć się wrażeniu, że oto na naszych oczach wypełniają się proroctwa Apokalipsy św. Jana”. Na początku XXI w. hasło „dyskoteka w kościele” wywoływało bowiem natychmiastową konkluzję, że w Polsce jest już „jak na Zachodzie” – i nie był to bynajmniej komplement.

Ładne imię Tradycja

Mierząc tą miarą, od dawna jesteśmy już „na Zachodzie”. Wiele zdesakralizowanych budynków służy celom kulturalnym, zwłaszcza na Dolnym Śląsku. Weźmy choćby salę teatralną w Srebrnej Górze, „Perłę Żeliszowa” – wielofunkcyjną arenę kulturalną czy halę sportową w Lubinie. Również Muzeum Rybołówstwa w Helu mieści się w poewangelickim kościele Świętych Piotra i Pawła…

No właśnie: są to głównie kirchy luterskie lub synagogi żydowskie, a w świątyniach heretyków i parchów Boga przecież nie ma, stąd i lud katolicki nie biada nad bluźnierstwem. Prawda jest jednak taka, że bezczeszczenie świątyń – i to tych prawdziwych, rzymskokatolickich – to staropolska tradycja. W 1802 r. kupiec krakowski Maciej Knotz (z Węgier wprawdzie, ale wiadomo, Polak – Węgier…) przerobił kościół Najświętszej Marii Panny, zwany kościołem na Żłobku na oberżę Pod Węgierskim Królem. Taki konserwatyzm i odwoływanie się do przeszłości to my nawet lubimy.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Matka Boska Bezrobotna

Lidl walczy z Biedronką i Maryją

Są pierwsze efekty wyboru Nawrockiego oraz wyników Mentzena i Brauna: będzie mniej nowych miejsc pracy. Co prawda nie chodzi o całą Polskę, ale od czegoś trzeba zacząć. Zaczęło się nie byle jak, bo w Gietrzwałdzie – miejscu jedynych objawień Matki Boskiej w Polsce uznanych oficjalnie przez Kościół kat. i symbolicznym miejscu dla narodowców. Może i będzie biedniej, ale po bożemu.

Śmieciowe kontrowersje

„Ze względu na przeciwności organizacyjne i logistyczne nie planujemy inwestycji w tej lokalizacji” – poinformowało biuro prasowe niemieckiej sieci sklepów Lidl, co uradowało bijące po prawej stronie serduszka. Od miesięcy protestowali na miejscu i w terenie, licznie i mniej licznie, ale zawsze z pełną determinacją – taką, jaka doprowadziła ich liderów na wyżyny polityki. Uczciwie trzeba przyznać, że protestowali także miejscowi, obawiając się że inwestycja Lidla doprowadzi do zniszczenia ich pięknych ziem na Warmii. Podsycane to było narracją samozwańczych obrońców sanktuarium, jakoby Niemcy chcieli w jego pobliżu składować odpady, co poskutkować może nieodwracalnymi zmianami w tej czystej i kwieciem pachnącej okolicy. Jest to jeden z niewielu przypadków, kiedy prawicowcy stali się ekologami, których na co dzień zwalczają, oraz używali argumentów, które normalnie są im obrzydliwe. W imię wyższej sprawy można używać broni wroga.

Lidl bronił się, że miało tam powstać najnormalniejsze w świecie centrum dystrybucyjne, podobne do tego, które z powodzeniem funkcjonuje w gminie obok. Kościelni oficjele oraz opiekujący się sanktuarium kanonicy regularni laterańscy nigdy głośno nie wypowiedzieli się w sprawie inwestycji za ani przeciw. Być może dlatego, że archidiecezja warmińska, na której terenie znajduje się Gietrzwałd, sama buduje wielki kompleks hotelowy za 300 mln zł nad Jeziorem Łańskim, co budzi poważniejsze nawet wątpliwości niż inwestycja Lidla. Pieniądz lubi ciszę, nieważne, czy świecki, czy duchowny.

Karol młot na Niemców

Obrona czci Matki Boskiej oraz komfortu pielgrzymów jest inicjatywą oddolną, która ma wsparcie odgórne, bo parlamentarne. Komitet Obrony Gietrzwałdu to obywatelska inicjatywa dowodzona przez byłego kandydata na burmistrza Gietrzwałdu Jacka Wiącka. Tenże tuż przed wyborami wystosował list otwarty do Karola Nawrockiego z wezwaniem, by adresat jasno zdeklarował się, czy stoi po stronie Matki Boskiej, czy Niemców. Cztery miesiące wcześniej na spotkaniu z wyborcami kandydat zapewniał, iż jego sztab się ze sprawą zapozna. Po wygranej Nawrockiego Wiącek wystąpił w Radiu Wnet, gdzie został zapytany, czy wybór „kandydata obywatelskiego” na prezydenta miał znaczenie dla sprawy, i dyplomatycznie odpowiedział: – Na pewno nie było to bez znaczenia. Myślę, że nawet miało duże znaczenie. Aczkolwiek tak naprawdę dużo czynników się przyczyniło: tak zwane atakowanie z wielu stron, z wielu flank. I to jest taki naprawdę atak skuteczny, gdy jest to atak frontalny.

Mniej powściągliwe są inne prawicowe media, dla których porzucenie przez Lidla gietrzwałdzkiej inwestycji to widomy znak działania opatrzności bożej. „Wygląda więc na to, że sprawa z Lidlem zakończyła się pomyślnie i być może przyczyniła się do tego wygrana Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich, co uniemożliwiło domknięcie opresyjnego systemu w Polsce i co jest wybitnie nie w smak Niemcom” – emocjonuje się portal Telewizji Republika. „To symboliczna porażka niemieckiego giganta i zwycięstwo tych, którzy nie pozwolili zbezcześcić świętego miejsca narodowej pamięci. Lidl wycofuje się z inwestycji w Gietrzwałdzie. W tle – presja społeczna, historyczne znaczenie objawień Matki Bożej i nowy wiatr politycznej zmiany w Polsce” – czytamy z kolei na stronie wydawnictwa Biały Kruk trudniącego się wydawaniem albumów z papieżami, zwłaszcza jednym.

Wespół w zespół

Na okoliczność walki z pluciem nam w twarz niemieckimi promocjami powstał nawet zespół parlamentarny złożony głównie z posłów Konfederacji, ale także PiS, a nawet jednego z Trzeciej Drogi. Zespołów parlamentarnych jest jak psów, w obecnej kadencji działa takich gremiów 246, w tym tak doniosłe jak Zespół ds. Obrony Polskiego Tatara i Prawa do Spożywania Mięsa czy ten gietrzwałdzki właśnie. Na szczęście posłowie nie pobierają dodatkowych pieniędzy za pracę w zespołach.

Piewcą gietrzwałdzkiego sanktuarium oraz objawień, które ono upamiętnia, jest Grzegorz Braun. Jest on autorem książki oraz filmu na temat wydarzeń z 1877 r. oraz ich odniesienia do współczesności. Trzeba bowiem wiedzieć, że

oprócz tego, iż te objawienia nie dość, że są zatwierdzone przez Watykan, to mają tę dla narodowców przewagę nad resztą, że Matka Boska w Gietrzwałdzie mówiła po polsku, w gwarze warmińskiej.

Braun jak to Braun, dorabia do tego wielkie teorie geopolityczne, zachwycające erudycją, ale po pierwszej minucie średnio zrozumiałe. Swoją drogą bardzo chciałbym zobaczyć minę pracowników centrali Lidla, którzy dowiadują się, że ich nowa inwestycja w Polsce nie wypali, bo to miejsce objawień mówiącej po polsku Matki Boskiej, a palce w tym macza poseł z nazwiskiem brzmiącym z niemiecka, niejaki Braun.

Zgaszony zapał do pracy

No więc pan od gaśnicy ma swój kolejny sukces w ostatnim czasie. Mentzen też, bo i on jest sygnatariuszem Aktu Konfederacji Gietrzwałdzkiej, w którym przyszli kandydaci przyobiecali, co następuje: „niniejszym zgodnie wyrażamy szczerą wolę poddania naszego życia prywatnego i publicznego panowaniu Chrystusa Króla Polski oraz opiece Jego Najświętszej Matki, Królowej Korony Polskiej. Przy czym Ich władzę nad sobą pojmujemy całkowicie realnie, bynajmniej nie tylko symbolicznie”. Dalej następuje litania poglądów i zobowiązań, przy których program i praktyka PiS uchodzić może za umiarkowaną centroprawicę. Tę osobliwą nawet jak na polskie warunki deklarację podpisali także m.in. Krzysztof Bosak, Kaja Godek, Robert Bąkiewicz czy posłowie Włodzimierz Skalik i Roman Fritz – uchodźcy z Konfederacji Mentzena do Konfederacji Korony Polskiej Brauna.

Magazynów Lidla w Gietrzwałdzie nie będzie, bo byłoby to splunięcie w twarz mówiącej po polsku Maryi. Spójrzmy jednak na sprawę nieco bardziej przyziemnie: „Bezrobocie rejestrowane w gminie Gietrzwałd wynosiło w 2024 r. 6,3% (6,3% wśród kobiet i 6,3% wśród mężczyzn). Wśród aktywnych zawodowo mieszkańców gminy Gietrzwałd 425 osób wyjeżdża do pracy do innych gmin, a 165 pracujących przyjeżdża do pracy spoza gminy – tak więc saldo przyjazdów i wyjazdów do pracy wynosi –260” (za portalem polskawliczbach.pl). Szczęść Boże i ratuj się, kto może!

Ilustr. PAWEŁ FERENC

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 97f5af6175

Niecenzuralne słowo „Palestyna”

Jakie życie, taki rap

Cenzura, jaką znaliśmy – choćby w czasach PRL – odeszła do lamusa. Ale to nie powód do radości. Na jej miejsce wchodzą bardziej zaawansowane techniki inżynierii informacyjnej.

Meta zamiata

Informacja stała się kapitałem. Nabrała prędkości i skali, jakiej media XX w. nigdy by jej nie umożliwiły, a urynkowienie sektora informacyjnego stało się główną kością niezgody między społeczeństwem demokratycznym, a możnymi tego świata. Jeśli z powierzchni sieci zniknąć może prezydent Stanów Zjednoczonych – tak jak stało się to z Donaldem Trumpem po szturmie na Kapitol w 2021 r. – zniknąć może każdy, kto nie spodoba się aktualnemu władcy algorytmu.

Nieco chaotyczny i niczym niepohamowany pluralizm mediów internetowych z początku wieku został wysadzony z siodła przez monopol Mety – aktualnego posiadacza m.in. Facebooka, Instagrama czy Whatsappa. O ile wtrącanie dziennikarzy czy artystów do więzień zdarza się w dalszym ciągu – głównie w społeczeństwach podręcznikowo autorytarnych czy totalitarnych – o tyle informacyjna plutokracja nie potrzebuje już uciekać się do takich rozwiązań. Wystarczy kogoś uciszyć. Demonetyzacja kont, ograniczenie zasięgów czy usuwanie postów są w dzisiejszych czasach najskuteczniejszą formą odebrania komuś głosu. Tak samo łatwa jest kompromitacja określonej treści czy autora, stosowana równie chętnie jak samo jego wyciszanie.

W świecie ustawionym według wyżej wymienionych zasad za ostatni wentyl można by uznać wolność ekspresji artystycznej. Przywilej wyrażania tego, na co nie ma miejsca w codziennej debacie społecznej, nie jest wyłącznie przywilejem czysto estetycznym. Wolność ekspresji artystycznej jest jednym z najbardziej wrażliwych barometrów nie tylko wolności słowa, ale demokracji w ogóle. Uciszanie dziennikarzy i publicystów to jedno – naprawdę powinniśmy zacząć się bać w chwili, kiedy ucisza się artystów.

Moment tej transgresji najlepiej obrazuje podejście do sprawy palestyńskiej. Aktywiści już dawno pogodzili się z poobcinanymi zasięgami przy treściach, w których choćby widnieje słowo „Palestyna” czy obejmującymi wiadomości ze Strefy Gazy shadowbanami (ograniczaniem widoczności, o którym nie informuje się ani nadawcy, ani potencjalnych odbiorców). Przykre jednak jest, jak niewielu artystów – mam tu na myśli głównie muzyków – decyduje się na publiczny protest przeciwko losowi, jaki Izrael gotuje od 2023 r. (a tak naprawdę to od przeszło 60 lat) obywatelom Palestyny. Jest to podwójnie smutne, kiedy przypomnimy sobie liczbę proukraińskich apeli czy publicznych zbiórek dla obywateli Ukrainy po rosyjskiej inwazji w 2022 r. Wsparcie dla Ukrainy nigdy nie stanowiło groźby dla czyjejkolwiek kariery. Inaczej sprawa się ma w przypadku Palestyny, o czym boleśnie przekonała się grupa Kneecap.

Tępe dzieciaki jebią Izrael

Grupa Kneecap to zespół-manifest. Skład jest trzyosobowy – dwóch młodych raperów oraz nieco starszy od nich DJ Provain. Irlandzkie trio od początku swojej hip-hopowej kariery posługiwało się niemal wyłącznie językiem irlandzkim, zachęcając tym samym wielu Irlandczyków do powrotu do swojego prawdziwego języka.

Zespół na popularności zyskał po premierze filmu „Kneecap. Hip-hopowa rewolucja”, w którym jego członkowie opowiedzieli swoją lekko fabularyzowaną historię, wcielając się w samych siebie. Produkcja z 2024 r. w reżyserii Richa Peppiata – skądinąd świetna – doprowadziła Kneecap do występu na tegorocznej Coachelli, podczas której muzycy rozwinęli palestyńską flagę, a na telebimach pojawiły się hasła „Izrael popełnia ludobójstwo na narodzie palestyńskim” czy też – zwięźlej – „Jebać Izrael”. Pewnie większość Czytelników już się domyśla, jakie mogły być konsekwencje podobnego aktu.

Koncerty na niemieckich festiwalach odwołane, trasa koncertowa grupy po Stanach Zjednoczonym również się nie odbędzie, na festiwalu Glastonbury raperzy także już mile widziani nie są. Co więcej, fragment z występem Kneecap usunięto z oficjalnych festiwalowych nagrań, a za całą trójkę zabrała się brytyjska policja antyterrorystyczna (cynk dało jej zresztą stowarzyszenie UK Lawyers for Israel – Brytyjscy Prawnicy dla Izraela).

Jak wiemy, większości elity intelektualnej dość łatwo przychodzi postawienie znaku równości między antysemityzmem a antysyjonizmem – i to mimo, iż spora część społeczności żydowskiej otwarcie potępia ludobójstwo, którego Izrael dopuszcza się na terenie Palestyny. Wszystko to nie ma znaczenia – jeśli jesteś przeciw zrzucaniu bomb na dzieci, automatycznie świadczy to o twojej nienawiści do Żydów.

Opcjonalnie – jak naucza np. były amerykański senator Norman Colman – jesteś tępym dzieciakiem, który nałykał się szkodliwej antysemickiej propagandy. W tym tonie republikański polityk wypowiedział się podczas Międzynarodowego Szczytu Polityki Zagranicznej JNS (Jewish News Syndicate). Colman utyskiwał nad nowymi sondażami, które ujawniły, iż ponad 50 proc. amerykańskiego społeczeństwa nie żywi ciepłych uczuć wobec państwa Izrael, i stwierdził, że wszystkiemu winne są oglądane przez młodych ludzi TikToki.

Chłopaków z Kneecap nikt nie tłumaczył tiktokami. Powodów jest kilka.

Po pierwsze: kontrowersyjne nagrania z koncertu w 2023 r., na których Mo Chara rozwinął flagę Hezbollahu. Nagrania te wyciekły po całej aferze z Coachellą i – o ile jestem w stanie zrozumieć przesłanie, które im przyświecało – to tutaj jednak chłopaki same są sobie winne. Tego typu happeningi, jeśli jesteś propalestyńskim artystą, są wybitnie wręcz kontrproduktywne i nie mam zamiaru stawać w ich obronie.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Po drugie: Coachella jest festiwalem cieszącym się zbyt dużą, globalną rozpoznawalnością – a w Stanach Zjednoczonych potępianie ludobójstwa nie stało się mniej wywrotowe od czasów Wietnamu czy Iraku.

Jednak to, co wydaje się w całej sprawie kluczowe – to fakt, iż ludzi, którzy na własnej skórze doświadczyli pewnego rodzaju dyskryminacji czy ksenofobii, już troszkę trudniej jest upupić. Syty głodnego nie zrozumie, ale głodny zdychającego z głodu – już prędzej i doskonale świadczą o tym słowa Mo Chary wykrzyczane ze sceny podczas Coachelli:

Irlandczycy jeszcze niedawno byli prześladowani przez Brytoli, ale nigdy nie zrzucano na nas bomb z jebanego nieba. Palestyńczycy nie mają dokąd pójść, to jest ich pierdolony dom i są bombardowani. Jeśli nie nazywasz tego ludobójstwem, to jak masz to, kurwa, nazwać?

Peja nie kuca

Jakie życie, taki rap – nawijał inny propalestyński raper, Rychu Peja, którego poprosiłam o komentarz w sprawie internetowej, i nie tylko, nagonki na Kneecap.

„Atak na Kneecap, jako pokłosie ich statementu podczas występu na Coachelli uważam za haniebny – aczkolwiek oczywisty. W świecie, gdzie syjoniści dążą do jeszcze większego rozszerzenia swoich wpływów, nie ma miejsca na tego typu manifesty” – odpowiedział mi Peja.

„Dzisiejszy świat z podwójnymi standardami w zakresie moralności, polityki i biznesu dąży do stłumienia każdej aktywności, która jednoznacznie kojarzy się z samodzielnym – a co za tym idzie, ich zdaniem, wywrotowym – myśleniem. Świat wielkich korporacji wraz z konsumpcyjnym stylem życia zapoczątkowanym w filmie »Wall Street« skutecznie odciągnął tzw. cywilizowany świat od spraw zaangażowanych, takich jak pokój na świecie, ekologia czy prawa człowieka”.

Jak wspomniałam, Kneecap za polityczne zaangażowanie spotkały gorzkie konsekwencje, bezpośrednio zagrażające ich karierze. Utrata opieki menadżerskiej w Stanach jest niemalże wilczym biletem dla irlandzkiej grupy, jeśli chodzi o możliwość koncertowania na terenie USA.

Za historię z flagą Hezbollahu Mo Chara 18 czerwca odpowie przed sądem. Niezależnie od tego, jak oceniamy ten incydent – warto pamiętać, że nagranie jest z roku 2023. Czyli sprzed premiery filmu Peppiata i skoku popularności, jaki przyniósł on raperom. Zainteresowanie nim w roku 2025 to nic innego jak część zaplanowanej nagonki na zespół z powodu otwarcie wyrażonego wsparcia dla Palestyny na terenie Stanów Zjednoczonych.

Nie mam dostępu do statystyk zasięgów chociażby instagramowego profilu Kneecap (na którym to raperzy są najbardziej aktywni) – ale jakoś trudno mi uwierzyć, że nie spotkały ich konsekwencje podobne do tych, o których wspomina Peja: „Mam świadomość, czym jest *cancel culture* i jego konsekwencje, które z tego tytułu już w pewnym sensie ponoszę. Na szczęście jestem niezależnym artystą, którego nie będą w stanie uciszyć” – opowiada mi raper.

I dodaje, że – póki co – Meta wysyła mu groźby (lub, jak kto woli, ostrzeżenia), odwołując się do zapisu o „publikowaniu materiałów przedstawiających lub promujących przemoc” lub pochodzących z „niewiarygodnego źródła”. Korporacja wzywa artystę do zaprzestania – jak ujął to Peja – „repostów dotyczących ofiar wojny: martwych dzieci, bombardowań i rozlewu krwi na tym, co zostało z ulic Gazy”.

„Oczywiście mam też świadomość, że w takim kraju jak Polska jestem systematycznie sprawdzany i szukane są haki, aby mnie zcancelować. Zapewne dlatego tak wielu polskich artystów, w tym raperów, siedzi cichutko jak przysłowiowa myszka i się nie wychyla. Biznes przecież musi się kręcić, a idee już dawno wyparł świat krwawych diamentów” – konstatuje gorzko Peja.

Jednym z niewielu pozytywów całej tej sytuacji jest fakt, że raperów nie dało się zastraszyć – nie zrezygnowali z dotychczasowej propalestyńskiej aranżacji swoich koncertów. Na koncercie w Danii, który odbył się 6 czerwca, hasło „Free Palestine” skandował tłum 10 tys. ludzi.

Kneecap otrzymało publiczne wsparcie od takich artystów jak Paul Weller czy Massive Attack. Wniosek więc nasuwa się sam – nawet w tak przerażających czasach, w jakich żyjemy, nie można odpuszczać.

Ze swojej strony dziękuję artystom – ze szczególnym wyróżnieniem Ryszarda „Peji” Andrzejewskiego – którzy nie odpuścili.

ANTONINA STEFFEN

Pogranicznicy kontra Kurdej-Szatan

Rys. JANUARY

Okazuje się, że aktorka miała rację

Barbara Kurdej-Szatan w marcu tego roku doczekała się w końcu umorzenia sprawy, jaką jej wytoczono za rzucanie mięsem na Instagramie w stronę pograniczników i określenie ich mianem „maszyn bez mózgu i serca”.

Furii ta zdolna aktorka dostała po tym, jak zobaczyła filmik, na którym kobiety o niekatolickiej urodzie, z dziećmi na rękach, są szarpane przez mundurowych na pograniczu polsko-białoruskim. Filmik miał ścieżką dźwiękową złożoną z płaczu i krzyków.

Jeszcze zanim dostała prokuratorskie zarzuty o znieważenie funkcjonariuszy straży granicznej, aktorka usunęła post i przeprosiła za emocje, jakie ją, tak po ludzku przecież, poniosły. Oczywiście natychmiast straciła pracę w pisowskiej wówczas telewizji i stała się obiektem permanentnego internetowego hejtu tych, co to „murem za mundurem”. Po tym wszystkim, niezaskakująco, wycofała się w prywatność i skoncentrowała na pracy w wyuczonym zawodzie.

Mamy jednak dla niej wiadomość. Jej słowa rzucone w emocjach w 2021 r., znalazły ostatnio niespodziewane potwierdzenie w decyzjach Prokuratury Okręgowej w Siedlcach.

Zarzuty dostało ostatnio pięciu pograniczników. Trzech – za znęcanie się nad migrantami; dwóch – za niszczenie dokumentów i telefonów komórkowych cudzoziemców.

Tomasz Giza, naczelnik tamtejszego wydziału śledczego i kierownik zespołu śledczego badającego przypadki łamania prawa przez mundurowych na granicy, powiedział o tym w rozmowie z Piotrem Czabanem – reporterem i aktywistą, twórcą kanału „Czaban robi raban”, pokazującego dramaty na białoruskiej granicy.

Pierwsza sprawa, według naszych informacji, może dotyczyć placówki pograniczników w Białowieży, bo mocno nią się interesowało w swoim czasie Biuro Spraw Wewnętrznych Straży Granicznej. Ta komórka, analogicznie jak w policji, tropi przestępstwa dokonywane przez funkcjonariuszy. W drugim przypadku, na terenie placówki SG w Dubiczach Cerkiewnych, w specjalnie do tego przygotowanej beczce palono paszporty i komórki zatrzymanych na granicy osób.

W trakcie rozmowy z Czabanem prokurator Giza wypowiedział znamienne słowa o sprawach, które są przedmiotem śledztwa jego 21-osobowego zespołu złożonego i z prokuratorów, i z mundurowych: – Jeżeli w którymś momencie społeczeństwo dowie się szczegółów, to będzie bardzo mało chętnych, żeby takich osób bronić.

Mówiąc „osób”, miał na myśli pograniczników.

JMP

eprasa.pl 97f5af6175

Nie było cię tam, nie zrozumiesz

Rozmowa ze SWIETŁANĄ PIKTĄ, rosyjską korespondentką wojenną kanału Jarosław TV1

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Kiedyś byłaś obywatelką Ukrainy…

– W Rosji się urodziłam, ale potem, jako dziecko, znalazłam się z rodzicami na Donbasie, gdzie trafili ze względu na nakaz pracy w tym regionie, jeszcze za czasów ZSRR. Potem przeniosłam się do Kijowa i tam doczekałam niepodległości Ukrainy, która dla mnie, na poziomie codziennego życia, pozostała niemal niezauważona: wokół wszyscy mówili po rosyjsku jak kiedyś, nie zmieniła się mentalność ani międzyludzkie relacje. I tak było do 2017 r., już po Majdanie, kiedy nagle okazało się, że ze swoimi poglądami żyć na Ukrainie nie mogę. Nie dlatego, że nie chcę, tylko dlatego, że mnie tam nie chcą.

– Od czego to się zaczęło?

– Od banalnej rzeczy: w szkole nakazano dzieciom, by zorganizowały zbiórkę dla uczestników tzw. operacji antyterrorystycznej przeciwko mieszkańcom Donbasu. W odpowiedzi – na kanale klasy mojego syna na WhatsApp – umieściłam fotografię donieckiego pomnika zabitych dzieci Donbasu. I stałam się obiektem, jak to dzisiaj mówią, hejtu. Do mojej pracy i pracy męża zaczęli przychodzić oficerowie Służby Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU), w gazetach ukazały się artykuły, że jestem wrogiem Ukrainy, bojówkarze znanej neonazistowskiej organizacji S-14 nachodzili nas w domu, zaczęły się telefony nocne z groźbami: że mamy się wynosić, bo będzie źle. Doprowadzili nas do takiego stanu, w którym zrozumieliśmy, że miejsca tu dla nas nie ma. I wyjechaliśmy do Rosji.

– Jaka była Twoja reakcja na rozpoczęcie wojny i wkroczenie Rosji na teren Ukrainy? Nie miałaś nigdy wątpliwości?

– Ty to widzisz tak, a ja inaczej. Miałam przez ten cały czas, od 2014 r., poczucie winy, że ich zostawiliśmy, że nie bronimy. To dla mnie była ulga, że wreszcie Rosja ujęła się za swoimi rodakami zabijanymi przez państwo ukraińskie. Takie odczucia podzielało wielu Rosjan w Rosji. I od razu wiedziałam, że chcę jeździć na front.

– I od razu ci pozwolili?

– No co ty, nikt by mnie nie puścił bez przygotowania. Potem, w 2019 r. jeździłam do Doniecka, gdy praktycznie przez miasto biegła linia frontu, a na pierwszą linię można było dojechać tramwajem. Tam po raz pierwszy zobaczyłam cywilów zabitych w wyniku ostrzałów i bombardowań, widziałam ofiary min o miłej nazwie Listek, które nie zabijają, tylko urywają stopę, a dzieciom nogę.

Widziałam matki, które straciły dzieci, ofiary waszych polskich moździerzy, które charakteryzują się cichym trybem pracy, że nikt nie słyszy przylotu pocisku, więc nie zdąży się schować.

Pracowałam w szpitalu przyfrontowym. Było bardzo trudno patrzeć w oczy tym ludziom, którzy czuli się porzuceni, i nie możesz pomóc im niczym poza własnymi rękoma i artykułami spożywczymi, które się przynosiło do szpitala.

– Ludzie byli wściekli na Rosję?

– Takich bezpośrednio wypowiadanych nie słyszałam. Ale jak się patrzyło im w oczy, to wszystko stawało się jasne: „porzuciliście nas". I naprawdę ogłoszenie specjalnej operacji wojskowej to było święto. Dla nas i dla mieszkańców Donbasu. Nie rozumiesz tego, bo tu nie byłeś.

– Uważasz, że to było usprawiedliwione?

– To był ostatni moment przed przygotowywaną ofensywą. Mało tego, myślę, że byliśmy spóźnieni. Tym bardziej że duża część mieszkańców tych terenów nie chciała się ewakuować, byliby więc ofiarami.

– A teraz jesteś pełnoprawnym korespondentem wojennym?

– Na początku jeździłam raz na pół roku. Zanim zaczęła się wojna. A kiedy już się zaczęła, trudno mi tu wysiedzieć, bo cały czas miałam wrażenie, że tam dzieje się coś ważnego, a mnie przy tym nie ma. Znasz to uczucie, prawda?

– Znam. Łatwo się przystosowałaś?

– Nie. Uważam się za człowieka dość bojaźliwego, bałam się głośnych dźwięków, nie umiem do dziś strzelać, choć próbowano mnie nauczyć. A jednocześnie wiem, że nadaję się do tej pracy, bo mam bardzo wysoką motywację. Widziałam też, jak działa armia. Wierzę, że wygrana w tej wojnie uratuje nas.

– Jak praca wojennego korespondenta odbiła się na twojej osobowości, psychice? Jak widzisz sama siebie? Są dwie Swietłany Pikty?

– Jest taka, dość zresztą rozpowszechniona, opinia, że wojna jest swego rodzaju katalizatorem: jeśli jesteś człowiekiem podłym, to staniesz się jeszcze bardziej podły, a jeśli jesteś dobry, to staniesz się jeszcze lepszy, bohaterski. Czy ja wiem? Nieprawda. Moim zdaniem wojna nie daje nic dobrego, robi cię tylko gorszym. Dowiedziałam się o sobie wielu niezbyt przyjemnych rzeczy. One były we mnie, siedziały gdzieś schowane.

– Na przykład?

– Że jestem tchórzem, że tak wiele we mnie jest złości, nienawiści i cały czas muszę walczyć sama ze sobą, by pozostać człowiekiem. To łatwe w czasach pokoju. Bardzo trudne, kiedy cały czas ktoś chce cię zabić. Bardzo trudno na wojnie nie zbydlęcieć.

– Mówisz o sobie czy o wszystkich?

– Za innych nie mogę mówić. To jest moje własne doświadczenie. Ale wiem jedno: że ludzie na wojnie zderzają się ze sobą samym, i to w tej nie najlepszej formie. Cieszę się, że jestem kobietą. Gdybym była mężczyzną, nie wiem, czy wszystko to bym wytrzymała bez uszczerbku dla swojej osobowości.

– Jeździsz na pierwszą linię. Wojna zostawia na ludziach swoją straszną pieczęć na zawsze?

– Oczywiście. Człowiek, który brał udział w działaniach bojowych, nie jest w stanie sam siebie okłamywać, bo już się poznał. Tę relację przenosi na cały świat, swoją rodzinę, przyjaciół… Jemu ciężko adaptować się do zwykłego życia, w którym tak wiele jest kłamstwa. Świat na wojnie zbudowany jest jasno i prosto. Tam nie da się kłamać.

– A to, że musisz zabijać innych, a ludzkie życie traci na wartości, też pozostaje z tobą?

– Nieprawda, że ludzkie życie traci wartość. Kiedyś ktoś, kto romantyzował wojnę, trafia na front, cały romantyzm mu mija – i na samym końcu zostaje tylko wstręt do wojny, do zabijania, bo normalny człowiek nie może tego zaakceptować. Pamiętam, rozmawiałam z jednym z żołnierzy, operatorem dronów, i pytałam, ilu ludzi zabił. „Osobiście?", zapytał. „Tak, osobiście". „Dwudziestu, mniej więcej". A i to, trzeba pamiętać, że to jak w grze komputerowej, bez bezpośredniego kontaktu. I mimo tego to nałożyło na niego swoją pieczęć. „I jak to odczuwasz?" „Nic dobrego nie czuję. Człowiek nie został stworzony do zabijania, został stworzony do tworzenia" – odpowiedział. Wydawałoby się, że powinien przekształcić się w bestię. Jednak nie, pozostał człowiekiem odczuwającym wstręt to zabijania. To jest właśnie ten moment, kiedy opada cała ta romantyczna otoczka i pozostajesz sam na sam ze straszną istotą wojny. To pozostaje w człowieku. Nie możesz już tak samo odczuwać radości jak kiedyś, cieszyć się życiem jak kiedyś. Zabójstwo to grzech. Niesiesz ten ciężar na sobie.

– Stare powiedzenie głosi, że w okopach nie ma ateistów. To prawda?

– Prawda. Pod Ugledarem były klasztor i cerkiew, stojąca między nami a Ukraińcami. Nasi żołnierze, nie tylko zresztą Rosjanie, bo Buriaci i Kałmucy też, przed pójściem w szturm przychodzili do cerkwi, by się modlić, ochrzcić. Muzułmanie oczywiście się nie chrzcili, ale ich wiara im też pomagała.

– To wojna domowa czy wojna na śmierć i życie?

– Nasz słowiański kod zakłada, że bić się musimy na śmierć, ale jednak to nie jest taka zwykła wojna. To wojna hybrydowa, ale jednak na fundamencie wojny domowej. Dopóki Zachód będzie wspierał Ukrainę, ta wojna się nie skończy. I jedni, i drudzy będą polewać tę ziemię krwią do ostatniego żołnierza.

– A czy na pierwszej linii nie ma pretensji do władz, że „my tu wojujemy, a mobilizacji nie ogłaszacie".

– Sytuacja już dawno dojrzała do mobilizacji. To nie dotyczy Donbasu, tam od dawna już przeprowadzono pełną mobilizację, brali wszystkich w wieku poborowym. I tak, uważam, że nasz tył powinien nas wspierać o wiele mocniej.

– To twoje zdanie czy opinia żołnierzy w okopach?

– A ja nie rozróżniam siebie od opinii żołnierzy. Jestem jedną z nich od dawna, choć nie biorę broni do ręki. Uczestniczę w wojnie informacyjnej. A co do żołnierzy… Tak, od dawna spotykam żołnierzy śmiertelnie zmęczonych, którzy walczą tylko po to, by nie zostawić tej wojny swoim dzieciom.

– A jaki jest stosunek do rozmów między Trumpem a Putinem, kiedy jest mowa o wstrzymaniu działań bojowych na linii starcia?

– Kiedy był ogłoszony rozejm wielkanocny, nasi żołnierze byli wściekli, bo im nie wolno było strzelać, a tamta strona strzelała bez przeszkód. Po tym wszystkim wszyscy zrozumieli, że niepotrzebne nam są kolejne porozumienia mińskie. A poza tym cały Donbas jest w sytuacji blokady wodnej i nie zniesiemy jej, dopóki nie zdobędziemy Słowiańska. A do niego jeszcze bardzo daleko. W żadne porozumienia żołnierze nie wierzą. Wierzą tylko w zwycięstwo. Zresztą, kto będzie kontrolował rozejm? Polacy? Was tam i tak jest wielu, polska mowę słyszymy nader często i to nie są instruktorzy. Nie rozumiem waszego poparcia dla Ukrainy i jej władz wyznających banderowską ideologię.

– Jak więc powinien wyglądać pokój?

– Ukraina musi być państwem neutralnym, a Zachód nie może używać jej jako tarana przeciwko Rosji. Wojna będzie trwała do momentu, kiedy zwycięży ta albo przeciwna strona. Remis nie wchodzi w rachubę.

– Pokój jeszcze daleko?

– Bardzo daleko.

Rozmawiał **MACIEJ WIŚNIOWSKI**

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

W amerykańskiej telewizji ABC News Wołodymyr Zełenski scharakteryzował plany prezydenta Rosji: *Putin chce odzyskać potęgę Związku Radzieckiego.* (…). *Aby osiągnąć ten cel, musi zacząć od Ukrainy – to największy kraj byłego ZSRR po Rosji. To dla niego cel strategiczny.* Zełenski nie popiera tego planu – odtworzenia państwa, w którym zgodnie żyli Ukraińcy i Rosjanie, a Ukraina rozwijała się najlepiej w historii.

Wieloletni doradca amerykańskich prezydentów Fiona Hill przedstawia na łamach „Newsweeka" strategię Władimira Putina wobec Donalda Trumpa: *Wie, że Trump jest niebywale zepsutą jednostką i że należy mu schlebiać.* (…) *Jest prezydentem Rosji od 25 lat. Zna ważne dla niego kwestie od podszewki. Wie, co chce osiągnąć, i od lat pracuje z zespołem, który też to wie. Jest bardzo dobrze przygotowany na każde spotkanie. Popełnia błędy, ale zawsze odrabia pracę domową. I niewątpliwie ma mnóstwo informacji o ludziach po stronie USA. Trump wysyła jako swoich emisariuszy ludzi bez doświadczenia.* (…) *W rezultacie Rosjanie, którzy są naprawdę wytrawnymi dyplomatami, potrafią przegadać każdego i mają gotową odpowiedź na wszystko, zjadają tych świeżaków na śniadanie.* Gdyby Hill nie miała amerykańskiego paszportu, to za takie pochwały pod adresem rosyjskiej administracji zostałaby niechybnie ruską onucą.

Maciej Pieczyński („Do Rzeczy") komentuje sprawność ukraińskich służb specjalnych i łatwowierność europejskiej opinii publicznej: *W sierpniu 2022 r. w wybuchu samochodu pułapki zginęła Daria Dugina.* (…) *Moskwa oskarżyła o zamach Ukraińców. FSB już dwa dni po zamachu znalazła sprawcę – Natalię Wowk, działającą jakoby na zlecenie SBU. Kijów zaprzeczył. Na Zachodzie rezonowała ukraińska narracja o rzekomych porachunkach wewnątrz rosyjskiej elity władzy. To dość częste medialno-polityczne zjawisko. Zazwyczaj gdy ginie wróg Ukrainy, ale nie na polu walki, tylko w zamachu, a do tego owym wrogiem nie jest żołnierz* (…), *a zatem jego likwidacja bez sądu może być uznana za wątpliwą moralnie, reakcja nad Dnieprem i w Europie jest podobna. Można ją streścić następująco: „Z pewnością za spust nie pociągnęli Ukraińcy. To oczywiste, że mamy do czynienia z porachunkami wewnątrzrosyjskimi, z rywalizacją pomiędzy kremlowskimi służbami lub prokremlowskimi grupami interesu".* (…) *Dokładnie tak było z Duginą. Tymczasem już kilka miesięcy po zamachu „New York Times", powołując się na swoje źródła w amerykańskich służbach, informował, że sprawcami byli rzeczywiście Ukraińcy.* (…) *Jesienią 2023 r. „The Washington Post"* (…) *podał więcej szczegółów zamachu. Ustalenia FSB okazały się prawdziwe – sprawcą była Natalia Wowk.* W polskich mediach zapanowała cisza.

Portal Onet alarmuje: *Przerażający skutek wojny. W Rosji o ponad 12 tys. proc. wzrosła zachorowalność na śmiertelną dla dzieci infekcję wywołującą sepsę.* Istotnie, z przywołanego przez portal raportu wynika, że w minionym roku liczba wspomnianych infekcji wzrosła do poziomu 2,4 zachorowań na 100 tys. mieszkańców. Podobne wartości notuje się w państwach Unii Europejskiej, a przyczyną wzrostu zachorowań nie jest wojna, lecz szerzący się (także w Rosji) ruch antyszczepionkowy.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 97f5af6175

Hasta la victoria

Kuba jest coraz smutniejsza – ale wciąż moja

Zdjęcia AWŁ.

Na Kubie byłam cztery razy w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Nie mam wrażenia, żeby sytuacja się poprawiała.

Pierwszy raz, w 2002 r., byłam za Fidela, potem dwa razy za Raula – i za każdym razem miałam poczucie powrotu do domu. Znaczy do Polski Ludowej. Drobne idiosynkrazje państwa gospodarki niedoboru, które turystów z Zachodu wprawiały w stan konsternacji – kolejki w sklepach, gdzie półki są puste, i puste sklepy z pełnymi półkami, cinkciarze, dwa systemy krajowej waluty (kubańska wersja złotówek i bonów) – to wszystko było mi znajome i jakoś tam bliskie.

Dziara z Ernestem

To, czym Kuba różniła się od Polski Ludowej mojej pamięci – czyli głównie lat 80. – to stosunek do socjalizmu. Kubańczycy, przy całym swoim utyskiwaniu na codzienne upierdliwości, byli dumni ze swojej rewolucji. Na placach i ulicach miast, a także wzdłuż przecinającej wyspę szosy Carretera Central – nazywanej przez tubylców, nie bez dumy, „najniebezpieczniejszą autostradą świata" – spotykaliśmy olbrzymie tablice z hasłami: „Socialismo o Muerte", „Hasta la victoria siempre" i portretami, głównie Che Guevary. Co ciekawe, za czasów rządów Fidela wizerunków Fidela było niewiele – a po jego śmierci Raul, zgodnie z jego życzeniem, zakazał stawiania mu pomników i nazywania ulic jego imieniem. Fidel doskonale rozumiał, czym grozi kult jednostki – mówił o tym, oceniając bilans władzy Stalina.

Portrety Che – zwłaszcza ten najsłynniejszy, zdjęcie Alberto Kordy, wykonane na pogrzebie ofiar sabotażu frachtowca „La Coubre" – zdobiły nie tylko oficjalną propagandę i turystyczne gadżety. Zdobiły też, dość powszechnie, ciała Kubańczyków (sama mam taki tatuaż, wykonany przez lokalnego artystę w Santa Marta). Nawet głosiciele tezy o krwawym i bezwzględnym castrowskim reżimie nie usiłowali twierdzić, że władza każe obywatelom dziergać sobie oblicze legendarnego rewolucjonisty. To była miłość.

Dziś to wszystko przeszłość. Monstrualne tablice ku czci rewolucji zniknęły z ulic i szos. Oblicza Che z bicepsów usunąć trudniej – ale na młodych już się nie pojawiają. Jedyne przejawy ulicznej propagandy to sygnowane przez „Granmę" – organ Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Kuby – historyjki obrazkowe na temat „bloqueo", czyli embarga, które Kubańczycy, nie bez racji, nazywają blokadą. Ktoś wymyślił, że historyki mają być zabawne – ale są zajebiście przygnębiające. Na każdej z nich widnieje wielki wredny Wuj Sam i malutki człowieczek, który ma symbolizować Kubę i jest ciągle przerażony. Na jednym z nich widać mur. Po jednej stronie stoją ludziki z flagą USA i dymkiem „Mamy wiele wspólnego" – a po drugiej ludziki pod flagą kubańską z dymkiem: „Tak, na przykład zbrodniczą blokadę, która wpływa na życie ludu kubańskiego i stanozjednoczoniowego" (Kubańczycy nie mówią na USA „Ameryka" – słusznie wychodząc z założenia, że Ameryka to dwa kontynenty – a wyłącznie „Estados Unidos", od czego powstał przymiotnik „estadounidense"). To zapewne ma być gorzka ironia – ale w realu cały ten przekaz jest po prostu żałosny. Z dumnego narodu rewolucjonistów, którzy pokonali krwawą juntę, wygnali amerykańską mafię, skutecznie obronili się przed amerykańską inwazją, zrobiła się – przynajmniej wedle tego, co widać na ulicach – populacja marudów niezadowolonych z rzeczywistości i niegotowych się jej postawić. Jak powiedział nam jeden z naszych kubańskich rozmówców: „U nas rewolucji już na pewno nie będzie, nam już wystarczy".

Nutria za dolki

Obecny prezydent Kuby Miguel Díaz-Canel, mimo iż namaszczony przez Raula Castro, nie ma nic z castrowskiej charyzmy. Urodzony w roku 1960, a więc już po rewolucji, jest niezdolnym technokratą, który nie budzi odrobiny zapału u swoich obywateli. Lęku też chyba nie. Kubańczycy nie boją się narzekać – i w zasadzie każdy nasz rozmówca czynił złośliwe uwagi pod adresem głowy państwa, rozciągające się od „on jest nikim" do „to pizda".

W zasadzie trudno im się nawet dziwić: sytuacja gospodarcza na Kubie jest gorsza niż kiedykolwiek. Pierwszy raz złapałam się na tym, że staram się unikać kontaktu z ludźmi na ulicach – bo każdy, kogo zapytaliśmy o drogę, usiłował coś od nas wyprosić; najchętniej parę dolarów. Nawiasem mówiąc, niezależnie od ideowej wrogości między USA i Kubą, lepiej zabierać tam dolary – czarny rynek, dla uproszczenia, wycenia euro i dolara tak samo. Oficjalny kurs to 120 peso; u cinkciarzy dostaje się trzy razy tyle, jak ktoś umie się targować po hiszpańsku. Jak nie – to jakieś 320–330. Efekt wymiany stu dolków u hotelowego ochroniarza to często worek banknotów po 50 peso. Dobra wiadomość jest taka, że uprzejmi Kubańczycy w knajpach i sklepach przyjmują zapłatę workami i liczą te drobne bez szczególnej irytacji.

Kubańska bitwa o handel została – co tu dużo mówić – przegrana. Zalegalizowana w ostatnich latach prywatna inicjatywa pleni się wszędzie i jedyną wyraźną poprawą w stosunku do poprzednich moich pobytów jest stan porzuconych przez Amerykanów podczas rewolucji samochodów, stanowiących wszak wizytówkę turystyczną Kuby. Renowacja 70-letnich krążowników szos wspięła się na nowy poziom. Chevrolety i Buicki są wymuskane i błyszczące, a szycie pokrowców na fotele amerykańskich klasyków z lat 50. stało się osobnym działem kubańskiej gospodarki. Pokrowce są z grubej przezroczystej folii PCV, co nawet nieźle wygląda, choć jest dość niemiłe w zetknięciu z dupą przy temperaturze 38 stopni Celsjusza.

Innym kwitnącym działem prywatnej gospodarki jest gastronomia. W drodze z Zatoki Świń trafiliśmy do uroczej hacjendy, w której za 20 dolków od głowy podjęto nas potrawką z krokodyla i gulaszem z nutrii – a w zasadzie endemicznej kubańskiej kuzynki nutrii, zwanej hutią Desmaresta. To bardzo popularny na wyspie gryzoń, występujący szczególnie obficie w okolicach Guantanamo. Co może budzić niejaki niepokój, zważywszy, że hutie są wszystkożerne i nikt nie wie, co amerykańscy okupanci wyrzucają za płot bazy, choć wiadomo, że nie wszyscy więźniowie, którzy tam weszli, kiedykolwiek stamtąd wyszli…

Buena Vista na każdym rogu

Hawana – jedno z najpiękniejszych miast na świecie, wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO – jest zrujnowana. Był taki moment, w którym zdawało się, że coś tu się może zmienić, ale trumpizm, zaostrzenie embarga i generalny kryzys – który

Bogaci na nas szczają...

Prywatyzacje, mafia i sfałszowane wybory w Ekwadorze

Sytuacja w Ekwadorze jest napięta. 13 kwietnia 2025 r. niespodziewanym zwycięzcą drugiej tury wyborów prezydenckich okazał się dotychczasowy szef państwa, Daniel Roy Gilchrist Noboa Azin. Reprezentował on neoliberalną, prawicową partię Movimiento Accion Democratica Nacional (Ruch Demokratycznej Akcji Narodowej). Zdobył 55,63 proc. głosów – wyraźny wzrost wobec pierwszej tury, kiedy to dostał 44,17 proc. Jego sukces był tym większym zaskoczeniem, że zamieszany w konszachty z mafią narkotykową Noboa ma bardzo niski wskaźnik zaufania społecznego.

Jego konkurentką w walce o fotel prezydencki była Luisa Magdalena Gonzalez Alcivar, reprezentująca lewicowe ugrupowanie Revolucion Ciudadana (Rewolucja Obywatelska). W pierwszej turze zdobyła 44 proc. W drugiej – będąc faworytką – osiągnęła zaledwie 44,17; ponad 10 punktów mniej niż jej prawicowy konkurent.

Pozostali kandydaci nie odegrali znaczącej roli w tej rozgrywce.

Wynik wyborów wywołał duże zamieszanie. Luisa Gonzalez nie uznała ich rezultatu i oskarżyła prawicę o dokonanie fałszerstwa. Jej argumenty brzmią dość prawdopodobnie – ale zanim do tego przejdziemy, przyjrzyjmy się bliżej ekwadorskim realiom.

Książę bananów

Daniel Noboa ma 37 lat, urodził się w Miami na Florydzie – choć wielu Ekwadorczyków błędnie sądzi, że jego miejsce urodzenia to największe miasto Ekwadoru, Guayaquil. Studiował na Harvardzie i George Washington University, a także w Kellogg School of Management. Jego ojciec, Alvaro Noboa Ponton, jest najbogatszym oligarchą w Ekwadorze. Należy do niego 110 dużych firm rozlokowanych na całym świecie, w tym konsorcjum Exportadora Bananera Noboa składające się ze 156 pomniejszych firm oraz Lanfranco Holdings – spółka offshore z siedzibą w Panamie, czyli raju podatkowym. Noboa senior specjalizuje się w eksporcie i produkcji bananów, ale jego ambicje od dawna dotyczą polityki. Dopiero syn zdołał je zrealizować.

Aktywność Daniela trafiła na podatny grunt, bowiem dwaj poprzedni prezydenci – Lenin Moreno (2017–2021) i Guillermo Lasso (2021–2023) – umacniali neoliberalizm.

Daniel Noboa wygrał przedterminowe wybory z 2023 r. przedstawiając się jako człowiek spoza układów, obiecując rozprawę z rozpleniającą się w Ekwadorze mafią narkotykową i wzrost gospodarczy. Rzeczywistość rychło zweryfikowała jego obietnice, neoliberalny kurs nabrał rozpędu. Jesienią 2024 r. rząd zadekretował prywatyzację Campo Sacha, największych w Ekwadorze złóż ropy naftowej (wydajność 70 tys. baryłek dziennie), zarządzanych dotąd przez przedsiębiorstwo państwowe Petroamazonas. W 2018 r. Campo Sacha przyniosło skarbowi państwa zysk netto wysokości 1,4 mld dol. Campo Sacha zostało sprzedane ekwadorskiej firmie Amodaimi Oil, związanej m.in. z chińskim koncernem Sinopec, oraz kanadyjskiemu koncernowi New Stratus Energy Inc.

Noboa rozpoczął też prywatyzację wody, elektryczności, wywozu śmieci etc. Opłaty za prąd w Ekwadorze były najniższe w całej Ameryce Południowej, gdyż wytwarzaniem i dystrybucją elektryczności zarządzało przedsiębiorstwo państwowe Corporacion Electrica del Ecuador (CELEC). Rząd Noboi zmniejszył finansowanie dla CELEC o 400 mln dol. – by wywołać kłopoty przedsiębiorstwa i mieć pretekst do prywatyzacji.

Kryzys energetyczny dodatkowo pogłębia dewastacja ekwadorskiej Amazonii. Noboa przyznał licencje sześciu firmom wydobywczym – skutki tych decyzji znakomicie ilustruje przykład kopalni Mirador, która dziennie zużywa tyle wody, co 1,8 mln ludzi (Ekwador ma 16,7 mln mieszkańców). Ponadto w 2024 r. Noboa dał Stanom Zjednoczonym przyzwolenie na zbudowanie amerykańskiej bazy wojskowej w unikalnym rezerwacie przyrody na wyspach Galapagos.

Prezydent chwalił się, że stworzył 63 tys. miejsc pracy – ale z informacji INEC (ekwadorskiego GUS), wynika coś przeciwnego. W latach 2023–2024 z rynku pracy zniknęło 62,5 proc. etatów. Ponad 6,5 mln osób pozostaje bez pracy lub na nisko płatnych umowach śmieciowych. Dług zagraniczny Ekwadoru pochłania 40 proc. produktu wytworzonego brutto.

Lenin kontra sprawiedliwość

Na kryzys gospodarczy kraju nakłada się spiętrzający się problem zorganizowanej przestępczości. Ekwador jest najniebezpieczniejszym krajem Ameryki Południowej. Poczynając od 2022 r., Republika Równikowa przemieniła się w prawdziwy raj wszelkiego rodzaju gangów i mafii narkotykowych. Działają tam co najmniej 22 organizacje przestępcze pochodzące głównie z Kolumbii, Meksyku, Peru i Brazylii. Można tu wymienić tak potężne grupy jak: Jalisco Nueva Generacion, Cartel de Sinaloa, Comando Vermelho, Los Choneros, Los Lobos, Clan del Golfo etc. W 2023 r. w wyniku porachunków wewnętrznych i terroru stosowanego wobec ludności cywilnej śmierć poniosło 7878 osób.

Drzwi przed kartelami otworzył prezydent Lenin Moreno, likwidując ministerstwo sprawiedliwości. Za nim poszli inni: Guillermo Lasso był z narkomafiami zżyty do tego stopnia, że na początku 2023 r. – na wniosek deputowanych indiańskich i lewicowych – prokurator generalny rozpoczął przeciw prezydentowi postępowanie w kwestii jego kontaktów z mafią z Albanii.

Podczas wyborów w 2023 r. indiański przywódca Leonidas Iza wprost oskarżał Noboę o handel narkotykami.

Kilka dni po tym oświadczeniu policja skonfiskowała 293 kg kokainy, które miały trafić do Rotterdamu. Na wszelki wypadek nie przesłuchiwała zbyt szczegółowo aresztowanego przy tej okazji podejrzanego – wiele wskazywało bowiem na jego związki z Noboa Trading Co.

Latem 2024 r. były prezydent Ekwadoru Rafael Correa poinformował prasę, że w ładunku bananów przeznaczonych na eksport, należącym do firm będących własnością rodziny Noboa, znaleziono trzy tony kokainy. Nieco później Jose Serrano, który był ministrem w rządzie Correi, poinformował w socjalach, że w miejscowości Machala policja skonfiskowała kilka ton kokainy ukrytych – nie zgadniecie – w kontenerach na banany. Machala jest siedzibą dystrybutorni bananów Palacios Pazmiño Fruit Pulpafruit SA. Dwie aresztowane przy tej okazji osoby – mające niewątpliwy związek z rodziną Noboa – zostały bez szczegółowego przesłuchania wypuszczone na wolność.

Czołgi na ulicach

Luisa Gonzalez i działacze Revolucion Ciudadana podczas kampanii prezydenckiej wielokrotnie wskazywali na związki klanu Noboa z narkomafią. Sytuacja w kraju była napięta na tyle, że zdecydowano się na przyśpieszone wybory. Noboa zdecydował się na ucieczkę do przodu: zwrócił się do rządu administracji prezydenta Bidena z prośbą o pomoc wojskową w rozprawieniu się z gangami narkotykowymi. Uzyskał zapewnienie, że armia Stanów Zjedno-

eprasa.pl 97f5af6175

siempre

pogłębiła pandemiczna zapaść turystyki – położyły kres tym marzeniom. Kontrast między zadbaną ofertą dla turystów i stanem budynków i ulic, na których toczy się prawdziwe życie, jest przygnębiający. Jak ujął to jeden z taksówkarzy – „po prawej Malecón, po lewej Afganistan”…

Jednym z miejsc, gdzie kontrast szczególnie rzuca się w oczy, jest legendarny Hotel Nacional de Cuba: wybudowany przez mafię na przełomie lat 20. i 30., po rewolucji znacjonalizowany, zjawiskowy kolos z widokiem na Zatokę Meksykańską.

Ten strategiczny widok sprawił, że podczas kryzysu kubańskiego roku 1962 mieściła się tam kwatera Fidela. Wybudowany wówczas bunkier nad skarpą, wznoszącą się nad bulwarem Malecón, stanowi punkt wycieczki po hotelu, oferowanej gościom i turystom nieodpłatnie od wtorku do soboty o 10 rano. Przewodniczka więcej uwagi poświęciła apartamentowi, w którym mieszkał Frank Sinatra, i salonom, w których odbywała się Konferencja Hawańska – zwołany przez Meyera Lansky'ego zjazd mafiosów w 1946 r. – ale usłyszeliśmy też kilka słów o bunkrze. I kryzysie.

Był to skądinąd niezwykle ciekawy punkt widzenia: otóż wszyscy wygrali, tylko Fidel przegrał. Chruszczow załatwił, co chciał, Kennedy też, a Fidel został z ręką w nocniku. Żaden z jego pięciu postulatów – koniec embarga; rezygnacja z działalności wywrotowej, szpiegowskiej i zbrojnej wymierzonej w kubański rząd; zaprzestanie „pirackich ataków” z baz amerykańskich i portorykańskich; poszanowanie kubańskiej przestrzeni powietrznej i wód terytorialnych; zwrot Guantanamo – nie doczekał się realizacji. Zaryzykowałam pytanie: czy jednak nie jest tak, że jeden z radzieckich postulatów – gwarancja, że USA nigdy więcej nie zaatakują Kuby – nie tylko został spełniony, ale zdaje się obowiązywać do dzisiaj? Co nabiera szczególnej wagi w czasach, gdy prezydent USA planuje podbój Kanady i Grenlandii…

– No może – odpowiedziała przewodniczka, ale nie wyglądała na przekonaną.

Może to kwestia wieku. Kubańska młodzież jest nieprzekonana do ustroju – choć USA też raczej nie darzy uczuciem. Seniorzy, pamiętający czasy przedrewolucyjne i pierwsze dumne lata po zwycięstwie, prezentują zgoła inną emocję.

Nawiasem mówiąc – Buena Vista Social Club to nie odosobniony fenomen. Hawana pełna jest kapel, w których bardzo starsi państwo grywają absolutnie zachwycającą muzykę. Jeden z takich panów, grający na banjo w ogrodach Nacionala, ucieszył się bardzo, że jesteśmy z Polski, i opowiedział nam, że znał Wojciecha Jaruzelskiego. Jak wyjaśnił mi później prof. Andrzej Werblan –

generał Jaruzelski był bohaterem Kubańczyków. Istniało tu bowiem – pewnie nie do końca niezasadne – przekonanie, że gdyby nie stan wojenny, USA napadłyby na Kubę na początku lat 80. Wydarzenia 13 grudnia odwróciły uwagę Reagana i sprawiły, że kowboj zdjął palec ze spustu.

W ramach wdzięczności Kuba zaprosiła liczącą ponad 100 osób grupę polskiej młodzieży na paromiesięczny wyjazd studyjny. Psiakrew, chciałabym tam być.

Atena i Lucyfer

Jednym z niewielu radykalnie odnowionych budynków w Hawanie jest Kapitol – monstrualna i kompletnie do niczego niesłużąca kopia budynku amerykańskiego parlamentu. No dobrze, może nie kopia – wersja kubańska jest ponoć „o metr wyższa, o metr szersza i o metr dłuższa, a także o wiele bogatsza w detalach”.

Utrzymane w stylu neoklasycznym monstrum zostało zbudowane latach 1926–1929 z inicjatywy ówczesnego prezydenta Kuby, Gerarda Machado. Kolosalna budowla postawiona w zaledwie trzy lata wysiłkiem 5 tys. robotników, była wykwitem prezydenckiego ego – miała zrobić wrażenie na uczestnikach odbywającej się w Hawanie szóstej Konferencji Panamerykańskiej w 1928 r. Wrażenie zapewne zrobiła – choć przewodniczka natrętnie dopytywana, co z tej konferencji wynikło dla kubańskiego ludu, odrzekła szczerze: „nic”. I dodała że Machado był skurwielem, ustępującym jedynie Batiście; nazywany bywał „tropikalnym Mussolinim”. Długi zaciągnięte przez Machado w USA na budowę tego cudu Kuba spłacała jeszcze wiele lat po jego odejściu.

Zgoła inny – zdaniem naszej przewodniczki – jest stosunek obywateli Kuby do zakończonej w 2019 r., a trwającej dziewięć lat renowacji, która także pochłonęła kupę szmalu. – Chcielibyśmy odnowić całą Hawanę – usłyszeliśmy. – Od czegoś trzeba zacząć.

Sens tej odbudowy był wyłącznie symboliczny; wbrew zapowiedziom Raula Castro z 2013 r. Kapitol nie stał się siedzibą Zgromadzenia Narodowego Władzy Ludowej – czyli kubańskiego parlamentu. Choćby dlatego, że Zgromadzenie jest jednoizbowe i liczy 470 deputowanych. Kapitol był zaprojektowany dla dwóch 150-osobowych izb – kongresu i senatu – rozmieszczonych symetrycznie po lewej i prawej stronie od upiornej Ateny, stojącej naprzeciw wejścia.

Monstrualna, piętnastometrowa statua bogini ma symbolizować – ponoć – mądrość i sprawiedliwość państwa kubańskiego sprzed wieku. Podczas renowacji pokryto Atenę płatkami 22-karatowego złota, nadając jej agresywnie złoty połysk.

U stóp Ateny, w miejscu będącym „kilometrem zero” – czyli punktem, od którego mierzy się odległości na wyspie – w podłogę wmurowany jest 25-karatowy diament. Tak dokładnie to replika diamentu – pochodzącego ponoć z korony cara Mikołaja II – który został tam umieszczony w trakcie budowy Kapitolu, a w 1946 r. zniknął, po czym w tajemniczych okolicznościach odnalazł się w gabinecie powojennego prezydenta Kuby Ramóna Grau. Od 1973 r. oryginalny diament znajduje się w sejfie Narodowego Banku Kuby, w podłogę zaś wprawione są repliki.

Obecny kamień, umieszczony tam w roku 2017, został wyprodukowany – jak głosi tablica informacyjna – w fabryce diamentów w Smoleńsku: „Nowy diament, nazywany Wiernym, jest symbolem przyjaźni kubańsko-rosyjskiej”.

Od diamentu – prawdziwego czy nie – ciekawszy jest posąg dłuta włoskiego rzeźbiarza Salvatore Buemi, zatytułowany „Zbuntowany Anioł”, zdobiący północny dziedziniec Kapitolu. Jest to, krótko mówiąc, pomnik Lucyfera, umieszczony tam jeszcze w czasach Machado. Jego przekaz nie jest tak do końca jasny.

Dla turystów zwiedzanie z przewodnikiem kosztuje 20 dolków od ryja (Kubańczycy wchodzą za symboliczną opłatą). Nasz urocza przewodniczka powiedziała, że dzięki temu dokładamy się do kosztów renowacji. – Więc proszę, przyjdźcie jutro znowu – dodała.

Uczciwie mówiąc, nie jestem pewna, czy wrócę na hawański Kapitol z jego absurdalną gigantomanią i ostentacyjnym bogactwem w oprawie złota i marmuru.

Ale na Kubę wrócę na pewno.

Choćby po to, żeby odwiedzić cmentarz św. Ifigenii w Santiago, gdzie na dużym nieociosanym kamieniu, na czarnej tabliczce napisane jest po prostu „Fidel”.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

czonych jest gotowa do podjęcia odpowiednich działań. Za to amerykańska Agencja do Walki z Narkotykami (DEA) oskarżyła Noboę o szmugiel narkotyków do stanu Wisconsin.

Luisa Gonzalez ma 47 lat, jest z zawodu adwokatem. Była współpracownicą prezydenta Correi, wicekonsulem Ekwadoru w Madrycie, radcą prawnym w firmie Petroeduador, ministrem pracy, wiceministrem turystyki, deputowaną do parlamentu.

Jej program wyborczy obejmował umocnienie roli państwa i walkę z „kryminalnym neoliberalizmem”, zapewnienie bezpłatnej państwowej edukacji i ochrony zdrowia, wygenerowanie 2 mln miejsc pracy i eliminację umów śmieciowych, likwidację podatku VAT, walkę z przestępczością zorganizowaną poprzez militaryzację portów, lotnisk, węzłów kolejowych i uszczelnienie granic.

Sądząc po skali społecznego poparcia, Luisa Gonzalez wydawała się faworytką nadchodzących wyborów. Po jej stronie opowiedziało się 120 wspólnot indiańskich – a przede wszystkim najważniejsza organizacja indiańska CONAIE (Confederacion de Nacionalidades Indigenas del Ecuador).

Noboa nie był jednak gotowy do oddania władzy. Wykorzystując medialną histerię wokół tematu zagrożeń ze strony narkomafii, 11 kwietnia – dwa dni przed wyborami – ogłosił stan wyjątkowy w całym kraju. Na ulicach pojawiły się czołgi i wozy opancerzone.

Żołnierze z odbezpieczoną bronią wkroczyli do lokali wyborczych, bacznie obserwując głosujących.

Noboa uzasadnił stan wyjątkowy ochroną przed gangami narkotykowymi – ale było jasne, że nie narkomafia była celem tej manifestacji. Nastąpiły aresztowania zwolenników Luisy Gonzalez. Zatrzymany został m.in. indiański przywódca Leonidas Iza. Dziennikarkę z Argentyny, zdającą relację z przebiegu głosowania, policja zmusiła do opuszczenia Ekwadoru.

Wynik odzwierciedla preferencje…

Ogłoszony 13 kwietnia wynik wyborów był zaskoczeniem, ale też natychmiast podniosły się głosy oburzenia. Były prezydent Rafael Correa oskarżył Noboę o fałszerstwo wyborcze, odwołują się do sondaży przeprowadzonych przez firmę ekwadorską i argentyńską, a także exit poll. Wszystkie te badania jednoznacznie wskazywały na zwycięstwo Luisy Gonzalez na poziomie 5–6 proc.

Organizacja CONAIE wydała oświadczenie wyrażające obawy o losy kraju pod dalszym przywództwem Daniela Noboi, przypisując wynik wyborów bardzo agresywnej i jednostronnej kampanii.

Prezydent Wenezueli Nicolas Maduro uznał Noboę za uzurpatora. Zwrócił uwagę, iż w jego sztabie znajdowali się ludzie z prawicowej opozycji wenezuelskiej, blisko związani z Marią Coriną Machado. Maduro oskarżył Machado i jej zwolenników o to, że pomogli Noboi w przygotowaniu fałszerstwa wyborczego. Jeśli wziąć pod uwagę zasługi Coriny Machado w organizowaniu starć ulicznych i preparowaniu fałszywych raportów z wyborów prezydenckich w Wenezueli z lipca 2024 r. – tezy Maduro nie są zapewne pozbawione podstaw.

Działacze Revolucion Ciudadana wykazali, że podczas liczenia głosów zniknęły tysiące kart z krzyżykiem przy nazwisku Luisy Gonzalez. Głosy wyborców indiańskich były systematycznie odrzucane. W lokalach wyborczych zabroniono używania telefonów komórkowych pod karą 30 tys. dol. – co uniemożliwiło dokumentowanie ewentualnych fałszerstw. W pomieszczeniach komisji wyborczych ni stąd, ni zowąd wysiadał prąd, zakłócając elektroniczną rejestrację i liczenie głosów. W 24 okręgach wyborczych niespodziewane zmiany w funkcjonowaniu komisji uniemożliwiły zagłosowanie wielu obywatelom. Niektóre punkty wyborcze zostały przedwcześnie zamknięte. Nie dopuszczono do głosowania 10 tys. Ekwadorczyków mieszkających w Wenezueli. Luisa Gonzalez przedstawiła dowody na to, iż 1984 raporty wyborczye nie miały podpisu sekretarza komisji; w 1526 raportach liczba oddanych głosów nie zgadzała się z liczbą głosujących

Luisa Gonzalez i Alianza de Revolucion Ciudadana wystąpili do walnego zgromadzenia Narodowej Komisji Wyborczej z wnioskiem o ponowne przeliczenie głosów i zbadanie nieprawidłowości występujących w 14 823 protokołach wyborczych. Diana Atamaint, przewodnicząca CNE, oddaliła wniosek, stwierdzając, że nie było żadnych nieprawidłowości, a wynik wyborów odzwierciedla preferencje wyborców.

Wielka prywatyzacja

Sytuacja w kraju jest dziś bardzo niestabilna. Zwycięstwo Noboi uznały Stany Zjednoczone, państwa Unii Europejskiej, prezydenci: Brazylii – Lula da Silva, Chile – Gabriel Boric, Urugwaju – Yamandu Orsi, a także Rosji i Chin. Dezaprobatę dla wyniku wyborów wyraziła prezydent Meksyku Claudia Sheinbaum, Daniel Ortega z Nicaragui, Gustavo Petro z Kolumbii, Nicolas Maduro z Wenezueli i były prezydent Boliwii Evo Morales. Prezydent Salwadoru Nayib Bukele – według niepotwierdzonych informacji – wstrzymał się z opinią.

Zadowolony z wyboru Daniel Noboa podjął wcześniej zaplanowane działania: zmianę obowiązującej Konstytucji z 2008 r. oraz szeroką akcję prywatyzacyjną. Widać też, że stan wyjątkowy nie był wymierzony w narkomafię: już 17 kwietnia w prowincji Manabi gangi narkotykowe zabiły 12 osób. Po wyborach w Ekwadorze daje się odczuć niepokój wśród ludzi pracy i ludności autochtonicznej.

14 kwietnia Jose Villavicencio, przewodniczący Zjednoczonego Frontu Robotniczego, wezwał Noboę do rezygnacji z polityki neoliberalnej i zaprzestania prywatyzacji. Nie znamy reakcji prezydenta, ale sytuacja jest dynamiczna.

W Ekwadorze jest powiedzenie: „Los ricos nos mean y los medios dicen que llueve”, czyli: „bogaci na nas szczają, a media mówią, że deszcz pada”…

ANDRZEJ ULMER

eprasa.pl 97f5af6175

Dlaczego mówiąc o bezpieczeństwie, nikt nie wspomina o żywności?

Żelazna porcja bezpieczeństwa

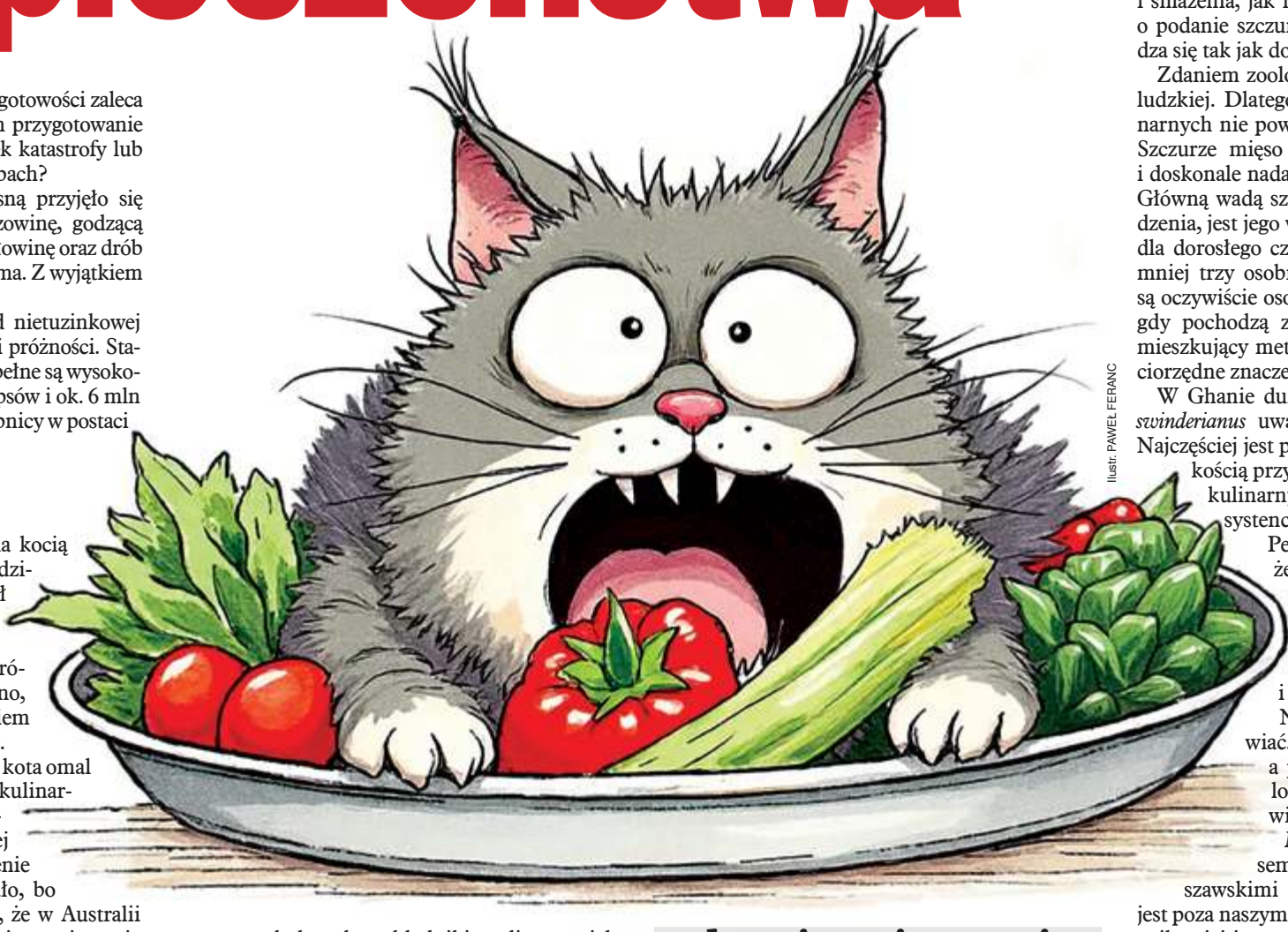

Ilustr. PAWEŁ FERANC

Unia Europejska w tzw. strategii gotowości zaleca obywatelom krajów członkowskich przygotowanie zapasów na 72 godziny na wypadek katastrofy lub ataku. Co jednak po tych trzech dobach?

Za najważniejszą wkładkę mięsną przyjęło się u nas uważać niekoszerną wieprzowinę, godzącą w wartości religijne hinduistów wołowinę oraz drób – do wcinania którego nikt nic nie ma. Z wyjątkiem wegetarian, rzecz jasna.

Tymczasem wokół aż roi się od nietuzinkowej formy zaspokajania tak głodu, jak i próżności. Statystykom wyszło, że polskie domy pełne są wysokobiałkowego żywca. Mamy 7,5 mln psów i ok. 6 mln kotów. O zamieszkującej klatki drobnicy w postaci świnek morskich nie wspominając.

Mruczek do brzuszka

Pochodzący z 1529 r. przepis na kocią potrawkę znaleziono na terenach dzisiejszej Hiszpanii, gulasz z kota był też popularną potrawą w Kraju Basków. W XIX w. kotami zajadali się też brytyjscy poddani królowej Wiktorii. Całkiem niedawno, bo w 1996 r., stały się przysmakiem w ogarniętej kryzysem Argentynie.

W 2007 r. w Australii potrawka z kota omal nie wygrała lokalnego konkursu kulinarnego. Usmażone na brązowo mięso z dodatkiem trawy cytrynowej i pieprzu smakowało jak połączenie królika z kurczakiem. Nie wygrało, bo było zbyt twarde. Pewnie dlatego, że w Australii z powodu braku zimy nie stosuje się wywieszania martwego kota na balkonie, żeby skruszał.

Kocina jest bogata w białko i uboga w cholesterol. W zależności od sposobu odżywiania zwierzaka jej smak może być bardzo słodki, ale może też przypominać królika lub kurczaka. Poradniki kulinarne przyjmują dwie opcje. Pierwsza mówi, że kota należy przyrządzać tak jak królika, czyli obsmażyć i dusić z warzywami. Inni uważają, że wystarczy go upiec w piekarniku, na grillu lub nad ogniskiem. Pamiętać należy jednak o częstym zwilżaniu pieczonego mięsa, żeby nie było zbyt suche i nie uległo zwęgleniu.

Włoski znawca kuchni Beppe Bigazzi radził, by kocie mięso najpierw przez trzy dni moczyć w wodzie, a potem dusić na wolnym ogniu. Jego zdaniem tak przyrządzone danie może się równać z króliczym, gołębim czy drobiowym. Koty nadają się też na zupy i buliony do sosów.

W klatkach w kilkuset tysiącach polskich domów poniewiera się coś, co w razie czego można spożytkować na obiad. To coś to świnka morska. Zażera się nią znaczna część Ameryki Południowej i coraz więcej ludzi na innych kontynentach. Świnkę można gotować, smażyć lub dusić z czosnkiem, cebulą i ostrą papryką. Najsmaczniejsza jest jednak podobno grillowana. Południowoamerykańskie poradniki kulinarne twierdzą, że nic nie równa się jednak ze świnką morską na patyku. Przepis jest prosty, acz należy pamiętać, by zamiast jednej świnki zamorskiej mieć trzy, bo europejskie świnki są trzykrotnie mniejsze od peruwiańskich: „Organizujemy jedną świnkę morską na osobę. A do niej trzy ząbki czosnku, pół cebuli, trochę szczypiorku, pół ostrej papryczki, dwie łyżeczki mielonego kminku i dwie łyżeczki soli. Przygotowywania zaczynamy na dzień przed. Świnkę morską opalamy z sierści i patroszymy. Pozostałe składniki drobno siekamy i mieszamy. Ewentualnie z niewielką ilością oliwy. Tak powstałą mieszanką nadziewamy zwierzaka. Nacieramy z zewnątrz. Pozostawiamy na minimum 12 godzin. Po upływie tego czasu trzeba nadziać świnkę na patyk. Opieka się nad żarem przez 1–1,5 godziny. Świnka powinna być złota i chrupiąca. Aby ją ładnie przyzłocić, niektórzy w ostatniej chwili zanurzają potrawę w roztopionym maśle i opiekają jeszcze przez moment. Podawać z pieczonymi bądź smażonymi ziemniakami”.

Przyjaciel na czarną godzinę

Każdy fizjolog odżywiania przyzna, że psie mięso nadaje się do spożycia. Jeszcze 100 lat temu psina z rusztu była stałym składnikiem diety w wielu częściach Niemiec. Przed I wojną światową spisywano rocznie ok. 7 tys. oficjalnych przypadków uboju psów. Niemieckie statystyki wskazywały, że najwięcej w Saksonii, Turyngii i na Śląsku. W Chemnitz istniała rzeźnia tylko dla psów i kilka gospód, w których podawano psinę. Szczególnie ceniony jako regionalny przysmak był tatar z psiego mięsa. A niemiecki przepis prawny dotyczący kontroli mięsa z lat 40. wciąż zaliczał psy do zwierząt rzeźnych.

W roku 1870 wydano we Francji książkę kucharską zawierającą przepisy bazujące na psim mięsie. W tym i taki: „Weź średniej wielkości psa, opal nad płomieniem, zdejm skórę, póki jeszcze ciepła, pokrój w dwucentymetrową kostkę, marynuj dwie godziny w słonej wodzie z octem i pieprzem. Smaż w oleju, dodaj cebuli i owoców, jakie masz. Duś ok. półtorej godziny, aż mięso zmięknie. Pod koniec duszenia do smaku dodaj wątrobę. Podawaj z pikantnym sosem pomidorowym przyprawionym zielonym pieprzem”.

Do dziś w szwajcarskim mieście Appenzell tradycyjnym przysmakiem są wędzone parówki z psów. Miejscowi uważają, że jest to najzdrowsze mięso, bo nie ma hormonów jak cielęcina ani antybiotyków jak wieprzowina czy drób.

Henryk, książę Danii, przyznał kilkanaście lat temu, że uwielbia zarówno żywe psy, jak i ich mięso. Szczególnie z ras, które są hodowane specjalnie w celu ich ubicia i zdaniem arystokraty są porównywalne do kur, choć smak mają podobny do cielęciny.

Kilkanaście lat temu prezes Fundacji For Animals stwierdziła w „Daily Telegraph”: „w Polsce są miejsca, gdzie zabijanie psów jest przekazywaną z pokolenia na pokolenie tradycją”. Pani prezes nie określiła jednak, co to za miejsca, więc można tylko domniemywać, że chodziło jej pewnie o Jaworzno, gdzie miejscowe TOnZ od lat dostrzega utrzymujący się od pokoleń pęd do zjadania szczekającej nierogacizny.

Sposobów przyrządzania są setki. Zaczyna się jednak zawsze tak samo. Z psa ściąga się ostrożnie skórę, usuwa kości i wnętrzności, następnie opala gazowym palnikiem. Jeśli komuś odcięto gaz, może to samo zrobić nad ogniskiem. Tuszki rozcina się tak jak w przypadku królika czy sarny. Znawcy tematu uważają, że psie mięso należy przyrządzać tak jak wołowinę. Czyli najlepiej obsmażyć, a potem długo dusić.

Nadaje się świetnie na zrazy, gulasz, pulpety, no i rzecz jasna na rosół. Po ugotowaniu psina staje się bardzo krucha.

Jedzenie psiego mięsa w Polsce nie jest zakazane. Prawo zakazuje za to znęcania się nad zwierzętami i świadomego zadawania im bólu.

Zgodnie z art. 6 ustawy o ochronie zwierząt zabronione jest również ich nieuzasadnione lub niehumanitarne zabijanie.

Białko z podwórka

Według smakoszy nawet najlepszy drób nie dorównuje mięsu szczura. Gryzoń ma cieńszą skórkę i jest delikatniejszy. Zwolennicy kuchni wschodniej preferują szczurzynę przyprawioną bazylią, chili i imbirem. Jeśli jednak nie ma się dalekowschodnich ingrediencji, wystarczy zwierzaka zatłuc, wypatroszyć i opalić nad ogniskiem nadzianego na patyk. Potem trochę soli i pieprzu i ma się smakołyk. Koneserzy twierdzą, że zamiast patroszyć, lepiej jest przed zabiciem przegłodzić szczura przez jeden dzień. Wtedy pieczony z wnętrznościami jest jeszcze smaczniejszy.

Stara książka kucharska ujmuje to tak: „Najpierw złap szczura, potem opal go nad płomieniem, żeby pozbyć się futerka. Usuń końce pazurków, umyj i wypatrosz, wnętrzności tymczasem odłóż osobno. Utłucz w moździerzu, aż zmiażdżą się wszystkie kostki, usuń ząbki. Dodaj pół litra wrzącej wody, wymieszaj, dodaj przyprawy, jeśli masz trochę octu, czarnego pieprzu, gałki muszkatołowej. Przemyj dokładnie wnętrzności w słonej wodzie, poszatkuj i dodaj do mięsa. Pogotuj z pięć minut, dodaj nieco słonej wody. Duś wszystko pod przykryciem na wolnym ogniu ok. godziny. Dodaj kruszyny starego chleba, jeśli masz, i podawaj do stołu. Większa liczba szczurów uczyni danie jeszcze bardziej smakowitym”.

Szczurze mięso nadaje się zarówno do pieczenia i smażenia, jak i na zupę. Można też pokusić się o podanie szczura faszerowanego. Farsz przyrządza się tak jak do kurczaka.

Zdaniem zoologów szczury są populacją równą ludzkiej. Dlatego pozyskanie ich do celów kulinarnych nie powinno być większym problemem. Szczurze mięso jest chude, bogate w proteiny i doskonale nadaje się do niskokalorycznych diet. Główną wadą szczura, z kulinarnego punktu widzenia, jest jego wielkość. Dlatego na jedną porcję dla dorosłego człowieka należy pozyskać co najmniej trzy osobniki. Najdelikatniejsze w smaku są oczywiście osobniki najmłodsze. Jeszcze lepiej, gdy pochodzą z terenów wiejskich. Szczur zamieszkujący metropolie ma drugo-, a nawet trzeciorzędne znaczenie kulinarne.

W Ghanie duży szczur z gatunku *Thryonomys swinderianus* uważany jest za kulinarny specjał. Najczęściej jest podawany w sosie własnym. Wielkością przypomina znaną na polskim rynku kulinarnym nutrię. A smakowo i konsystencją bije ją ponoć na głowę.

Pewnie nikt nawet się nie domyśla, że jeż może stanowić źródło protein o smaku prosiaka. Najgenialniejszy jest ponoć oskórowany i wypatroszony, pieczony w glinie jedynie z domieszką pieprzu i soli.

Na ślimaki nie ma co kogoś namawiać. Mięsa w nich jak na lekarstwo, a proces przygotowania, czyli wielogodzinne gotowanie, zużywa zbyt wiele energii.

Można się zastanowić nad mięsem wiewiórczym. Jednak poza warszawskimi Łazienkami wiewiórka na ogół jest poza naszym zasięgiem. A w Wielkiej Brytanii najłatwiej ją spotkać w formie tuszek w miejscowych hipermarketach.

Łabędzie też są ponoć jadalne. Choć w smaku przypominają podeszwę. Kaczki zamieszkujące oczka wodne w parkach przygotowuje się tak samo jak każdy drób. Z niegdysiejszym przysmakiem, czyli gołębiami, trzeba uważać. Te zamieszkujące rynki wielkich miast mogą być siedliskiem wielu groźnych chorób i pasożytów. Nie wszystkie z nich można wyeliminować obróbką termiczną.

O wiele bezpieczniej zjeść coś z krukowatych. Srokę, kawkę czy wronę siwą. Według znawców najsmaczniejsze są młode wrony pozyskiwane w maju i czerwcu. W smaku przypominają mięso gołębia hodowlanego. Stare wrony trzeba gotować długo, a ich mięso i tak będzie twarde i łykowate. Niemniej jednak na rosół nadają się doskonale.

Bezdomni mieszkańcy ogrodów działkowych twierdzą, że mają jednak patent na przyrządzanie starych wron i kawek. Sprawionego ptaka macerują bowiem w szczawiu i pieką nad ogniskiem z farszem z mirabelek. Wychodzi coś tak dobrego, że będzie mogło zauroczyć podniebienia ludzi wydających dziesiątki tysięcy złotych, byle polecieć dokądś, żeby zjeść pająka, węża czy cokolwiek innego, czemu nie udało się uciec przed kucharzem. Jak i tych, którzy po zjedzeniu żelaznej unijnej porcji będą po prostu głodni.

TOMASZ BOROWIECKI

REKLAMA

eprasa.pl 97f5af6175

Wybory, wybory, i po wyborach

Trwają elekcje nowych władz związków sportowych

No, nie całkiem. Głosem światłego elektoratu prezydentem Polski został bokser i piłkarski kibol, ale są przecież inne dyscypliny sportu. W nich albo odbyły się wybory nowych władz, albo wkrótce się odbędą. Bokserom przewodzić będzie Grzegorz Nowaczek, który był jedynym kandydatem na stanowisko prezesa Polskiego Związku Bokserskiego. To na pewno interesuje prezydenta elekta RP, choć nie jestem pewien, czy bokserska centrala zrzesza amatorów walk na gołe pięści, zwłaszcza takich, jak ta w 2009 r. podczas ustawki po meczu Lechia Gdańsk–Lech Poznań, w której brał udział Karol Nawrocki. Inna sprawa, że z ust dotychczasowej głowy państwa dowiedzieliśmy się, że było to raczej baraszkowanie niedźwiadków niż chuligaństwo. Jeżeli tak, to sprawa podpadałaby prędzej pod Ligę Ochrony Przyrody niż pod organizację sportową.

Bagno i woda

W Polskim Związku Kolarskim władzę objął świetny zawodnik z moich dziennikarskich czasów Marek Leśniewski, choć potrzebna była – jeśli można tak powiedzieć – druga tura, bo wyniki pierwszego głosowania zakwestionowano; dwaj delegaci postawili niewyraźne krzyżyki na liście wyborczej. Zawsze podziwiałem Marka (noszącego w peletonie ksywkę Bakteria z racji licznych niegroźnych infekcji) zwłaszcza za chęć i umiejętność pracy dla drużyny. Czy to wystarczy do opanowania sytuacji w zbankrutowanym związku sportowym? Oczywiście życzę tego Markowi, choć polskie kolarstwo trapią znacznie poważniejsze infekcje niż te, z którymi zmagał się jako zawodnik.

W Polskim Związku Pływackim walka o prezesurę była – żeby użyć sformułowania z niedawnej kampanii prezydenckiej – na żyletki. Przeciw sobie stanęli złota medalistka olimpijska z Aten Otylia Jędrzejczak i jej były trener i w przeszłości także prezes PZP Paweł Słomiński. Gdy współpracowali, nastąpiły znakomite lata dyscypliny. Efektem były trzy medale olimpijskie, sukcesy w mistrzostwach świata i Europy. Oboje mieli swoje wizje rozwoju powoli upadającej dyscypliny, niekończenie identyczne. Konflikt był nieunikniony.

Wybory wygrała Jędrzejczak, która otrzymała 55 głosów, Słomiński – 50. Przed zjazdem sprawozdawczo-wyborczym Otylia Jędrzejczak mówiła, że nie wyobraża sobie współpracy ze swoim byłym trenerem. Zaraz po głosowaniu zmieniła zdanie i zwróciła uwagę, iż wiele punktów w ich programach wyborczych było identycznych, więc pole do współdziałania istnieje. Nie śledzę dokładnie wszystkiego, co dzieje się w tej dyscyplinie sportu, ale dochodzą mnie słuchy, że po czasach posuchy (co za dziwaczne sformułowanie, gdy mówimy o ludziach pół życia spędzających w wodzie) widać postępy.

Boniek woli golfa

Mógłbym teraz omawiać związek po związku wyniki wyborów wszędzie tam, gdzie odbyły się już zjazdy, ale w tym, który skupia największe zainteresowanie, wskazanie sternika na następną kadencję jeszcze przed nami. Mówię oczywiście o Polskim Związku Piłki Nożnej. Prezes PZPN rządzi dyscypliną wzbudzającą największe zainteresowanie i dysponuje naprawdę sporymi pieniędzmi.

Zbigniew Boniek rządził PZPN nawet dłużej niż przysługujące mu z urzędu dwie kadencje, bo za sprawą pandemii COVID-19 jego druga prezesura wydłużyła się o dodatkowy rok. Walka o schedę po nim była ciekawa. Zwyciężył działacz sportowy i biznesmen z Białegostoku Cezary Kulesza, wygrywając z Markiem Koźmińskim. Dziennikarze dokładnie śledzący ich kampanie wyborcze zwracali uwagę, że Koźmiński często pokazywał się w mediach, dużo mówił o programie, jego rywal natomiast po cichutku działał na zapleczu, odwiedzał okręgowe związki, czyli swoich wyborców. Złośliwi szeptali, że zamiast programu (kto by się przejmował taką duperelą) woził tam ze sobą obietnice oraz wysokiej klasy alkohole.

Kulesza wygrał w cuglach, a jego kadencję trudno dobrze ocenić. Nie chcę nawet przypominać afer w naszej reprezentacyjnej piłce, pisałem o nich wielokrotnie, ale narodowa drużyna znalazła się na równi pochyłej. Wyjątek stanowią panie, które po raz pierwszy w historii awansowały do finałów mistrzostw Europy. To dużo więcej niż w męskiej piłce, gdzie w finałowym turnieju gra pół Starego Kontynentu. Kobiecy finał to 16 drużyn, a więc naprawdę elita.

Największą zasługą kierowanego przez Cezarego Kuleszę PZPN jest fakt, że nie interesował się kobiecym futbolem i selekcjonerka Nina Patalon mogła spokojnie budować reprezentację. Na pewnym etapie jej drużyna przegrywała mecz za meczem, spadła z grupy A Ligi Narodów. Gdyby szanowny zarząd PZPN i jego prezes to zauważyli, zapewne Nina Patalon straciłaby pracę. Tymczasem z każdej porażki wyciągano wnioski, zespół nie tylko po raz pierwszy w historii awansował do finałów mistrzostw Europy, ale wcześniej powrócił w pięknym stylu do grupy A Ligi Narodów.

Wybory sternika PZPN miały odbyć się w sierpniu br., ale przyśpieszono termin zjazdu sprawozdawczo-wyborczego. Bardzo niedługo, 30 czerwca, poznamy nowego prezesa PZPN, co więcej – już teraz wiemy, kto nim będzie. Termin zgłaszania kandydatur minął, zgłosił się jeden kandydat, dotychczasowy prezes Cezary Kulesza.

Jeszcze niedawno wydawało się, że Kuleszy, za którym ciągną się afery, nie zabraknie trudnych rywali. Wymieniano wiele nazwisk, nawet… Zbigniewa Bońka, który (prawnicy musieliby to potwierdzić) mógłby po raz trzeci wystartować w wyścigu, bo nie byłoby mowy o trzeciej kolejnej kadencji, skoro poprzednią opuścił. Były znakomity piłkarz Juventusu i AS Romy oraz prezes PZPN, którego rządy oceniano wysoko, zwłaszcza za unowocześnienie zarządzania związkiem, woli jednak spokojnie mieszkać w Rzymie i grać w golfa. Wcale mu się nie dziwię, że po raz kolejny nie chciał włazić do tego bagna.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

A mogło być tak pięknie…

Wracamy do chuliganów Wolnego Miasta – tak nazywa się pseudokibicowska grupa, do której należał Karol Nawrocki, a jej znak ma ponoć wytatuowany na skórze podobnie jak inni jej przywódcy; nie wiem, nie widziałem go bez koszulki. Przypomnijmy, że zanim Nawrockiego prezes Jarosław Kaczyński wskazał jako kandydata w wyborach prezydenckich, przeprowadził swego rodzaju casting. Decydować miało przede wszystkim to, aby nie łączono go z poprzednim rządem PiS. Stawiano też inne warunki, m.in. znajomość języków obcych i godną prezencję.

Idealnym kandydatem prezesa wydawał się Witold Bańka, minister sportu w rządzie PiS. O jego ministrowaniu rodacy zdążyli już zapomnieć, zresztą na swoim stanowisku nie narobił widocznych szkód, a miał sporo zasług.

Po powołaniu go do rządu przyjął legitymację PiS, w wywiadach – jeśli było to konieczne – powtarzał pisowskie slogany, ale nie nachalnie. Nie byłem entuzjastą pani premier Beaty Szydło ani jej rządu, ale sam łapałem się na tym, że Bańka bardziej zyskiwał moją sympatię niż niechęć. Po pierwsze, zawsze twierdziłem, że ministrem sportu powinien być ktoś, kto wyrósł z tego środowiska, a Witold Bańka w przeszłości był lekkoatletą z pewnymi nawet sukcesami. Po drugie, dość aktywnie zabrał się za budowanie sportu szkolnego. Po trzecie wreszcie, poważnie zajął się Polską Agencją Antydopingową (POLADA), która nie działała skutecznie. Była to grupa zaangażowanych entuzjastów, pozbawiona jednak finansowego i organizacyjnego wsparcia.

Gdy Beatę Szydło zastąpił Mateusz Morawiecki, kariera Bańki rozwijała się nadal. Polski rząd wytypował go na przedstawiciela krajów Rady Europy w Komitecie Wykonawczym Światowej Agencji Antydopingowej (WADA). W 2018 r. wybrano go prezydentem WADA.

Musiał oczywiście oddać pachnącą jeszcze farbą drukarską legitymację PiS, choć pewnych nawyków charakterystycznych dla tej formacji trudno się było wyzbyć. Jak wiadomo, ludzie Kaczyńskiego zawsze bardzo wysoko cenili sobie pieniądze wpływające na ich konta bankowe. W pewnym momencie okazało się, że Witold Bańka do prezydenckiej (oczywiście chodzi o prezydenta WADA) pensji dorabia sobie jako ambasador Stadionu Śląskiego. Zrobiła się aferka, ale ostatecznie okazało się, że statut WADA nie zabrania tego rodzaju działalności.

Jako prezydent WADA Witold Bańka naprawdę mógł się podobać. Mało kto zdaje sobie sprawę, jak trudno jest działać w światowym sporcie, podzielonym najróżniejszymi sprzecznościami, także politycznymi. Trzeba umieć lawirować między różnymi grupami nacisku, a jednocześnie zachować niezależność.

WADA zamiast RP

Jako mieszkańcy kraju, który wielokrotnie doświadczał rozkoszy sąsiedztwa z Rosją, nie rozumiemy, że kraj Władimira Putina nie wszędzie jest oceniany tak jak u nas. Wielu mieszkańców Afryki kojarzy go raczej ze Związkiem Radzieckim, który na sztandarach wypisane miał hasła walki z imperializmem i kolonializmem. Z kolei w Ameryce Południowej za hegemona dybiącego na niezależność mniejszych państw postrzegane są Stany Zjednoczone, a nie Rosja.

To oczywiście bardzo uproszczony obraz świata, ale dający pojęcie, przed jakimi wyzwaniami musiał stawać Witold Bańka, gdy objął stery organizacji walczącej z dopingiem w sporcie.

Zapewne jednym z trudniejszych wyzwań było odsunięcie rosyjskich sportowców od zawodów. Nie, nie chodziło o bestialską napaść ich kraju na Ukrainę, ale o powszechne i usankcjonowane przez władze stosowanie dopingu. WADA udowodniła, że w proces podawania sportowcom niedozwolonego wspomagania zaangażowana była nie tylko krajowa agencja antydopingowa, ale także ministerstwo sportu.

Doping w sporcie był, jest i zapewne będzie. Powołane do tego organizacje lepiej lub gorzej starają się walczyć z nieuczciwością. Przykład z ostatnich dni: POLADA wykryła niedozwoloną substancję w organizmie siatkarza mistrzów Polski Mikołaja Sawickiego; zawodnikowi grożą cztery lata dyskwalifikacji. W Rosji państwowe instytucje zamiast karać dopingowiczów, zmieniały wyniki badań.

Witoldowi Bańce tym łatwiej było przekonywać do swoich racji, że zbudował coś w rodzaju własnego biura śledczego, nawiązał kontakty z Interpolem, zaprzągł do walki ze stosowaniem dopingu sztuczną inteligencję itd., itp.

Oczywiście wiele pozostaje do zrobienia i Bańka tego nie kryje. Wielkim problemem stał się np. mikrodoping. Chodzi o stosowanie minimalnych dawek substancji, takich, które mieszczą się w zakresie tolerancji, ale wpływają na wyniki sportowe. Coraz trudniej rozstrzygać też, czy niedozwolone wspomaganie przyjęte zostało przez przypadek, czy było celowym działaniem.

Przed wyborami prezydenckimi w Polsce wysłannicy PiS odwiedzili prezydenta WADA i zaproponowali mu start w wyborach jako obywatelski kandydat wspierany przez prawicę. Nie jest to informacja zaczerpnięta z plotkarskich mediów, potwierdził ją sam zainteresowany. Prawdę mówiąc,

Witold Bańka byłby dużo ciekawszym kandydatem niż Karol Nawrocki, a jego przeszłość mogłaby budzić tylko pozytywne emocje. Ale czy zagłosowaliby na niego kibole, gangusy i całe rzesze homofobów?

Witold Bańka odmówił. Stwierdził, że do wykonania ma inną pracę. Właśnie przygotowywał się do kolejnych wyborów na drugą kadencję prezydenta WADA.

Akurat między pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich w Polsce Witold Bańka powołany został na drugą kadencję szefa WADA, która potrwa do 31 grudnia 2028 r. Będzie osobą najdłużej zajmującą to stanowisko w historii. Byłby wybrany jednogłośnie, gdyby dwie spośród 38 uprawnionych osób nie wstrzymały się od głosu.

Nie była to więc wygrana na żyletki.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–32 – 10.06.2025 r.

eprasa.pl 97f5af6175

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Prezessimus Kaczyński łaskawym okiem patrzył na dary przyniesione przez podwładnych. Między innymi na perkal i paciorki od Saryusz-Wolskiego, na złoto, kadzidło i mirrę od Szydło, na kopertę z tysiącem złotych i przypomnieniem, że żyje i kocha, od Morawieckiego, i na butelkę syropu na kaszel smoleński od Macierewicza. Oraz na to, na czego wręczenie mógł sobie pozwolić tylko Błaszczak – flakon szamponu przeciwłupieżowego.

– Dziękuję, dziękuję, nie trzeba było… – szepnął Kaczyński i pokazał ręką, jak bardzo było nie trzeba. – Teraz, jak to powiedział ten, którego imienia przy mnie się nie wypowiada, musimy zabrać się do roboty.

Szydło zapiszczała z radości, bo domyśliła się, że prezessimus miał na myśli Tuska. Macierewicz refleksyjnie pogładził się po brodzie. Saryusz-Wolski zachwiał się od zbyt wielu kieliszków czerwonego wina, które spożył od rana. Morawiecki podniósł rękę, żeby Kaczyński nie zapomniał, kto go kocha najbardziej na świecie. I tylko Błaszczak nie wykonał żadnego gestu, bo nie musiał.

Prezessimus wstał, zwichrzył włosy, dotknął ręką miejsca nad górną wargą i zaczął wrzeszczeć.

– Wśród nas, Polaków, mamy ogółem 30 tysięcy konfederatów, a razem z wyborcami herr Mentzena prawie 3 miliony. Są oni wśród naszego narodu obcym obiektem, który aż się pali, żeby systematycznie zabrać się za zajmowanie wszystkich kluczowych pozycji, a gdy to będzie osiągnięte, następni z tej samej obcej grupy udadzą się ich śladem. Trzeba usunąć konfederatów z pozycji, których jeszcze nie zajęli, obiecuję usunąć ich bezwzględnie. Będę tutaj postępował tak, jak postępuje natura: nie brutalnie, lecz rozsądnie, by zapewnić wszystko, co najlepsze, dla nas, prawdziwych Polaków, autentycznych patriotów, jak to mówią, najwierniejszych pisowców. Uczynię osiągalnymi setki tysięcy posad. W ten sposób będę w stanie powoli przesunąć dziesiątki tysięcy zdolnych dzieci naszego narodu na posady, na które chrapkę mają konfederaci. Uwolnię nieprzeliczone liczby wiernych pisowców, którzy teraz klepią biedę, i zaoferuję im posady. Posady, które chcieli zapełnić konfederaci: obce ciało pasożytujące na zdrowej tkance narodu.

Pisowcy byli zasłuchani w słowa Kaczyńskiego jak głuszce w dźwięk myśliwskich trąbek. Najpierw opadły im dzioby, a potem z wolna zaczęło podnosić się ciśnienie.

Pierwszy zaczął klaskać Morawiecki. Wkrótce niewielką salę wypełniły burzliwe oklaski przechodzące w owacje.

Zatem cel był jasny. Najjaśniejszy ze wszystkich.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

PS Wykorzystałem fragment przemówienia kanclerza Trzeciej Rzeczy Adolfa Hitlera do niemieckich oficerów i generałów, wygłoszonego w Platterhofie 26 maja 1944 r.

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA ma długi weekend i chce odpocząć od polityki. **JOANNA SENYSZYN** też by chciała.

Wołk-Łaniewska: – Mam propozycję: porozmawiajmy nie o polityce.

Joanna Senyszyn: – A ty w ogóle umiesz nie o polityce rozmawiać?

– No słabo, ale chciałabym się nauczyć.

– Proszę, próbuj.

– Tak więc… Yyyy… Pogoda się wreszcie ładna zrobiła…

– No i w tym momencie Czytelnicy zbiorowo zasnęli.

– To prawda, rozmowa o pogodzie nas nie uratuje, nie jesteśmy Brytyjczykami. No to może poplotkujmy…

– To już lepiej… Zaczynaj.

– Poczekaj, otworzę Pomponik…

– Co?

– Pomponik. To samo co Pudelek i Plotek, tylko mój telefon z niewiadomych przyczyn wyświetla mi akurat Pomponika. Czekaj, mam! „Niespodziewany zwrot w sprawie Nawrockiej. Nie zdołała tego ukryć, ludzie nie mieli pojęcia”.

– Miało nie być o polityce.

– No wiem, ale teraz już muszę sprawdzić, co prezydentowa usiłowała ukryć przed ludem.

– No co?

– Uwaga, czytam: „Gdy wydawało się, że wiemy już o niej niemal wszystko, wyszło na jaw coś zupełnie niespodziewanego. Żadna z jej poprzedniczek na to się nigdy nie zdecydowała. Już wiadomo, czy to może stanowić jakiś problem”…

– Miała trzy aborcje? Jest dominą? A może transkobietą?

– Cierpliwości, to jest tekst klikbajtowy, dowiemy się na końcu. Czytam dalej. Ble ble ble, Trojanowska, ble ble, Kwaśniewska, ble ble… O, jest: „Oto co odkryli na jej lewej nodze”… Jesteś gotowa?

– Oby nie czerniaka.

– Kotwicę.

– Na łańcuchu?

– Nie, taką malutką kotwiczkę ma wytatuowaną na Achillesie…

– Fascynujące… Czy moglibyśmy już wrócić do polityki?

– Czekaj, jeszcze nie. Jeszcze o Lewandowskim chciałam.

– Kim jesteś i co zrobiłaś z Wołkiem?

– Oj, bo się tak przejęłam, że Robert taki smutny…

– Nie czytam Pomponika, musisz mi chyba przybliżyć fakty.

Rys. WIDGET

– Oj, bo selekcjoner zabrał Lewandowskiemu opaskę, kiedy ten usypiał córki, więc Robert się obraził i ogłosił, że nie będzie grał w reprezentacji Polski, dopóki Probierz jest trenerem. Bo „bardzo go boli to, co się stało” i chodzi „o sposób, w jaki zostało mu to przekazane”. No biedny. Może nie dosłownie, bo zarabia 12 baniek miesięcznie, ale pieniądze szczęścia nie dają i na co mu to wszystko, jak trener był dla niego niemiły…

– Nie wiedziałam, że jesteś taka empatyczna. Czy możesz wykazać odrobinę empatii wobec mnie i zmienić temat?

– Proszę. Słyszałam, że wyrażałaś się krytycznie o wspaniałym sztabie wyborczym Rafała Trzaskowskiego…

– Spuśćmy już zasłonę miłosierdzia na jakość pracy tego sztabu. Chodziło mi o coś innego. Otóż w sztabie było czworo ministrów: edukacji – Barbara Nowacka, sportu – Sławomir Nitras, ds. Unii Europejskiej – Adam Szłapka, i jeszcze na okrasę minister bez teki Marcin Kierwiński…

– Który ci, jak pamiętam, bardzo zaimponował tym, że w pół roku z posła, europosła i konstytucyjnego ministra został pełnomocnikiem rządu bez immunitetu…

– A teraz cierpi katusze, bo miał dostać w spadku po Trzaskowskim prezydenturę Warszawy, a musi się obejść smakiem. Wracając do sztabu: jego członkiem był też wiceszef MON Cezary Tomczyk. A przecież przed wyborami premier Tusk oświadczył, że jeśli którykolwiek z ministrów zechce kandydować na prezydenta, będzie musiał złożyć dymisję.

– No i słusznie, albo srasz, albo oswobadzasz wychodek…

– Premier ujął to nieco inaczej, ale sens był mniej więcej ten: że nie da się połączyć pracy w resorcie z wielomiesięczną kampanią wyborczą. Czemu więc premier stosował podwójne standardy i tolerował udział pięciu członków rządu w sztabie? Czy są oni w rządzie aż tak zbędni, że nikt nie zauważył ich braku? A jeśli tak, to po co wracają na ministerialne stołki? A poza tym: czy wzięli urlopy bezpłatne? Bo nienormowany czas pracy naprawdę nie oznacza, że można wpadać do roboty w chwilach wolnych od ważniejszych zajęć. I jeszcze bym chciała wiedzieć, czy w pracy kampanijnej korzystali ze służbowych limuzyn z kierowcami – a jeśli tak, to czy ich resorty wystawiły faktury na komitet kandydata? I nie chcę słuchać tłumaczeń, że premier Morawiecki i jego ministrowie tak samo wspierali pięć lat temu prezydenta Dudę. Po to obaliliśmy kaczystów, żeby było inaczej.

– To ja bym jeszcze dorzuciła pytanie o to, jaka myśl stała za tym, żeby sztab napakować partyjnymi aparatczykami, zamiast zatrudnić jakiegoś fachowca? Szczególnie mnie w tym gronie cieszy Barbara Nowacka, która, jakby ktoś zapomniał, była osobiście odpowiedzialna za kompletnie wtopioną kampanię Zlewu – czyli Zjednoczonej Lewicy – w 2015 r.

– Tę, po której lewica nie weszła do sejmu, a PiS doszedł do władzy.

– Tę dokładnie. Była twarzą tej kampanii, przerżnęła na całej linii, ale nie pamiętam, żeby – jak mówią papiści – stanęła w prawdzie i wzięła odpowiedzialność za porażkę. Zamiast tego szybciutko sprzedała się Koalicji Obywatelskiej.

– Opłaciło się, bo została ministrą, a teraz pewnie zapragnęła być pierwszą po Rafale w pałacu prezydenckim. Drogą do tego miała być kampania, ale nie wyszło.

– Prawie tak samo mi jej szkoda jak Roberta od opaski…

– Ta empatia cię kiedyś wykończy. I na koniec: zapraszamy wszystkich, którzy chcieliby się z nami spotkać na warszawską Paradę Równości. Ruszamy w sobotę 14 czerwca o 14.00 z Parku Świętokrzyskiego.

– To jest ten kawałek Placu Defilad od ul. Świętokrzyskiej.

– Placu Centralnego. Już nie ma Placu Defilad.

– Dla mnie zawsze będzie. I nie będzie mi ten przegryw mówił, jak mam nazywać moje miasto.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 97f5af6175